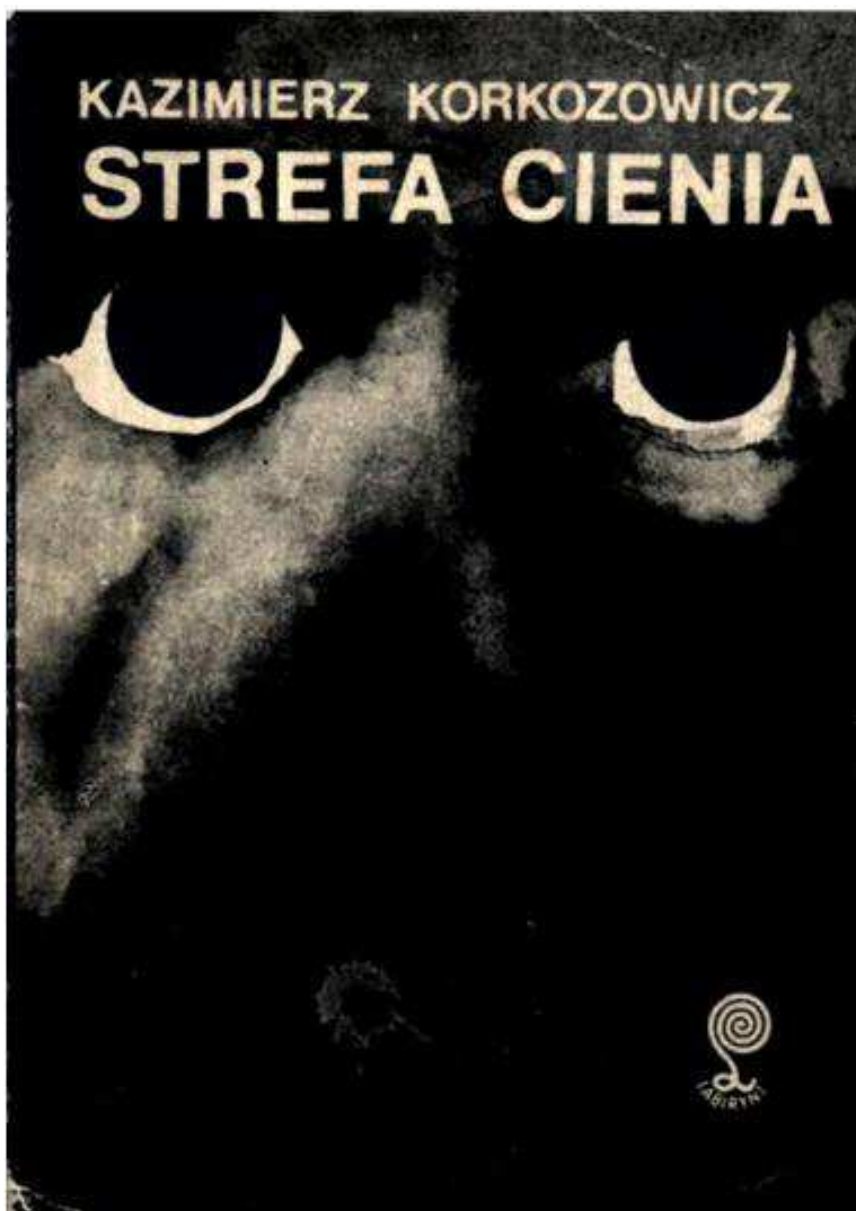


KAZIMIERZ KORCOZOWICZ  
**STREFA CIENIA**



KAZIMIERZ  
KORKOZOWICZ

STREFA  
CIENIA

WYDAWNICTWO  
MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

Okładkę projektował

MICHAŁ BERNACIAK

Redaktor

ELŻBIETA SKRZYŃSKA

Redaktor techniczny

DANUTA WADOWCZYK

© Copyright by Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej

Warszawa 1979

Sześć tysięcy dwieście dwudziesta ósma

publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydanie I.

Nakład 120 000+333 egz

Objętość 9.87 ark wyd.. 8.25 ark, druk.

Papier druk, sat. VII kl 65 g z roli 63 cm

z Głuchołaskich Zakładów Papierniczych.

Oddano do składania 5.VIII78 r.

Druk ukończono w styczniu 1979 r.

Wojskowe Zakłady Graficzne w Warszawie.

Zam, nr 3349 S-97

Cena zł 22.—

## Rozdział I

Wąską Anna Gasse wypełniał cień. Tylko wierzchołki kamienic stojących po jednej stronie ulicy oblewało słońce.

Była piąta po południu. Młody mężczyzna szedł chodnikiem, lustrując wzrokiem mijane domy, i szukał sklepu, którego adresu nie wolno mu było zapisać.

Z ośmiu dni orbisowskiej wycieczki pięć pochłonęło zwiedzanie miasta. Dla zachowania pozorów należało wziąć w tym udział, toteż widoki Belwederu, Schonbrunnu, Prateru, pałace Fürstenbergów, Esterhazych, Dietrichsteinów i wiele innych majaczyły mu jeszcze w pamięci; obrazy i rzeźby z Muzeum Sztuki i Natury, pozostawiły wrażenie chaosu barw i konturów, a neogotyckie piękno ratusza i romańskie reliefy katedry Świętego Stefana nic znikwały spod powiek, mimo że oglądał je bez zainteresowania.

Coraz bardziej bowiem nurtowała go obawa, czy starczy mu czasu na realizację zamiaru, który był główną przyczyną tego wyjazdu.

Dopiero w ostatnich dniach program pobytu uległ rozluźnieniu i członkowie wycieczki mieli więcej

swobody. Skorzystał z tego natychmiast. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami minął Operę i z Könstner Strasse, w obrębie Ringu, skręcił w prawo. W ten sposób znalazł Anna Gasse, z kolei szukał sklepu z pamiątkami.

Wreszcie go ujrzał. Numer domu się zgadzał, a obok drzwi — zgodnie z tym, co mu wcześniej powiedziano — wisiała stara, kuta w żelazie latarnia, kiedyś naftowa, teraz zapewne z ukrytą za mlecznym szkłem żarówką.

I adres, i wskazówki uzyskał po długich staraniach. Obecnie jednak, kiedy nadeszła chwila realizacji powziętego wcześniej zamiaru, zaczął odczuwać obawę przed niewiadomym. W Warszawie wszystko wydawało się łatwiejsze i prostsze.

Nie była to jednak chwila odpowiednia na rozterkę czy wahania, toteż pchnął drzwi.

Sklep był długi i wąski. Za ladą, biegnącą wzdłuż oszklonych gablot, stary człowiek w ciemnym surducie pochylał się ku parze klientów prowadząc z nimi przyciszoną rozmowę. Ostrołukowe sklepienie sufitu, lekki półmrok i ta przyciszona rozmowa sprawiały wrażenie raczej wnętrza kaplicy niż sklepu z pamiątkami.

Właściciel, nie przerywając rozmowy, przesunął po nowym kliencie spojrzeniem znad opuszczonych na koniec nosa okularów, po czym znów całą uwagę poświęcił przeprowadzanej transakcji.

Młody mężczyzna rozejrzał się tymczasem dokładnie po wnętrzu. Za oszklonymi gablotami pełno było zarówno banalnych wyrobów przemysłowych branży pamiątkarskiej, jak i oryginalnych, ludowych z Tyrolu,

Adalbergu, Styrii czy Koryntu. Po przeciwległej stronie stały bębny z mnóstwem kolorowych pocztówek. Zatrzymał się przed nimi i obracając z wolna, oglądał jaskrawe zdjęcia.

Wreszcie właściciel zwrócił się do niego.

— Interesują pana tylko pocztówki? Jak pan widzi, mam w dużym wyborze i inne pamiątki z naszego kraju.

Przybysz zbliżył się do lady.

— Istotnie wybór imponujący — rzucił z uśmiechem, podnosząc wzrok na starego człowieka. Ujrzał chudą twarz o zapadniętych policzkach i utkwione w siebie życzliwe, ale taksujące spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

— Proszę, niech pan obejrzy. — Chuda dłoń wskazała gabloty.

— Słyszałem o panu od przyjaciół, którzy odwiedzali pański sklep. Widzę, że ich pochwały nie były przesadzone. — Młody mężczyzna stanął przed szymbami gablot.

— Mówi pan niezłe po niemiecku, ale akcent zdradza jednak cudzoziemca...

— Ma pan rację. Jestem tu z wycieczką z Warszawy.

— Ach, z Warszawy... — Stary pokiwał głową, a potem dorzucił z uśmiechem: — Polacy zatem również wiedzą, że do Kaufmana warto zajrzeć, jeśli się chce kupić coś pięknego.

W tej chwili do sklepu weszło paru nowych klientów. Młody człowiek odszedł od lady i ostentacyjnie powrócił do oglądania pocztówek. Przerwa w

rozmowie była mu na rękę, gdyż pozwalała na zaakcentowanie, że pragnie odbyć ją bez świadków.

Został widać zrozumiany należycie, bo kiedy kolejni nabywcy wyszli, właściciel zwrócił się do niego już innym tonem:

— No, teraz możemy sobie pogawędzić bez przeszkód. Ruch już mniejszy, bo sezon właściwie się skończył. W pełni lata mam urwanie głowy. Muszą mi pomagać żona i córka.

Młody człowiek utkwiał spojrzenie w oczach starego kupca i rzucił lekkim tonem:

— Czy tylko sprzedaż daje zyski? Nieraz kupno jest lepszym interesem...

Kaufman opuścił wzrok i uśmiechnął się nieznacznie.

— Ma pan zupełną rację, panie...

— Powiedzmy Kowalski...

— Och, te polskie nazwiska są tak trudne do wymawiania. A więc, panie Kowalski, istotnie jest tak, jak pan mówi, bo aby sprzedawać, trzeba i kupować. Ale zależy, co się kupuje. Nie na wszystkim można zarobić. Bywają potem kłopoty...

— Każdy interes to ryzyko. Ale im większe ryzyko, tym większy zarobek. To stara kupiecka zasada.

Pan Kaufman pokiwał głową, a potem utkwiał spojrzenie w twarz swego gościa.

— A konkretnie? Czas, aby pan powiedział, o co chodzi. Co miałbym kupić?

— Obiekt jest kosztowny, sądzę więc, że pan sam

nie będzie w stanie przeprowadzić tej transakcji...

— O to proszę się nie martwić. Ale co to jest?

— Pięć kartek maszynopisu.

Stary spojrział na młodego mężczyznę nieco ironicznie.

— I to ma być przedmiot transakcji? Muszą zawierać niezwykłą treść...

— Właśnie. Bardziej niezwykłą, niż się pan spodziewa. Ich wartość trudno przeliczać na pieniądze, ale może wystarczy panu, jeśli powiem, że zawierają ładunek, który wstrząśnie światowym rynkiem!

— Czy to nie przesada? Wiem, jak bardzo właściciele przeceniają posiadane przez siebie przedmioty.

— W mojej ocenie nie, ma przesady.

— A zatem: co zawierają te kartki?

— O tym chwilowo wolę nie mówić.

— A kiedy? Powiedział pan, że nie stać mnie na sfinansowanie tej transakcji. Być może. Ale czy mogę pośredniczyć na ślepo? Przyjść do przyjaciół i zaproponować im, by kupili pięć kartek papieru?

Kowalski musiał uznać wagę tego argumentu. Stary na pewno był tylko pośrednikiem, a zbyt ogólnikowa oferta nie zainteresuje ludzi, na usługach których pozostaje. Aby zrealizować swoje plany, musiał zaryzykować. Milczał, zastanawiając się, jaką przyjąć taktykę. Stary nie ponaglał, ale obserwował go tylko z lekkim uśmiechem.

— A jeśli panu powiem i nie dojdziemy do porozumienia? Co potem? — Kowalski dał wyraz swoim wątpliwościom.



— Tym proszę się nie niepokoić. Po prostu zapomnę, że pan był kiedykolwiek u mnie. Nigdy pana nie widziałem, nigdzie nie spotkałem.

— To są tylko słowa.

— Obaj operujemy tylko słowami. A ja? Skąd mogę wiedzieć, czy istotnie jest pan zagranicznym gościem, a nie, hm, czymś wystannikiem.

— A wzór mojego krawata?

— Dlatego z panem rozmawiam. Inaczej w ogóle nie poruszałbym takiego tematu.

Kowalski powziął decyzję.

— A więc dobrze. Te kartki zawierają nowo odkrytą metodę produkcji.

— Czego?

— Zastępczego paliwa do silników i turbin.

Stary milczał przez chwilę.

— Hm... no dobrze... — przemówił wreszcie. — To dziedzina, na której się nie znam, ale nie ja będę decydował. Spróbuję, może niektórzy moi przyjaciele tym się zainteresują. Jak długo będzie pan jeszcze w Wiedniu?

— Dwa dni.

— Proszę zatem przyjść tu jutro, powiedzmy o jedenastej. Odwiedzenie mojego sklepu nikomu nie wyda się podejrzanym, moja klientela to głównie cudzoziemcy.

Następnego dnia Kowalski zgłosił się o wyznaczonej godzinie. W sklepie było wprawdzie kilka osób, ale stary kupiec przywitał go swobodnym skinieniem głowy i wskazując ręką drzwi, znajdujące się w głębi

pomieszczenia, rzucił przyjacielsko:

— Niech pan przejdzie do biura, mój kochany.

To „mein Lieber”, stwarzające pozory zażyłej znajomości, zdradzało jednocześnie, że Kaufman nie po raz pierwszy był w podobnej sytuacji.

Kowalski bez dalszych pytań ruszył zdecydowanym krokiem w głąb sklepu i po chwili znalazł się w mrocznym korytarzyku. Zza oszklonych drzwi znajdujących się przed nim dochodził brzęk kuchennych naczyń, na prawych widniał biały szyldzik z czarnym napisem: „Kantor”.

Nacisnął klamkę i przestąpił próg. Pokój był nieduży, o jednym oknie. Stało przy nim staroświeckie biurko. Całą boczną ścianę zajmowały półki z segregatorami, a pod drugą, obok małego stolika, dwa fotele czekały na gości. Jeden z nich zajmował mężczyzna pochłonięty czytaniem gazety. Na odgłos otwieranych drzwi uniósł głowę, odłożył gazetę i wstał z fotela.

Był wysoki i szczupły, ciemne ubranie z dobrego materiału o nieskazitelnym kroju zdradzało dbałość o wygląd. Ściąglą, suchą twarz ożywiały ciemne oczy o badawczym, ostrym spojrzeniu. Gładko zaczesane włosy przyprószały już początki siwizny.

— Pan Kowalski? — Wymówił nazwisko bez obcego akcentu. — Proszę, niech pan siada. — Wskazał dłonią fotel, nie przedstawiając się. — Tu możemy pogawędzić bez przeszkód.

Nieznajomy mówił po polsku z zupełną swobodą. Kowalski nie pytał jednak, skąd tak dobrze zna język,

bo nie to go interesowało. Zajął wskazany fotel i czekał na zagajenie rozmowy przez partnera. Nieznajomy rozpoczął ją bez zbędnych wstępów.

— Wiem już coś niecoś o pana propozycji. Może teraz zechce pan podać nieco więcej szczegółów?

Ponieważ był przygotowany na takie właśnie pytanie, odpowiedział od razu.

— Wie pan, co chcę sprzedać. Ogólnoświatowy kryzys naftowy sprawił, że jeden z naszych profesorów zajął się zagadnieniem wykorzystania alkoholu do produkcji paliwa zastępczego. Jedynym wchodzącym w rachubę jest alkohol metylowy. Metanol, jak pan zapewne wie, jest paliwem czystszy niż benzyna, jeśli chodzi o spaliny i może być stosowany również w turbinach. Problem dotąd polegał jednak na tym, że ma on o połowę mniejszą niż benzyna siłę napędową. Trzeba go więc tankować dwa razy więcej, co pociąga za sobą odpowiednie zwiększenie zbiorników i wagi paliwa, a zatem zmniejsza znacznie udźwig pojazdu. Otóż technologia produkcji opracowana przez naszego profesora pozwala na uzyskiwanie metanolu o podwójnej mocy na jednostkę miary. A więc jest to paliwo równie wydajne jak benzyna, ale znacznie tańsze. Mam tę technologię.

— W jakiej formie?

— Odbitek fotograficznych. Jest to szczegółowe opracowanie wraz z wzorami chemicznymi.

— Nad tym problemem pracują na Zachodzie największe asy z tej branży. Jak dotąd niestety, a może na szczęście, bezskutecznie. A pan twierdzi, że waszemu

profesorowi udało się rozwiązać to zagadnienie... — Ostatnim słowem towarzyszyło ironiczne skrzywienie ust.

— Mówię to z całą odpowiedzialnością. — Ton oświadczenia zdradzał absolutną pewność siebie.

Nieznajomy czas jakiś przyglądał się bez słowa swemu rozmówcy, a potem powiedział:

— Nic o tych pracach nie słyszeliśmy. Czy nie przecenia pan wartości posiadanych materiałów?

— Nie, na pewno nie. Nie słyszeliście, bo prace trzymane są w ścisłej tajemnicy. Ale na Międzynarodowym Sympozjum Chemików, które za dwa tygodnie ma się odbyć w Warszawie, już usłyszycie o paliwie zastępczym, bo profesor ma wygłosić referat na ten temat, rzecz jasna nie wdając się w szczegóły.

— Jak się nazywa profesor?

— Wierzba.

Nieznajomy znów zamilkł, bezceremonialnie przyglądając się młodemu mężczyźnie.

— I udało się panu zdobyć te materiały? — padło po chwili kolejne pytanie.

— Tak.

— Jakiego rodzaju kontakty utrzymuje pan z profesorem?

— Na to pytanie odmawiam odpowiedzi! Sposób, w jaki zdobyłem te materiały, jest tylko moją sprawą! — Kowalski nie potrafił opanować rozdrażnienia.

— Pan powinien nauczyć się udzielania odpowiedzi na wszystkie nasze pytania. — Nieznajomy powiedział to spokojnie, ale właśnie ten spokój nie podobał

się Kowalskiemu. — Im prędzej pan się do tego dostosuje, tym będzie dla pana lepiej. Na razie poprzestaję tylko na ostrzeżeniu.

— A decyzja? — Młody mężczyzna usiłował zmienić temat, by nie zadrażniać sytuacji.

— Zastanowimy się nad pana propozycją. Kiedy wraca pan do kraju?

— Już jutro wieczorem.

— Zna pan dobrze Wiedeń?

— Nie. Jestem tu pierwszy raz.

— Nie szkodzi. Jeszcze dziś o godzinie dwudziestej będzie na pana czekał samochód na rogu Buchwald i Schmid Gasse. Są to uliczki znajdujące się na zapleczu ratusza, znajdzie je pan bez trudności. Jeśli zrezygnujemy z dalszych rozmów, samochodu nie będzie, więc proszę nie czekać.

— A jeśli będzie, to po czym go poznam?

— To czarny mercedes, stary typ. Pozna go pan po niemodnej karoserii.

— Czy może pan mnie zorientować, z kim nawiążę kontakt? Pan Kaufman nic mi o panu nie mówił, a pragnąłbym wiedzieć, kto jest moim partnerem...

Nieznajomy wstał z krzesła.

— Partnerem? — powtórzył i zaśmiał się ironicznie. — Niech pan nie będzie dziecinny, panie, jak panu tam... Od tej chwili jesteśmy zleceniodawcami, a pan wykonawcą. Proszę to zapamiętać!

— Nie pozwolę się tak traktować! — Kowalski zaskoczony pogardliwym tonem zerwał się na nogi, próbując zaprotestować. — Poza tym nie omówiliśmy jeszcze strony materialnej!

— Na to jest jeszcze za wcześnie. O swoim wynagrodzeniu i tym podobnych sprawach usłyszy pan w czasie następnego spotkania — rzucił zimno nieznamomy, wyciągając końce palców na pożegnanie.

Czarną, kanciastą limuzynę stojącą przy krawężniku Kowalski ujrzał już z daleka. Na jej widok napięcie i strach, które niby uprzykrzone ćmienie zęba odczuwał przez całe południe, minęły przynosząc odprężenie. A więc propozycja chwyciła.

Podszedł do samochodu i otworzył drzwiczki. W rogu, na obszernym siedzeniu obitym wytartą już skórą, dojrzał mężczyznę, z którym rozmawiał w południe. Ten skinął ręką, przynaglając go do wsiadania, a potem, kiedy przybysz zajął miejsce, zastukał lekko w szybę oddzielającą wnętrze od kierowcy i wóz z wolna ruszył.

Kowalski, który początkowo postanowił obserwować trasę, wkrótce musiał zrezygnować z tego zamiaru, bo mercedes skręcał raz po raz. Ulice były podobne, szybko więc stracił orientację. Przyszło mu na myśl, że skomplikowana trasa przejazdu została obrana celowo, a pytanie, czy zna miasto, również nie było przypadkowe.

Po dwudziestu minutach jazdy wóz skręcił w jakąś boczną, źle oświetloną uliczkę i zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą, która przypomniała Kowalskiemu podobne, ocalałe po powstaniu na Nowogrodzkiej, Żurawiej czy Hożej.

— Jesteśmy na miejscu — oświadczył nieznajomy.

Minęli mroczną bramę, potem równie źle oświetlone podwórko. Kowalski siedł za nieznajomym, który prowadził go bez słowa.

Klatka schodowa miała wprawdzie drewniane schody, ale była widna i czysta. Nieznajomy zatrzymał się na drugim piętrze i przekreślił uchwyt ręcznego dzwonka na najbliższych drzwiach. Kiedy otwarły się, zapraszającym gestem wskazał towarzyszowi drogę.

W długim przedpokoju znajdowało się kilkoro drzwi. Przy jednej ze ścian stały drewniane wieszaki i tremo sięgające prawie sufitu. Szczegóły te Kowalski dostrzegł mimochodem, bo całą jego uwagę skupił osobnik, który przed chwilą otworzył im drzwi.

Był to tęgi mężczyzna o wystającym brzuchu, p3łnych, nalanych policzkach i nabrzmiątych powiekach. Spomiędzy nich świeciły oczy o ostrym, przenikliwym spojrzeniu. Przesunęło się ono po przybyszu, który odniósł wrażenie, że został sfotografowany.

Grubas wyciągnął miękką dłoń o pulchnych palcach i po tym milczącym powitaniu, nadal bez słowa, ruszył w głąb korytarza.

Pokój, do którego weszli, był obszerny i umeblowany staromodnie. Mimo napięcia, jakiemu uległ, Kowalski niemal z rozbawieniem spoglądał na pluszowe zasłony zaciągnięte na oknach, kanapę o secesyjnych liniach pokrytą połyskującym, brokatowym obiciem i fotele z rzeźbionymi poręczami i oparciami w kształcie

konch. Stojący pomiędzy nimi okrągły blat stołu wspierał się na nogach, wygiętych misternie w wydłużoną literę „S”. Wszystko to robiło wrażenie dekoracji do filmu z czasów ubiegłego stulecia.

Pomyślał, że zarówno ów mieszczański salon sprzed stu lat, jak i licha klatka schodowa nie wskazuje na zbytnią zamożność właścicieli, ale zaraz też uświadomił sobie, że było to zapewne celowo wybrane miejsce, wykorzystywane właśnie dla tego rodzaju kontaktów.

Z fotela podniósł się drugi mężczyzna. Jego kruczoczarne włosy lśniły od brylantyny, a grube wargi rozchyłał powitalny uśmiech. Jednak czarne oczy, połyskujące na tle oliwkowej cery, nie brały udziału w tym uśmiechu. Ich badawcze spojrzenie zlustrowało przybysza, a dopiero potem wyciągnęła się ku niemu upierścieniona dłoń.

Nozdrza Kowalskiego musnął zapach perfum.

— Oto nasz gość, panowie — przedstawił go dotychczasowy przewodnik.

— Proszę — grubas ruchem dłoni, w którym było coś rozkazującego, wskazał jeden z foteli. — Czego się pan napije: whisky czy sherry?

Kowalski odmówił i zajmąwszy wskazane miejsce, milczał wyczekująco.

— Słyszeliśmy o pana propozycji — zagaił grubas — ale zanim ją rozważymy, musimy zaznajomić się z materiałem. Pańskie optymistyczne zapewnienia nam nie wystarczą.

— Czy przywiózł go pan ze sobą? — wtrącił się do rozmowy brunet. Dotychczasowy towarzysz Kowalskiego



nie zabierał obecnie głosu. Usiadł na uboczu i w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie.

— Nie przywiozłem, bo uważałem to za zbyt niebezpieczne. Ale znam jego wartość i mogę zapewnić, że jest duża. Chodzi przecież o pełną i dokładną dokumentację dotyczącą wiadomej już panom produkcji.

— Mam nadzieję, że ta pewność siebie jest uzasadniona i jest pan na tyle rozsądny, by nie wprowadzać nas w błąd. Bardzo nie lubimy przesady — uzupełnił grubas.

W jego głosie zabrzmiała groźba. Nastrój, w którym rozpoczęła się rozmowa, był daleki od przewidywań Kowalskiego i sprawił, że znów naszło go nieprzyjemne uczucie konsternacji i niepokoju. Liczył się z trudnościami tej rozmowy, ale raczej o charakterze handlowym. Targami o cenę, badaniem jego osoby czy kontaktów, ale nie wręcz lekceważącym traktowaniem. Już podczas pierwszej rozmowy w sklepie był zaskoczony tonem niektórych wypowiedzi. Łudził się jednak, że ma do czynienia z indywidualnym sposobem bycia, ale w szerszym gronie zdoła wrócić do rangi pełnoprawnego partnerstwa. Teraz zaczęła się w nim rodzić obawa, że niczego nie zdoła już zmienić. Usiłował jednak takiej próby dokonać.

— Ja też jej nie lubię — odpowiedział, siłąc się na spokój. — Poza tym chcę zwrócić uwagę, że jak dotąd mówimy tylko o tym, co ja mam do ofiarowania, natomiast nie padło ani jedno słowo o tym, na co mogę liczyć ze strony panów... Może usłyszę wreszcie cenę.

— Nie ma mowy o żadnej cenie! — prychnął grubas. — Przecież wartość obiektu znamy tylko z pana opisu! Niech pan nie plecie bzdur!

Kowalski zacisnął usta, starając się opanować. Odezwwał się dopiero po chwili.

— A więc dobrze... Za dwa tygodnie odbędzie się w Warszawie symposium chemików z udziałem zagranicznych gości. Sądzę, że potrafią panowie wysłać tam jako uczestnika zaufanego człowieka, który będzie się znał na rzeczy. Po nawiązaniu ze mną kontaktu otrzyma materiał do wglądu. Zakładam, że żadna niespodzianka z jego strony mnie nie spotka... Zresztą postaram się zabezpieczyć przed taką ewentualnością.

— Jak pan sobie wyobraża nawiązanie tego kontaktu?

— Wysłannik panów zgłosi się pod podany przeze mnie adres, a wówczas wyznaczę mu czas i miejsce następnego spotkania. Bo w tym pierwszym miejscu może się pojawić tylko raz.

— O następnym spotkaniu nie pan będzie decydował. Jaki to adres i kto tam mieszka?

— Jest to stara, samotna kobieta, dawna przyjaciółka mojej matki.

— Jej adres?

Kowalski po krótkim wahaniu podał ulicę i numer domu.

Grubas wyjął kartę papieru i podsunął ją wraz z długopisem Kowalskiemu.

— Proszę zrobić szkic trasy i położenie domu.

Ten uniósł brwi ze zdziwieniem, ale wykonał polecenie. Oddając szkic, zapytał:

— Kiedy mogę go oczekiwać?

— W ciągu najbliższych dwóch tygodni, w dni parzyste. Otrzyma pan pozdrowienia dla Jana Grubera oraz informację, że paczka zostanie wysłana pocztą. Odpowie pan, że wiadomość ta zostanie przekazana ciotce Matyldzie. A poza tym...

Grubas urwał, podsunął ku sobie stojący na stole talerzyk do owoców, obrócił spodek do góry i uderzył weń pięścią. Następnie wybrał ze skorup dwa kawałki i jeden z nich podał Kowalskiemu.

— Podczas spotkania nasz człowiek wręczy panu kawałek talerzyka, który jednym z boków musi pasować do tego. Proszę.

— Może być i tak — rzekł pojednawczo Kowalski.

— Pana sprzeciw czy zgoda mało mnie obchodzą — usłyszał w odpowiedzi. — Proszę powtórzyć otrzymane wskazówki.

Kowalski spełnił polecenie, ale próbował jeszcze za protestować:

— Wciąż jednak nic nie wiem ani o wynagrodzeniu, ani o sposobie jego wręczenia...

— O tym już mówiliśmy — zabrał głos brunet. — Wysokość wynagrodzenia zostanie ustalona po dokonaniu oceny materiałów, a pieniądze zostaną wypłacone na hasło w Creditanstalt tu, w Wiedniu. Proszę już do tej sprawy więcej nie wracać — zakończył z wyraźną nutą zniecierpliwienia.

Kowalski, zanim odezwał się ponownie, musiał opłamać skurcz gardła.

— Nie sądzę, aby panowie nie mieli konkurencji.

Inne koncerty naftowe na pewno będą ze mną rozmawiać bardziej uprzejmie...

— Ale nawiązał pan kontakt z nami, więc odwrotu już nie ma, panie Kowalski. Proszę to sobie dobrze zapamiętać — rzekł z pogroźką w głosie grubas. — Już pana znamy, więc sądzę, że pamiętając o tym będzie pan postępował rozsądnie. Kiedy pan wyjeżdża?

— Jutro.

— A więc powodzenia. — Grubas wstał z fotela i zwrócił się do milczącego wciąż przewodnika Kowalskiego. — Oddajemy panu naszego gościa. Ustaliliśmy już chyba wszystko.

Nieznamy podczas powrotnej drogi nadal przez cały czas milczał. Zresztą Kowalskiemu nie zależało na rozmowie, a nawet wolał ciszę, która wraz z ciemnością wypełniała wnętrze wozu. Odtwarzał sobie teraz w myślach przebieg rozmowy, która go rozczarowała. Nie spodziewał się takiego wyniku swojej inicjatywy. Został zepchnięty do roli pacholka, któremu dyktuje się polecenia. Zawiódł się głęboko, ale już było za późno, bo rozważając w pamięci szczegóły spotkania zaczął podejrzewać, że zostało ono nagrane, a on sam sfilmowany. I nie grało już roli, gdzie to się stało — tu czy u Kaufmana.

## Rozdział 2

Instytut Paliw i Smarów mieścił się w nowoczesnym, ale niskim, bo dwupiętrowym budynku przy ulicy Wężowej. Na parterze znajdowały się pomieszczenia administracyjne, pierwsze piętro zajmowała dyrekcja i biuro, drugie pracownie i laboratoria.

Gmach był przestronny, o długich korytarzach. Stał w otoczeniu drzew, oddalony od ulicy podjazdem dla samochodów. Nad wejściem znajdował się betonowy dach, wsparty na dwóch skośnych słupach.

Aby dostać się do znajdującego się na pierwszym piętrze gabinetu profesora Wierzby, należało przejść przez pokój jego sekretarki.

Smuga słonecznego blasku kładła się tu jasnym pasmem na pancerną kasę i stojącą obok niej oszkloną szafę z segregatorami. Stolik z maszyną do pisania znajdował się z boku, chroniony przed światłem słońca przez na wpół zaciągniętą kolorową zasłonę.

Panna Burska siedziała przy maszynie, ale nie pisała, była bowiem zajęta rozmową. Gdy siedziała, trudno było ocenić walory jej sylwetki, ale skierowane na rozmówcę spojrzenie ciemnych oczu, mimo zawartego w nim wyrzutu, miało wiele uroku.

— Nie męcz mnie! Byłeś dotąd cierpliwy, więc jeszcze trochę zaczekaj...

Mężczyzna, z którym rozmawiała, siedział oparty bokiem o jej biurko. Spoglądał na dziewczynę i bawił

się linijką uderzając nią po rozłożonych papierach.

Miał zapewne niewiele ponad trzydzieści lat, ale lśniące, białe zęby i falujące blond włosy czyniły go jeszcze młodszym. Twarz o twardych rysach, mocnej szczęce i ze zmarszczką na czole wyrażała raczej gniew, czemu przeczył jednak żartobliwy błysk oczu.

— Moja cierpliwość już się wyczerpała — słowem tym towarzyszyło mocniejsze uderzenie linijką. — Chciałbym ci przypomnieć, że to już trzecia nie zwrócona pożyczka!

— Nie bądź taki nudny! — Ładne usta dziewczyny wykrzywiły się w grymasie. — Przesiedziałam sporo wieczorów nad tym cholernym materiałem i dostanę trochę grosza. Profesor nie jest skąpy, więc sądzę, że wystarczy na pokrycie długu. Zresztą... — urwała i chciała zabrać się do pisania, ale blondyn podjął przerwane zdanie.

— Co: zresztą?

Panna Burska uśmiechnęła się.

— Zresztą nie jestem winna aż tyle, żeby robić z tego dramat, szanowny kolego Białomski. A po drugie nie wydaje mi się, aby te pieniądze były ci tak bardzo potrzebne. Przecież ani żony, ani dzieci... Po cóż więc ta bezwzględność w stosunku do biednej dziewczyny...

Panna Lena westchnęła i spojrzała na swego rozmówcę kpiąco, ale i nieco kokieteryjnie.

— Każdy ma swoje kłopoty, biedna dziewczyno. A co do wysokości długu, to mam na ten temat nieco inne zdanie.

— Heniu, dajmy już temu spokój! Śpij spokojnie, forsa będzie, mimo że mnie może tu nie być!

Białomski spojrział z zainteresowaniem na Lenę.

— A to co nowego?

— Właśnie chciałam się poradzić, bo mimo twego nieznośnego charakteru uważam cię za przyjaciela. Otrzymałam ciekawą propozycję. Jeden z zespołów filmowych zaproponował mi objęcie sekretariatu. Do stałabym dużo więcej, bo o jakieś dwie grupy wyżej...

— Ho, ho... No i zgodziłaś się?

— Sama jeszcze nie wiem — dziewczyna wzruszyła ramionami. — Duża różnica w wynagrodzeniu, ale do starego już się przyzwyczaiłam. Poza tym nie mam tu dużo roboty, tam zaś byłoby na pewno urwanie głowy. Co o tym sądzisz?

Białomski milczał przez chwilę.

— Ja nie zmieniałbym pracy. Już sama dostrzegasz różnicę, a do tego dochodzi obce środowisko i nieznanne stosunki. Tu masz święty spokój, bo zjazdy nie odbywają się zbyt często, a tam musiałabyś orać na całego. Zresztą taki szef jak Wierzba też jest coś wart. To porządny człowiek.

— Właśnie. Toteż nie dałam jeszcze ostatecznej odpowiedzi i wciąż się waham.

— Jeśli pytasz mnie o zdanie, to radziłbym nie zmieniać krzeselka. Mówiąc szczerze, nie jesteś pracusiem, bo gdybyś chciała dorobić, to przy twoim opanowaniu maszyny mogłabyś wystukać drugą pensję. Ale ty oczywiście wolisz naciągać na pożyczki naiwnego Białomskiego...

— Właśnie! — dziewczyna roześmiała się, a potem

spojrzała na zegarek. — Mimo że masz taką opinię o mojej pracowitości, muszę zabierać się do roboty, bo niedługo zjawi się profesor.

— Kiedy ma przyjść?

— Chyba za godzinę.

— Sympozjum już za tydzień. Dużo zostało do zrobienia?

— Właśnie zaczynam referat oficjalny. Nareszcie!

— A jak maszyna? Po reperacji nie ma już kłopotów?

— Już nie, serdeczne dzięki. Coś jednak w tej administracji przecież robicie.

Białomski odłożył linijkę i wstał z krzesła, rozpoczynając spacer po pokoju.

— Instytut to nie jakaś tam fabryczka — mruknął, a potem spytał: — Nie widziałem dawno Karola, czyżbyście się pokłócili?

— Nie utrzymuję z panem Czepigą na tyle bliskich kontaktów, aby to było ważne... — ostentacyjnie oświadczyła dziewczyna.

— Gadaj zdrowa — trywialnie skwitował tę deklarację Białomski i dorzucił: — Zresztą nie byłoby w tym nic dziwnego. To przystojny chłopak i ma powodzenie...

Panna Burska już bez słowa obróciła się do maszyny i zaczęła zakładać na wałek papier, ale i teraz nie dane jej było zabrać się do roboty, gdyż drzwi otworzyły się bez uprzedniego pukania i na progu stanęła wysoka, szczupła dziewczyna o kasztanowych włosach. Za nią w mroku korytarza zamajaczyła twarz młodego mężczyzny.



— Serwus, Lena — rzuciła, podchodząc do Burskiej. — Jest wujek?

— Jeszcze nie. Telefonował niedawno, że będzie za godzinę.

— To znaczy, że co najmniej za dwie. No, trudno. A, pan Henryk! Dzień dobry panu!

— Dzień dobry, panno Amo... Jak zawsze piękna, beztroska i pełna wdzięku...

— Teraz pan to dopiero zauważył?! Chodź, Raj — obróciła się za siebie. — I pozwól, że cię przedstawię.

Towarzysz dziewczyny był wysokim, młodym mężczyzną z opadającą na czoło grzywą ciemnych włosów. Pod równie ciemnymi brwiami połyskiwały oczy o bystrym spojrzeniu. Ubrany był w granatowe dżinsy i szary pulower.

— Moja ostatnia zdobycz — przedstawiła go Ama.

— Sądziłem, że to ja jestem zdobywcą — rozśmiał się młody człowiek i przedstawił się Burskiej: — Skiba.

— Tę iluzję one łaskawie nam pozostawiają — rzucił sentencjonalnie Białomski, ściskając rękę przybyłego, po czym zwrócił się do dziewczyny:

— Niestety, wuj ostatnio jest bardzo zajęty. Może coś powtórzyć, czy pani zaczeka, panno Amelio?

— Z tym zjazdem to istne urwanie głowy! Na nic nie ma czasu! Zostawił mnie zupełnie bez pieniędzy, ale mimo to czekać nie będę.

Kiedy oboje odeszli, Burska mogła wreszcie zabrać się do pisania.

Chyba dziś już nie ma tych samotnych, starych kobiet, które związane luźnymi więzami pokrewieństwa z jakimś domem poświęcały mu swoje życie. Dbały i troszczyły się o, wszystko, a młodej generacji — jeśli zaszła taka potrzeba — zastępowały matkę.

Jak daleko sięgał pamięcią w dzieciństwo, właśnie ciotka Antonina martwiła się, czy szalik i rękawiczki ma dostatecznie ciepłe i czy nie zapomniał wziąć do szkoły śniadania.

Jeszcze do niedawna rzadko odwiedzał samotną starszkę, ale ostatnio wpadał do niej co drugi dzień, póki miała dziewczynka, której otworzył drzwi, nie wręczyła mu zaklejonej koperty.

Była to zwykła, niebieska koperta, bez adresu i bez nazwiska. Nie mogło zresztą być inaczej, ale na pytanie, jak wyglądał człowiek, który wręczył tę kopertę, otrzymał po dziecinnemu mętną odpowiedź.

W kopercie znalazł małą kartkę, na której ktoś napisał drukowanymi literami: „Jutro punktualnie jedenasta, Bazar Różyckiego, pierwszy rząd, pierwsze stoisko z odzieżą, licząc od głównego przejścia. Oglądać koszule, pytać o niebieską w białe paski”.

A więc wysłannik przybył. Należało teraz przygotować się do spotkania.

Na miejscu zjawił się przed jedenastą, by mieć czas na odszukanie właściwego stoiska. Przekonał się rychło, że było ono dobrze wybrane, bo punkt był ruchliwy, a krążący tu tłum kupujących pozwalał na nawiązanie

kontakty bez zwracania czyjejkolwiek uwagi..

O umówionej godzinie podszedł do stoiska. Za zrzucaną towarami ladą stała otyła sprzedawczyni, zachwalając jakiejś parze kupujących wybrany przez nich garnitur. Mimo zaabsorbowania transakcją nie omieszkła nawiązać kontaktu z nowym klientem, odwracając się ku niemu.

— A pan szanowny co uważa?

— Chciałbym wybrać jakąś letnią koszulę. Ma pani coś takiego?

Do straganu podszedł młody brunet, co nie uszło uwagi nowego nabywcy.

— A są, są... Jaki numerek pan szanowny nosi?

— Trzydzieści osiem. Ale chodzi mi o niebieską w białe paski...

— Takiej nie mam.

— Jak się masz, stary! — usłyszał. — Co tu kupujesz?

— Letnią koszulę, niebieską w białe paski. Nie mogłem takiej dostać w żadnym ze sklepów.

— Mam pozdrowienia dla Janka Grubera! Powiedz mu, że paczkę otrzyma przez pocztę.

— Poinformuję o tym ciotkę Matyldę. Na pewno się ucieszy.

Sprzedawczyni widząc, że nowy klient przestał interesować się zakupem, zajęła się poprzednimi nabywcami. Oni zaś, idąc obok siebie, wmieszali się w tłum i skierowali ku wyjściu.

— Dziś wieczór — rzucił w pewnej chwili brunet — godzina dwudziesta druga pod mostem na Karowej. Będę czekał w granatowym fiacie, numery końcowe

osiem i siedem. Proszę wziąć z sobą materiał i ów wiadomy panu fragment.

Kiedy znaleźli się przy wyjściu, skinął na pożegnanie głową i bez słowa rozpląnął się w ulicznym tłumie.

Symposium chemików miało odbyć się w ośrodku doświadczalno-szkoleniowym Instytutu Paliw i Surowców. Ośrodek usytuowany był w lesie; prowadziła doń boczna, asfaltowa droga, odchodząca od trasy E7. Dojazd był więc wygodny.

W otoczonym sosnami budynku ośrodka znajdowała się duża sala widowiskowa, w której zwykle wyświetlano filmy czy przezrocza. Obecnie salę tę przeznaczono na obrady, dla dziennikarzy zaś zarezerwowano jedno z pomieszczeń bocznych, w którym zainstalowano dalekopisy i telefony.

Wielki hol wejściowy prowadził do nie mniejszego foyer, poprzedzającego główną salę. Szerokie przejście prowadziło stąd do przeszklonej czytelnicy z dużym tarasem. Obok znajdował się barek kawowy, czynny teraz przez cały dzień. Sekretariat symposiumu zajął natomiast dwa pokoje, położone obok holu wejściowego.

Ogłoszono właśnie przerwę i sala widowiskowa niemal opustoszała. Tylko tu i ówdzie nieliczni uczestnicy zjazdu, stojąc w przejściach, omawiali wygłoszone już referaty. Wszyscy jednak z wielkim zainteresowaniem czekali na referat profesora Wierzbę zapowiedziany po przerwie.

Większość jednak spacerowała po foyer i holu,

korzystając z możliwości zapalenia papierosa. Wśród tłumu kręcili się dziennikarze krajowi i zagraniczni, fotoreporterzy i operatorzy filmowych kronik. Tu i ówdzie tworzyły się kilkuosobowe grupy — to dziennikarze oblegali bardziej znanych naukowców, którzy odpowiadali na stawiane im pytania, usiłując zachować uśmiech na twarzy. Raz po raz błyskały flesze.

Zajęte były wszystkie miejsca przy stolikach w barze kawowym; dwie przystojne dziewczyny nie mogły nadążyć w obsłudze nagłej fali gości. Ci mieli jednak dość czasu na oczekiwanie, bo przerwa trwała godzinę.

Profesor Wierzba w towarzystwie swojej sekretarki zajął jeden z bocznych stolików, zresztą zarezerwowany zawczasu dla niego. Obsłużony został niemal natychmiast; jego popularność wywarła zapewne swój wpływ i na młode kelnerki.

Niedługo jednak siedzieli sami. Wkrótce przysiadł się do nich asystent profesora Meierbacha z Bazylei, doktor Bern. Doskonale skrojony garnitur podkreślał jego barczystą sylwetkę — raczej sportowca niż człowieka nauki. Zaraz potem przy stoliku profesora znalazł się i doktor Baszir Manami z kairskiego uniwersytetu.

Początkowo brał udział w prowadzonej po angielsku dyskusji, ale zorientowawszy się, że i sekretarka profesora włada tym językiem, wycofał się z rozmowy na tematy fachowe, poświęcając całą uwagę właśnie jej. A ponieważ miał oliwkową cerę i ciemne oczy, panna Lena nie miała nic przeciw temu. Nie wzięła mu nawet

za złe, że niemal od razu, po krótkim tylko wstępie, odkrył swe rzeczywiste zamiary.

— Bardzo mi się podoba wasza stolica — zagaił rozmowę. — To nowoczesna metropolia.

— Tak — zgodziła się dziewczyna. — Z roku na rok zmienia się coraz bardziej. Niedługo już zapomniemy, jak wyglądała tuż po wojnie.

— Nie widziałem jej wówczas. Jestem u was pierwszy raz.

— Warszawa po wyzwoleniu była jednym rumowiskiem.

— To doprawdy wstrząsające. Czy istnieją z tego czasu jakieś rysunki lub fotografie?

— I zdjęć, i rysunków jest dużo.

— Czy można je kupić? Może pani mogła by mi w tym pomóc?

Lena roześmiała się.

— Zależy panu na zdjęciach, czy na mojej pomocy?

Doktor Manami roześmiał się również. — Oczywiście na pani pomocy. Nie znam tu przecież nikogo.

— Niestety, jestem teraz tak zajęta, że nie mam nawet chwili dla siebie!

— Nie tracę jednak nadziei, że znajdzie pani czas na wypicie chociażby filiżanki kawy...

Lena nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż rozmowę przerwało zjawienie się przybysza, który stanął przed ich stolikiem, kłaniając się profesorowi.

Był to mężczyzna po trzydziestce o sięgających kołnierza włosach, skośnie przyciętych bokobrodach i ściągłej, nieomal ascetycznej twarzy. Jego czarne,

ruchliwe oczy omiotły towarzystwo szybkim spojrzeniem.

— Przysłała mnie pan Białomski — rzucił półgłosem. — Przywiozłem odebrane właśnie z drukarni zaproszenia na przedstawienie operowe. A tu jest dzisiejsza korespondencja. — Położył przed panną Burską teczkę zawiązaną tasiemką.

— Dobrze, panie Dektura. Proszę podziękować panu Białomskiemu, a zaproszenia pozostawić w sekretariacie kongresu — rzucił z pewnym zniecierpliwieniem Wierzba.

— Już to zrobiłem. — Pan Dektura skłonił się lekko. — Czy pan profesor nie ma żadnych poleceń?

— Nie, chwilowo nie. Proszę być jednak w kontakcie z sekretariatem.

Pan Dektura pochylił się w ukłonie i ponownie zlustrował spojrzeniem towarzystwo, a potem odwrócił się, znikając między stolikami.

Doktor Manami znów nie usłyszał odpowiedzi na swoją propozycję, gdyż do towarzystwa przyłączył się nowy gość. Był nim pan Jonatan Levy, korespondent „Wiener Journal” — uśmiechnięty brunet w okularach o czarnej oprawie. Przywitawszy się z profesorem, zagadnął go od razu:

— Czy zna pan ostatnią sensację? — Uśmiechając się bez przerwy, spojrzął po obecnych.

— Cóż tam ma pan nowego? — zainteresował się Wierzba.

— Po raz pierwszy od kilku lat akcje siedmiu siostr spadły na giełdzie Nowego Jorku i Londynu, i to od razu o trzy punkty!

- Czyżby miało to związek z naszymi obradami?
- Nie tyle z całymi obradami, ile z pana referatem, profesorze. Nie sądzi pan chyba, że przejdzie on bez echa na giełdach świata?
- Sądzę, że zbyt wiele spodziewacie się po tym referacie — rzucił niechętnie Wierzbę. — Nie będzie w nim materiału do zrobienia bomby prasowej.
- Wystarczą już tematy zakulisowych rozmów!
- Co to jest te siedem szarych sióstr? — Lena spojrzała pytająco na dziennikarza.
- Nazwę tę nadano na wschodzie zachodnim koncernom naftowym, które, konkurując ze sobą, w pewnych sytuacjach zawierają jednak ciche porozumienia, zwłaszcza jeśli chodzi o kraje arabskie, które w zasadzie uwolniły się od kontroli zagranicznej. Dawne koncesje wprawdzie jeszcze istnieją, ale w ograniczonej formie, głównie bez prawa decydowania o cenach i poziomie wydobycia.
- Czy nie oznacza to swego rodzaju wojny z Zachodem?
- Oczywiście! — Mister Levy ożywił się coraz bardziej. — Poruszyła pani zagadnienia, w których się specjalizuję, co było zresztą powodem, że zostałem przez swoją redakcję przysłany na ten kongres. Ponieważ kraje zrzeszone w OPEC zdobywają coraz większe kapitały, w pewnych kołach zachodnich zaczynają się obawiać, że za kilka lat państwa te będą w stanie wykuścić najważniejsze obiekty gospodarki zachodniej,



zakłócać rynki pieniężne, a nawet obezwładnić finansowo każdy kraj! Zresztą już obecnie arabskie państwa zaczynają przejmować avoiry spółek zachodnich. I tak Kuweit Investment Company została powołana jako centrala dyspozycyjna dla lokowania kapitałów naftowych, w Zarządzie Międzynarodowego Funduszu Walutowego zasiada arabski magnat naftowy Anwar Ali, a we władzach Chase Manhattan Bank, First National City i Morgan Guaranty Bank znajdują się szejkwowie i bankierzy arabscy! W USA nazywają to „the new way of banking”. To na odcinku nafty. Poza tym kapitały arabskie coraz głębiej wnikają w gospodarkę Zachodu, przejmując akcje przedsiębiorstw, nabywając tereny, nieruchomości...

— Ciekawe, czym się to skończy?

Levy nie odpowiedział, bo w tej chwili ukazała się Ama. Wymijając kręcących się wśród stolików gości, zbliżyła się do towarzystwa. Tak jak poprzednio towarzyszył jej młody brunet.

— No, nareszcie cię przyłapałam, wujku. — Schyliła się, całując profesora w czoło.

Ten ujął ją za ramię.

— Coś ważnego?

— Dzwonił profesor Hańcza. Prosi o telefon, ma jakąś pilną sprawę.

— Stary nudziarz! Wiem, o co mu chodzi! Jak się masz, Rajmundzie — zwrócił się z kolei do towarzysza dziewczyny. — Siadajcie, mamy jeszcze trochę czasu.

Zaczęło się zwykle w takich wypadkach przesuwanie i dostawianie krzesel. Wreszcie Ama ulokowała się

pomiędzy panem Bergiem i wujem, a Skiba oddzielił Lenę od dziennikarza, zresztą ku jej zadowoleniu, bo czuła, że wsiadł na ulubionego konika i nieprędko z niego zeskoczy. Od razu więc zagadnęła młodego człowieka:

— Czemu przypisać pana obecność na obradach? Czy tylko osobie Amy?

— To przede wszystkim. Ale obradami interesuję się również jako chemik.

— A więc i pan należy do tego klanu? Nie wiedziałam o tym!

— Nic dziwnego, przecież poznaliśmy się dopiero dzisiaj.

— Ale Amę znam od paru lat. Nic mi o panu nie mówiła.

— Może dlatego, że zostałem zauważony niedawno.

— Cóż za brak spostrzegawczości! — roześmiała się Lena. — A może celowo ukrywała przede mną tę znajomość?

— Jeżeli tak, to miała rację, bo konkurencja jest istotnie niebezpieczna.

Skiba nie omieszkał poprzeć tej deklamacji wymownym spojrzeniem.

— Nie wchodzę przyjaciółkom w drogę...

— o szkoda. Oczywiście jeśli to prawda.

— Zapewniam pana, że prawda...

— A to pech! A już miałem nadzieję, że może zechce mi pani pokazać jakieś rodzinne zdjęcia... Ostatecznie mogą być nawet znaczki pocztowe...

— Mam z kim spędzać wolne wieczory.

— Nie wątpię. Zazdroszczę mu... — Skiba westchnął

ostentacyjnie, a Lena znów się roześmiała, tym razem na tyle głośno, że usłyszała ją Ama. Spojrzała w ich stronę i zwróciła się do Skiby:

— No cóż, motylku, może pofruniemy?

— Poczekaj jeszcze chwilkę. Przyjemnie mi się gawędzi...

Ama pogroziła mu palcem, ale nic już nie powiedziała, zagadnięta przez doktora Berga. W tym momencie do stolika przycisnął się fotoreporter z aparatem zawieszonym na piersi i fleszem w ręku.

— Panno Heleno — zwrócił się do Burskiej — moje dzięki pani uzyskam zgodę profesora na parę zdjęć?

Dziewczyna uniosła głowę.

— Jak się masz! Panie profesorze, to pan Czepiga z agencji fotograficznej. Pozwoli pan?

— Przecież się znamy! Zgoda, skoro ma taką protekcję! To chyba zabieg bezbolesny, młody człowieku? — rzucił z humorem Wierzbą.

— Absolutnie tak, panie profesorze! I bardzo krótki!

Błysnął flesz raz, drugi, trzeci, potem Czepiga podziękował ukłonem, Lena zaś wskazała mu wolny taboret przy sąsiednim stoliku.

— Bierz go i przysiądź się do nas. Niestety, przerwa zaraz się kończy.

Czepiga skorzystał z zaproszenia. Skiba obrzucił przybyłego lustrującym spojrzeniem, a potem przesunął się nieco, by zrobić mu miejsce. Fotoreporter był przy stojnym szatynem o jasnych oczach i regularnych

rysach twarzy. Nieco piegów dodawało jej chłopięcego wyrazu.

Wkrótce potem profesor wstał od stolika, a za nim reszta towarzystwa. Wierzba, idąca za nim sekretarka, do której przyłączył się Czepiga i doktor Manami skierowali się na salę obrad.

W foyer profesor został zatrzymany przez siwego, starszego pana w czarnym tużurku i sztywnym pastorskim kołnierzyku.

— Och, mister Wierzba! — zawołał, wyciągając do profesora rękę. — Zapewne pamięta mnie pan ze zjazdu w Mediolanie?

— Ależ oczywiście, profesorze Blackburn! Witam pana w Polsce!

— Pozwoli pan — Anglik obrócił się ku stojącemu za nim brunetowi o opalanej twarzy — że przedstawię panu mego sekretarza, Filipa Marco. Bardzo chciał poznać tak sławnego człowieka jak pan!

Marco schylił głowę w ukłonie. Kruczoczarne włosy i ciemne, połyskujące oczy czyniły z niego atrakcyjnego mężczyznę. Wymienił uścisk dłoni z profesorem, potem kolejno z panną Burską i Czepigą. Z jego twarzy nie schodził pełen uprzejmości uśmiech.

— Pochodzi z Malty, ale ukończył Cambridge i jest zdolnym chomikiem — uzupełnił prezentację Blackburn, a następnie obaj profesorowie ruszyli na salę obrad. Czepiga musiał wrócić do swoich czynności, więc panna Burska pozostała w towarzystwie Baszira Manami.

## Rozdział 3

Na tle czerni zalegającej pod łukowatym sklepieniem mostu migotały dwa światła postojowe. Ciemna postać zbliżyła się do nich szybkim krokiem i zniknęła we wnętrzu wozu.

Samochód z wolna ruszył. Kierowca nie odzywał się do przybysza, ten również milczał. Wydostali się na Krakowskie Przedmieście, minęli plac Teatralny i dopiero gdy skręcili w Bielańską, prowadzący wóz mężczyzna spytał:

— Ma pan materiał, panie Kowalski?

— Czy możemy mówić swobodnie?

Kierowca roześmiał się.

— Chwalebna ostrożność! Ale niech się pan nie obawia! Podśluch nam nie grozi!

— A więc, panie...

— No, przecież się już znamy — przerwał kierowca — więc po co nazwiska? Chyba że zechce mnie pan też nazywać Kowalskim — roześmiał się. — To dzisiejsze poranne spotkanie było dla mnie bardzo cenne!

— Dla mnie również... — uciął opryskliwie Kowalski.

Auto skręciło w Daniłowiczowską, minęło dom Pod Królami i zatrzymało się pomiędzy pniami rosnących obok drzew. Pobliska trasa W-Z szumiała potokiem samochodów, ale tu było cicho, pusto i ciemno.

— A więc, wracając do tematu... — kierowca zawiesił głos, wyłączając stacyjkę.

— Materiał mam. Oto on. — Kowalski wyjął z

zanadrsa sztywną, jasnożółtą kopertę i wręczył ją towarzyszowi. Ten skinął bez słowa głową.

— Kiedy otrzymam odpowiedź?

— Powiedzmy, za dwa dni.

— Wolałbym jednak zasadniczą rozmowę prowadzić gdzie indziej.

— Oczywiście. Jakieś miejsce się znajdzie.

— A więc gdzie i kiedy?

— Pojutrze o tej samej porze co dziś w tym samym miejscu.

— Zgoda. Wsiądę tutaj.

— Dobrze. — Kierowca przekręcił kluczyk i silnik zaszumił.

— Aha, i jeszcze jedno, — Kowalski, który wysiadł już z wozu, nachylił się ku jego wnętrzu, przytrzymując drzwiczki. — Materiał, który panu dałem, jest odbitką oryginału i służy tylko dla zorientowania się co do jego wartości. Będzie pan miał godzinę, by się nad tym zastanowić, potem tekst zniknie. Przfotografowanie też nic nie da, bo ostre światło zniszczy go od razu. Najlepiej czytać przy czerwonym abażurze.

W mroku zalegającym wnętrze wozu panowało przez chwilę milczenie, a potem rozległ się cichy śmiech.

— Jest pan pomysłowy, panie Kowalski. Dziękuję za tę informację.

Wóz ruszył i wkrótce zniknął za zakrętem ulicy.

Major Szeruda odchylił się na oparcie krzesła, przerywając czytanie. Przez chwilę spoglądał na zieleni

drzew rosnących za oknem, a potem wyciągnął rękę w stronę telefonu.

— Łuba? — rzucił po chwili. — Zajdźcie do mnie.

Odłożył słuchawkę i znów zagłębił się w papierach leżących w rozłożonej na biurku teczce.

Wkrótce zjawił się porucznik Łuba, przeniesiony z prowincjonalnego miasteczka do Centrali nie bez inicjatywy Szerudy, który wówczas prowadził tam pewną sprawę.

Porucznik był szczupłym, wysportowanym młodym człowiekiem o jasnej czuprynie i przeważnie uśmiechniętej twarzy.

— I co z Burską? — zagadnął go Szeruda, kiedy wezwany zajął miejsce po drugiej stronie biurka. — Zdecydowała się?

— Nie. Nasza przynęta nie chwyciła.

— Hm... To ciekawe... Dwie grupy wyżej, a poza tym zespół filmowy... To powinno było wystarczyć, a jednak oparła się takiej pokusie. Co o tym sądzicie?

— A może uległa czyjemuś wpływowi?

— Macie na myśli tego „jedynego”? Mógł istotnie bać się, że nowe otoczenie odciągnie od niego dziewczynę. Czy wiadomo, co było powodem odmowy?

— Twierdzi, że przyzwyczaiła się do Wierzby, a poza tym boi się, że w zespole będzie musiała zbyt ciężko odrabiać tę różnicę w pensji.

— Trochę racji w tym jest. A co ze Skibą?

— Krąży wokół panny Targoń, ale ostatnio zainteresował się i Burską.

Szeruda uśmiechnął się.

— No proszę, co za aktywność... Zatem panna Amelia nie flirtuje już z Białomskim?

— Wygląda na to, że lubi częste zmiany. — Łuba spojrział spod oka na majora.

Szeruda zauważył to spojrzenie i zrozumiał jego sens.

— Co się gapisz? — burknął. — Jej awanse pod moim adresem mało mnie obchodzą!

— To źle, obywatelu majorze — stwierdzał zdecydowanie porucznik.

— Co masz na myśli?

— To, że była kochanką Białomskiego.

— A jeśli nawet, to co z tego?

— Zastanawiam się, czy tylko osobisty urok majora spowodował tę zmianę zainteresowań.

— No cóż, nie oceniasz zbyt wysoko swego zwierzchnika, ale muszę przyznać, że w tym, co, mówisz, jest pewien sens. Może Białomski istotnie jest inicjatorem tej zmiany frontu? Te awanse mogą równie dobrze wynikać z... hm, żyłki sportowej, jak z zupełnie innych pobudek.

— A wówczas Białomski ukazałby się nam w innym świetle, bo jak dotąd nic nie mogliśmy mu zarzucić.

— Być może z naszej winy. Trzeba będzie poświęcić mu więcej uwagi.

— Jednak za granicę nie wyjeżdżał, od Wierzby cały czas trzyma się, z daleka, a jego bliższy kontakt z siostrzenicą profesora urwał się dość dawno i to, o ile wiem, z jego inicjatywy. Mimo to...

— Właśnie. Mimo to trzeba będzie wyjść naprzeciw



awansom panny Amelii i zorientować się, jakie są przyczyny jej zainteresowania moją osobą. Poza tym będę musiał porozmawiać z jej wujem. Ciekaw jestem, jak dalece zna niektórych naszych gości. Może będzie mógł udzielić jakichś informacji?

— O niektórych? Sądzę, że głównie chodzi o jednego.

— Tak, ale pytać trzeba będzie o kilku. Nie powinien wiedzieć, którym się, interesujemy. Czy wykazuje jakąś aktywność?

— Raczej nie. Wyjeżdżał co prawda samochodem dostarczonym mu przez Cartclub, ale wrócił po godzinie. Poza tym nieco łażenia po mieście, potem obrady.

— A to łażenie po mieście?

— Zajrzał do paru sklepów, ale nigdzie długo nie bawił.

— To mogło mu wystarczyć. Czy wiadomo, co to były za sklepy?

— Owszem, wymieniono je w raporcie. Wszystko to nie nasuwa jednak żadnych podejrzeń.

— Ale one istnieją i, jak wiesz, są bardzo poważne. Pamiętasz chyba instrukcje pułkownika z ostatniej odprawy i informacje, których nam wówczas udzielił?

— Od towarzyszy czechosłowackich? Ale to historia sprzed pięciu lat.

— Co z tego? Facet brał wówczas udział w transakcji handlowej z partnerami podejrzanymi o kontakty z CIA. Obecnie zaś źródła zewnętrzne zawiadamiają, że wyjechał do nas pod nazwiskiem Orsten. Niestety, nie

zdołano ustalić jego rysopisu, a jedynie numer pokoju w hotelu wiedeńskim, gdzie zatrzymał się na ostatnią noc. Zdołano tylko zaznaczyć jego walizkę rysą.

— Nasz klient nie nazywa się jednak Orsten.

— Ale wiesz przecież, u kogo zauważyliśmy taką walizkę — odparł Szeruda.

— Kiedy wybierasz się do Wierzy?

Major spojrzął na zegarek.

— Chyba zaraz. Obrady zaczynają się dziś o jedenastej, więc powinienem jeszcze złapać go w domu.

— Powodzenia. A zwłaszcza u jego pięknej siostrzenicy...

— Wzrusza mnie twoja życzliwość — mruknął z sarkazmem, Szeruda, wstając zza biurka, po czym dorzucił: — Czy nasz podopieczny znów zamawiał samochód?

— Tak. Na jutro wieczór.

— Niech mu idą na kółka, ale bardzo ostrożnie — polecił major. — To ważne. Potem obejrzymy sobie filmy. Postarajcie się, by dostarczyli je natychmiast.

— Spokojna głowa — odpowiedział niezbyt służbowo Łuba, wstając również.

Do willi profesora Wierzy prowadziła od ulicy krótka alejka, biegnąca pomiędzy dwoma zielonymi ścianami żywopłotu. Drzwi otworzyła majorowi tęga kobieta w fartuchu i białej przepasce na głowie. Domyślił się, że ma przed sobą gospodynię, bo jak wiedział

Wierzba był wdowcem i mieszkał tylko z siostrzenicą.

Na pytanie o profesora zlustrowała uważnie Szerudę i znać oceniwszy pozytywnie zarówno jego cywilne ubranie, jak i sposób bycia, przychylnie skinęła głową i poczłapała przez duży hol ku oszklonym dwuskrzydłowym drzwiom. Otworzyła je i wsunąwszy głowę, rzuciła poufale:

— Ktoś do pana...

— Kto taki? — Szeruda usłyszał poirytowany głos Wierzby.

— A nie wiem... Taki niczego sobie... — Cofnęła się i przechodząc obok majora znów obrzuciła go bawczym spojrzaniem.

Na progu ukazał się Wierzba. Szeruda podszedł do niego.

— Witam pana, majorze! Czym mogę panu służyć? — Mimo pozornej swobody ton głosu profesora Zdradzał niepokój.

— Pragnę zamienić z panem kilka słów.

— Znów jakieś przestrogi czy zastrzeżenia? — Wierzba cofnął się, robiąc majorowi przejście.

Gabinet był obszerny, o dwóch dużych, zabezpieczonych ozdobnymi kratami oknach, które wychodziły na mały ogródek. Wierzba wskazał gościowi jeden z foteli, sam zajął drugi.

— Słucham. — Zetknął dłonie końcami palców i spoglądał wyczekująco na majora.

— Tym razem nie chodzi o ostrzeżenia czy instrukcje, bo na to już nie pora. Chciałbym natomiast dowiedzieć się, czy zna pan nieco bliżej osoby, które panu wymienię.

— Zależy o kogo panu chodzi? Wszystkich ich nie znam...

— Na przykład profesora Meierbacha z Bazylei.

Wierzba bez słowa skinął głową.

— Dawno?

— Od kilku lat. Wiem, że przed wojną mieszkał w Niemczech, jednak w czasie prześladowań hitlerowskich, jeszcze jako młody naukowiec, wyjechał do Ameryki. Potem osiadł w Szwajcarii.

— A jego asystent doktor Bern?

— O ile wiem, jest Szwajcarem, kończył chemię w Zurichu. Jednak żadnych prac jeszcze nie ogłosił.

— A doktor Baszir Manami?

— O nim, niestety, nie mogę, nic powiedzieć. Pознаłem go dopiero tu, w Warszawie. Nazwisko to nie obięło mi się, nawet o uszy.

— Może chociaż wie pan, z kim się tu bliżej kontaktuje? Mam na myśli uczestników sympozjum.

— Niestety, poza salą obrad mało z kim się widuję. A jeżeli, to z paru dawnymi przyjaciółmi.

— Czy należy do nich i profesor Blackburn?

Wierzba roześmiał się.

— Nie, ten stary torys nie! Wybitny uczony, porządne chłopisko, ale nie radzę panu choć słowem krytycznie wyrazić się o monarchii. Uważa, że rządzenie jest takim samym rzemiosłem jak każde inne, a dziedziczenie pozwala na osiągnięcie perfekcji.

- Dawno pan go zna?
- Kopę lat. Spotykaliśmy się nieraz.
- Gdzie wykłada?
- Gdzie obecnie, nie wiem. Rozmawiałem z nim nie dalej jak wczoraj, ale tylko wspomniał, że właśnie wrócił do Anglii...
- Skąd?
- Z Arabii Saudyjskiej. Skusił się na królewskie wynagrodzenie, jakie mu tam ofiarowano, i prowadził wykłady w tamtejszej wyższej uczelni: Szkole Ropy i Mineratów.
- Przyjechał tu z sekretarzem?
- Tak. Tego również poznałem dopiero wczoraj. Niejaki Filip Marco. Nic więcej nie mogę o nim powiedzieć ponad to, że jest przystojnym brunetem o ciemnej cerze.
- Czyżby pochodził ze Wschodu?
- Nie, to zdaje się Maltańczyk. Chciał mnie poznać, więc go Blackburn przedstawił.
- Zdaje się, że mówi nieco po polsku? — rzucił od niechcienia Szeruda.
- Nawet zupełnie dobrze! To był powód, dla którego Blackburn wziął go ze sobą.
- Skąd ta znajomość języka? Nie wie pan?
- Owszem, zgadało się o tym. Jego matka była Polką. W rejonie Morza Śródziemnego w czasie wojny było dużo Polaków.
- To prawda, ale...
- Jego ojciec zaprzyjaźnił się z jednym z członków załogi „Sokoła” w czasie postoju okrętu na Malcie. Przez niego z kolei poznał swoją późniejszą żonę.

— No tak... — Major zamilkł, przyglądając się przez chwilę jednemu ze sztychów wiszących na ścianie, potem podjął rozmowę: — Wracając do pana Manami... Gdyby dowiedział się pan czegoś o nim, proszę mi to przy okazji przekazać.

— Interesuje pana? — Profesor spojrzął spod oka na swego gościa.

— Niestety, muszę interesować się wszystkimi. Pana odkrycie stanowi zbyt dużą pokusę dla niektórych ludzi.

— Czy nie jest to aby zbyt ostrożności, panie majorze? — uśmiechnął się Wierzba.

Szeruda nie odpowiedział na to pytanie. Wstał z fotela i wyciągnął ku niemu rękę.

— Nie będę panu zabierał więcej czasu, bo zapewne nie ma go pan za dużo. Dziękuję, profesorze...

Przez cały czas rozmowy major mimo woli nasłuchiwał, czy nie zjawiała się Ama. Spotkał go jednak zawód, toteż żegnał profesora nieco rozczarowany. Sam wolał o nią nie pytać. Skoro tym razem do spotkania nie doszło, należało przy najbliższej okazji pomóc przypadkowi.

Zatrzymał się chwilę na stopniach ganku, a potem ruszył ku furtce.

Żywopłot był wysoki, więc ulicy nie było widać. Dlatego zobaczył dziewczynę dopiero wtedy, gdy minęła furtkę.

Dostrzegł ją pierwszy i przystanął. Ona zaś poznała go dopiero po sekundzie i wówczas zatrzymała się również. Trwało to jednak tylko chwilę, bo natychmiast podeszła do niego.

— Witam pana! — Wyciągnęła rękę z uśmiechem na twarzy. — Na nic ten odwrót, majorze, nie wyjdzie pan z okrażenia!

— A więc poddaję się. Przypuszczam, że podpisała pani konwencję genewską?

— Chyba nie zabrania podawania, jeńcom kawy? Bo mam zamiar zaprosić pana na filiżankę...

Szeruda spojrział na zegarek.

— Zgoda, ale o jedenastej muszę być u siebie.

— Trudno, niech będzie, chodźmy! — Wyrecytowała jednym tchem.

Ruszyli w stronę willi. W drzwiach spotkali wychodzącego profesora.

— Wzięłam majora do niewoli — wyjaśniła dziewczyna. — Kiedy będziesz w domu?

— Nie mam pojęcia. Teraz gonię na sesję. — Skinął głową Szerudzie i pośpieszył ku furtce.

Major znów znalazł się w gabinecie, który opuścił przed chwilą. Tym razem w bardziej atrakcyjnym towarzystwie. Obserwował zgrabną, pełną powabów figurę dziewczyny. Nie była piękną, bo krótki nosk unosił się ku górze, usta, z których nie schodził kpiący uśmiech, były trochę za szerokie, ale miały kuszący wyraz zmysłowości. Wielkie zaś, nieco skośne oczy dodawały specjalnego uroku jej twarzy.

— Teraz zostawię pana na chwilę samego i zajmę się kawą. Obiecuję nie marudzić, a potem pogawędzimy... — rzuciła od drzwi.

Istotnie już wkrótce zjawiła się z filiżankami i cukiernicą na tacy, którą postawiła na stoliku.

— Teraz mam okazję okazać panu, do jakiego

stopnia czuję się urażona. Ostatnio, kiedy spotkaliśmy się w instytucie, obiecał pan do mnie zadzwonić...

— To prawda, należy mi się nagana, panno Amo. Ale gdyby pani wiedziała, jak bardzo jesteśmy wciąż zaganiani, na pewno uzyskałbym przebaczenie.

— Widocznie nie jestem w pana typie... — Westchnęła z przesadnym smutkiem.

Major podniósł rzuconą rękawicę.

— A może właśnie przeciwnie? I zacząłem się tego bać?

Uniosła brwi do góry, a w jej zielonych oczach błysnęło zainteresowanie.

— Więc mogę nie spisywać pana na straty?

— Byłby to dowód braku rozeznania w sytuacji...

Roześmiała się.

— Naprawdę? A więc wybaczam panu zawód, jaki mi pan zrobił. Pod warunkiem, że nastąpi poprawa.

— Sam telefon mnie nie zadowala, a jak powiedziałem, mam teraz tyle roboty, że nawet marzyć nie mogę o wykrojeniu czasu dla siebie.

— Czy to w związku z tym sympozjum? Czyżby wynalazek wuja narobił panom tyle kłopotów?

— Owszem, i on również...

— Skarżył się, że stawiacie mu różne wymagania, z którymi ma dużo ambarasu.

— My? Cóż to za wymagania?! — Szeruda udał zdziwienie.

Dziewczyna nie zwróciła jednak uwagi na przynętę lub przezornie ją ominęła.



— Nie wiem — wzruszyła ramionami — nie mówił nic konkretnego.

— No cóż, musimy strzec naszego dorobku naukowego przed obcymi zakusami.

— A są takie? To musi być nadzwyczaj ciekawa praca! Tym bardziej jeśli istnieją określone podejrzenia...

— Te zawsze istnieją...

Znów jednak nie podjęła podsunętego wątku.

— Żałuję, że z panem nie pracuję! — rzuciła z ożywieniem. — Tyle okazji do przeżywania emocji!

Szeruda uśmiechnął się.

— Nasza praca jest przede wszystkim żmudna, panno Amo. Pani zawód uważam za znacznie ciekawszy, a już na pewno za bardziej wdzięczny. Jest pani przecież zdolną plastyczką.

— Podobno. — Wzruszyła ramionami.

Szeruda odstawił opróżnioną filiżankę.

— Teraz muszę już iść. Dziękuję pani za kawę, i przyjemną pogawędkę.

— To trudno, jeśli pan musi — w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. — A co będzie z telefonem? Czy nawet w niedzielę jest pan zajęty?

— No, nie w każdą...

— A może obowiązki rodzinne? Nie przyszło mi to do głowy!

— Nie, nie mam żadnych — odpowiedział z uśmiechem.

— A więc zrobmy tak... Pan mi da, swój numer i to ja odezwę się od czasu do czasu...

— Zgoda, proszę zanotować.

Kiedy podniósł się z fotela i wyciągnął rękę na pożegnanie, dziewczyna rzuciła spontanicznie:

— Może byśmy poniechali tego pan i pani? Jak pan wie, nazywają mnie Ama.

Szeruda roześmiał się.

— Ja mam na imię Nikodem, a nazywają mnie Nik. Niestety, nie możemy dopełnić reszty rytuału!

— Mam nadzieję, że jeszcze dopełnimy — odpowiedziała z zalotnym uśmiechem. — Ale nie bój się, zbyt często dzwonić nie będę...

Okolo dziesiątej rozległo się krótkie pukanie do drzwi i zanim Burska zdążyła rzucić zwykłe „proszę”, na progu stanął Levy.

— Dzień dobry pięknej pani — rozpoczął z uśmiechem, wchodząc do pokoju. — Poznaliśmy się niedawno, więc sądzę, że mnie pani jeszcze nie zapomniała...

— Skądże! Ależ pan doskonale mówi po polsku! Przy stoliku pan się z tym nie zdradził!

— Dostosowałem się do towarzystwa mówiącego po angielsku. Zresztą z natury jestem skromny i nie chwalebę się umiejętnościami...

— To bardzo chwalebne, oczywiście jeśli skromność nie idzie w parze z wyrachowaniem.

— Święta prawda... — westchnął w odpowiedzi pan Levy.

— I przyszedł pan, aby mi to powiedzieć? — Lena przechyliła głowę i zmierzyła stojącego przed nią dziennikarza kąjącym spojrzeniem.

— Ależ nie! — Levy rozejrzał się po pokoju, a potem, wskazując na boczne drzwi, zapytał: — To gabinet profesora?

— Tak, ale teraz go nie ma... — Dziewczyna nadal obserwowała swego gościa z uśmiechem pobłażliwego rozbawienia.

— Spodziewałem się tego... — mruknął dziennikarz, a potem dorzucił: — Pozwoli pani, że nieco odechnę...

I nie czekając na zaproszenie opadł na fotel. Ponieważ panna Burska milczała wyczekująco. Levy odezwał się:

— Od paru dni staram się o wywiad z profesorem i wciąż bez rezultatu. — Powachlował się kapeluszem i dorzucił: — Uff... gorąco dziś, a ja źle znoszę upały...

— Współczuję, bo ja tak samo — przytaknęła uprzejmie.

— Ale pani nie jest przynajmniej narażona na prażenie się w słońcu. Ma tu pani doskonałe warunki pracy, przyjemny chłodek, a zapewne i dużo innych wygód...

— Nie mogę narzekać — odpowiedziała ostrożnie sekretarka.

— A jak stosunki z profesorem? Czy to przyjemny człowiek?

— Bardzo. Doskonale się z nim pracuje.

— Profesorowie mają swoje humory — sentencjonalnie stwierdził pan Levy.

— Na szczęście profesor Wierzba ich nie ma.

— Czy nie zechciałaby pani opisać mi jego sylwetki

psychicznej? Podać parę szczegółów, które zainteresowałyby moich czytelników?

— A więc, skoro nie ma profesora, chce pan przeprowadzić ze mną wywiad?

— Ach nie, nie wywiad! — zastrzegł się dziennikarz. — Na pewno usłyszałbym zaraz odpowiedź, że tego nie wolno pani robić!

— Właśnie — stwierdziła krótko panna Burska. — Wywiadu może panu udzielić tylko sam profesor, o ile, oczywiście, na to się zgodzi.

— Otóż to! Może w takim razie powie mi pani coś o waszym instytucie? O historii jego powstania, sylwetkach wybitniejszych naukowców, może trochę o organizacji... Chyba są jakieś materiały na ten temat?

— Na pewno, ale nie orientuję się, gdzie je można znaleźć. Czemu nie zwróci się pan z tym do sekretariatu zjazdu?

— Chyba będę musiał to zrobić — westchnął Levy. — Obawiam się jednak, że otrzymam dane zbyt oficjalne i suche, a my, dziennikarze, polujemy na szczegóły bardziej, że tak nazwę, soczyste. Jakieś ciekawostki z życia osobistego, trudności, sukcesy...

— Nie sądzi pan chyba, że mówiłabym o tym bez zgody profesora.

— Tak, tak, rozumiem... — zgodził się pojednawczo pan Levy. — I właśnie dlatego staram się o ten wywiad. Jeśli mi się nie uda, stracę w redakcji resztki dobrej opinii, na których balansuję...

Panna Burska uśmiechnęła się.

— Bardzo panu współczuję, ale nic nie mogę na to poradzić.

— Ależ może pani! I gdyby pani zechciała, byłbym ogromnie wdzięczny! Z kolei, jeśli pani znajdzie się w Wiedniu, proszę na mnie liczyć!

Panna Burska zastanawiała się przez chwilę, wreszcie spytała ostrożnie:

— Na czym ta pomoc ma polegać?

— Proszę mi zdradzić, gdzie i kiedy mógłbym przytapać profesora tak, by poświęcił mi trochę czasu?

— Hm... — przyglądała się przez moment dzienikarzowi z wahaniem, wreszcie, skuszona obietnicą, odparła: — No dobrze. Mam jednak nadzieję, że nie podłoży pan jakiejś bomby pod krzesło profesora...

— Nie podłożę. — Levy z powagą uniósł dwa palce do góry.

— A więc najlepiej dziś, wieczorem. Na dwudziestą pierwszą profesor jest zaproszony przez profesora Blackburna na kolację do Forum. Zresztą wraz ze mną.

— Ach tak?! A więc będę miał sojusznika! Czy będzie jeszcze ktoś?

— Chyba tylko sekretarz Blackburna, Marco. Zresztą profesor nie omieszkał w sposób dostatecznie uszczypliwy dać mi do zrozumienia, że to jemu przypisuje objęcie zaproszeniem i mojej osoby.

— Pan Marco? — Levy uniósł brwi do góry i chwilę siedział bez ruchu.

— Dlaczego to pana zaskoczyło? — zdziwiła się.

— Ależ nie zaskoczyło! Mogę jedynie stwierdzić, że pan Marco ma dobry gust, panno... — urwał z wahaniem.

Burska spojrzała na swego gościa nieco kpiąco, potem zaś dokończyła z uśmiechem:

— Heleno...

Pan Levy wstał z fotela.

— Ach, prawda! Panna Lena! Powinienem był pamiętać!

— Co mianowicie? — Dziewczyna uniosła brwi ze zdziwieniem.

— Tak przecież zwracał się do pani ów młody człowiek w czasie wczorajszego spotkania przy kawie... A więc dziękuję za pomoc i podtrzymuję obietnicę rewanżu! Będę na miejscu wcześniej i postaram się zająć stolik gdzieś w pobliżu, by w stosownej chwili być pod ręką! Jeszcze raz dziękuję i do zobaczenia.

Pan Levy uklonił się powtórnie od drzwi, a kiedy wyszedł, dziewczyna przez chwilę spoglądała za nim ze ściągniętymi brwiami.

Materiały do biuletynu prasowego na dzień następny miały być gotowe dopiero wieczorem, toteż Burska obiecała Białomskiemu, że osobiście odbierze je z sekretariatu zjazdu, przepisze w domu na blachy, nawet gdyby miała pracować nocą, i dostarczy na siódmą rano, by z powielaczy mogły zejść jeszcze przed dziesiątą.

Kiedy jednak Białomski parę minut po siódmej podszedł do jej pokoju, zastał drzwi zamknięte.

Wrócił po kwadransie, ale Burskiej nadal nie było. Poirytowany niesłownością dziewczyny, postanowił czekać na nią na miejscu. Otworzył drzwi zapasowym kluczem i spacerował po sekretariacie coraz bardziej rozdrażniony.

Za piętnaście ósma dziewczyny nadal nie było. To już groziło opóźnieniem w dostarczeniu biuletynu. Białomskiemu przyszło na myśl, że zapewne zapomniała o obietnicy i przyjdzie jak zwykle na dziewiątą.

Burska nie miała telefonu. Już wściekły, postanowił jechać po nią do domu.

Ulica Ruszczyca znajdowała się we wschodniej części miasta. Była to cicha, boczna uliczka z rzędami przeważnie jednorodzinnych domów, stojących w otoczeniu gęstwy krzewów i owocowych drzew.

Dom pod ósmym był nieco większy od innych. Znalazł się tu już kiedyś z racji jakiejś towarzyskiej imprezy i znał jego rozkład. Właściciele mieszkali na parterze, piętro zaś, składające się z dwóch jednopokojowych mieszkań, wynajmowali lokatorom.

Białomski nacisnął dzwonek mieszkania Burskiej i czekał na otwarcie drzwi. Ponieważ panowała za nimi cisza, zadzwonił powtórnie, a potem poruszył klamką. To spowodowało, że drzwi uchyliły się cicho, ukazując mrok przedpokoju i jakby zapraszając do wejścia. Przekroczył próg, potem minął krótki korytarzyk z wieszakiem na

wierzchnie okrycia. Wisiał tam płaszczyk, w którym dziewczyna ostatnio przychodziła do biura. Nieco zdziwiony skierował się ku drzwiom jej pokoju.

Przeżalenie na widok tego, co ujrzał, zatrzymało go w miejscu. Dopiero po chwili zdołał się opanować i podszedł do tapczanu z rozrzuconą pościelą.

Leżała na nim z głową skrzywioną nienaturalnie na bok i szeroko rozrzuconymi ramionami. Cienka nocna koszula pozwalała dojrzeć zarysy jej ciała. Twarz była równie biała jak znajdująca się obok głowy zgnieciona poduszka. Oczy, nienaturalnie rozszerzone, zdradzały przeżalenie. Na szyi widać było wyraźne, sino-wiśniowe plamy.

Nie ulegało wątpliwości, że Burska była martwa.

Białomski nie należał jednak do ludzi łatwo wpadających w panikę. Szybko opanował się po pierwszym wstrząsie. Stanął nad zwłokami i uważnym spojrzeniem lustrował szczegóły po szczególe.

Od razu też dostrzegł w zaciśniętej kurczowo prawej dłoni skrawek jakiegoś materiału.

Udało mu się rozewrzeć palce i wyjąć nieduży, kwadratowy kawałek jasnobieżowej popeliny w szare, dyskretne paski. Już na pierwszy rzut oka zorientował się, że jest to urwana kieszonka koszuli o sportowym kroju.

Jakiś czas ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się skrawkowi, po czym zwinął go starannie i schował do kieszeni.

Z kolei rozejrzał się po pokoju. Miał jedno okno i



oszkłone drzwi, wychodzące na nieduży balkon. Niżej rozciągał się trawnik z kilku owocowymi drzewami. Niedużą parcelę — ogródek otaczał wysoki żywopłot.

Meble były nowe, widać niedawno kupione. Parę kolorowych reprodukcji zdobiło ściany.

Ale te szczegóły już znał z poprzedniej tu bytności. Teraz bardziej zaabsorbował go panujący w pokoju nieład. Morderca powyrzucał na podłogę zawartość podsuwanych szuflad, książki z małej biblioteczki spotkał ten sam los, a papiery z biurka stojącego pod oknem zaścierały dywan. Natomiast szafa z ubraniami była zamknięta, aczkolwiek w jej drzwiach tkwił klucz.

Białomski zbliżył się do niej i otworzył drzwi. Wewnątrz panował zupełny porządek. Nikt nie ruszał ani wiszących sukienek, ani bielizny, starannie poukładanej na półkach.

Z kolei zajrzał do łazienki i kuchni. I tu też nie było żadnych śladów poszukiwań.

Białomski wrócił do pokoju, siadł w fotelu i wyciągnąwszy nogi przed siebie pogрузzył się w zadumie.

W całym domu panowała cisza, toteż nic nie mąciło toku jego myśli, które absorbowały go bardziej niż leżąca obok martwa, nieruchoma postać.

Po chwili wstał i zbliżywszy się do balkonowych drzwi przez wyjętą z kieszeni chusteczkę ujął za klamkę. Były zamknięte. Przekręcił więc, również przez chustkę, tkwiący niżej klucz i kiedy znów nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się cicho. Z kolei przymknął

je, pozostawiając tylko wąską szparę, i schował chustkę do kieszeni.

Wyszedł z mieszkania poszukać budki telefonicznej, by zawiadomić milicję. Narażało to co prawda na absorbujące przesłuchania, ale było lepsze niż groźba ujawnienia jego obecności na Ruszczyca dopiero w czasie śledztwa — przecież któryś z mieszkańców okolicznych domów mógł go tu zauważyć.

Po zawiadomieniu milicji ruszył do miasta. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie niż troskę o to, czy biuletyn wyjdzie na czas.

## Rozdział 4

Pan Levy ulokował się z gazetą w jednym z wygodnych foteli hotelowego westybulu. Wiadomości bieżącego dnia wprawdzie już znał, ale gazeta była dobrym pretekstem, by posiedzieć w tak dobrym punkcie obserywacyjnym bez zwracania na siebie uwagi.

Jednak jego cierpliwość była wystawiona na próbę, gdyż dopiero po przeszło godzinie dostrzegł obiekt swego zainteresowania, wychodzący z windy. Skierował się w stronę cocktail-baru.

To było okolicznością pomyślną. Pan Levy odczekał jeszcze parę minut, a następnie odłożył gazetę i udał się w tym samym kierunku.

Bar był prawie pusty. U końca półokrągłej ludy

siedziała jakaś para, prowadząc przyciszoną rozmowę. Dziewczyna była ładna, ale makijaż zdradzał przesadę w akcentowaniu szczegółów urody. Pan Marco ułokował się dość daleko od pertraktującej pary. Stał przed nim kieliszek dżinu z plasterkiem ocukrzoney cytryny, który starał się nadzieć na mały widelec.

Dziennikarz siadł obok i skinął głową w odpowiedzi na nieco zaskoczone spojrzenie pana Marco.

Zamówił również dżin i zwrócił się do towarzysza:

— Idę za pańskim przykładem. Kieliszek czegoś mocniejszego dobrze robi na apetyt.

Marco uśmiechnął się.

— Nie dopisuje panu?

— Ja mam specjalny apetyt. — Levy uniósł kieliszek i skinął nim zapraszająco, a potem upił połowę. Marco swój wypił do dna.

— Jaki?

— Na wiadomości.

— U dziennikarza to zrozumiale. — Marcel dziobnął kolejny plasterzek i ssał go dyskretnie. — Wczorajszego wieczoru chyba zdołał go pan zaspokoić?

— Ma pan na myśli ten wywiad? Niestety, profesor był zbyt oszczędny w wypowiedziach. Niedużo z tego da się zrobić. Pan miał więcej szczęścia...

Marco uniósł brwi.

— Co pan ma na myśli?

— Pański apetyt.

— Cóż pan może o nim wiedzieć?! — Marco roześmiał się.

— Raczej domyślać się. A do domysłów materiału było dość.

— Naprawdę? — Marco spojrział na dziennikarza ironicznie i badawczo jednocześnie, a potem skinął na barmankę i wskazał swój pusty kieliszek.

Levy zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Z półśmiechem obracał w palcach szklankę z pomarańczowym sokiem, którego zażądał zamiast cytryny, i przyglądał się czynnościom barmanki za ladą.

— Pańskie zainteresowanie tą młodą osobą było dostatecznie wyraźne — rzucił wreszcie poufale.

— Nie mam zamiaru zaprzeczać, że mi się podoba. Szczupłe blondynki to mój typ.

— Tyle ich chodzi po świecie... — mruknął nieco sentencjonalnie Levy i z kolei podsunął barmance swój kieliszek.

— Do czego pan zmierza, panie Levy? — Ton głosu Marco nabrał ostrzejszego akcentu.

Dziennikarz obrócił ku niemu głowę, ale cień, leżący za szklami jego okularów, nie pozwalał dostrzec wyrazu spojrzenia.

— Teraz ja staram się zaspokoić swój apetyt.

— Może pan wyzna, co pana interesuje? Ze swej strony postaram się oszczędzić panu zbyt długiego kłuczenia wokół istoty rzeczy.

— No dobrze — Levy uniósł swój kieliszek. — Prosit, panie Marco, A więc co pan widzi tak frapującego w tej dziewczynie? Czy tylko jej figurę?

Marco bezceremonialnie przypatrywał się przez chwilę dziennikarzowi.

— Jaki jest cel tej rozmowy, panie Levy? — rzucił wreszcie cicho, ale z akcentem groźby w głosie.

— Raczej przyczyna, panie Marco. Jest ich dużo. Pierwsza to ciekawość dziennikarza...

— A druga?

Levy jakiś czas milczał patrząc przed siebie, a potem rzucił cicho, nie odwracając głowy:

— A druga to śmierć tej dziewczyny. Została zamordowana.

Dopiero po udzieleniu odpowiedzi spojrzął na swego towarzysza. Ten na moment znieruchomiał, przechylił się do przodu i niemal krzyknął:

— Co za głupstwa pan wygaduje!

— Proszę nie podnosić głosu. Niestety, to prawda.

Marco wyprostował się, mierząc przez chwilę Levy'ego podejrziwym wzrokiem. Wreszcie spytał już cicho:

— Skąd pan to wie?

— W czoraj rano rozmawiałem z nią, prosząc o pomoc w uzyskaniu wywiadu. Wywiad doszedł do skutku, dziś więc poszedłem, by zanieść jej kilka kwiatów, ale zastałem w Instytucie oficera milicji przestuchującego personel. Pokręciłem się trochę i wkrótce poznałem przyczynę.

— Kiedy to się stało?

— Pan dużo chce wiedzieć — Levy uśmiechnął się przyjaźnie — ale ja też.

— Co mianowicie?

— Czy nie wypytywała pana o warunki życia na Zachodzie, możliwości urzędzenia się lub coś podobnego? Chociażby wczoraj podczas tańca?

Marco milczał przez chwilę, jakby chcąc skupić pamięć.

— Nie. — Pokręcił zdecydowanie głową. — Była to zupełnie błaża rozmowa, której nawet nie mogę sobie przypomnieć.

— No cóż, niech będzie. Pytał pan, kiedy zginęła? Otóż, o ile wiem, ostatniej nocy. Zapewne wkrótce po powrocie z kolacji.

— Jak... jak zginęła?

Levy uniósł brwi.

— Pan znów zadaje pytanie, a teraz jest moja kolej.

— Zgoda, proszę pytać.

— Co pan sądzi o przyczynie jej śmierci? Czy nie ma związku z charakterem jej pracy?

— Jako sekretarki Wierzby?

— Właśnie.

Marco znów zamilkł.

— Przyczyna może być zupełnie banalna, choćby zemsta zdradzonego kochanka — odezwał się wreszcie, wyraźnie zastanawiając się nad każdym słowem. Przerwał na chwilę, a potem dorzucił konfidencjonalnie: — Ale byłbym zdziwiony, bardzo zdziwiony — dodał — gdyby okazało się, że tak było istotnie...

— Tak... — Levy z aprobatą skinął głową. — I ja również byłbym zdziwiony. A teraz kolej na moją odpowiedź. Dziewczyna została uduszona w swoim mieszkaniu.

— Czy są jakieś podejrzenia?

Levy zerknął spod oka na swego rozmówcę.

— Tej odpowiedzi udzielię panu za darmo — rzekł z uśmiechem. — Jak zdołałem się dowiedzieć, jej kochankiem był ten fotoreporter, którego zdaje się poznał pan również. Nazywa się Czepiga. Chyba uwaga władz śledczych skupi się właśnie na nim.

Marco odstawił właśnie swój kieliszek, a Levy nie bez pewnego zadowolenia stwierdził, że niby ślepy szukał przez chwilę miejsca, w którym mógłby go postawić.

— Sądzi pan zatem, że posądzą go o to morderstwo?

Levy uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Zbyt wiele pan wymaga nawet od tej klasy reportera co ja.

Tego samego ranka Szeruda również umówił się z porucznikiem Łubą na godzinę siódmą, aby, nim rozpocznie się zwykły dzień pracy, spokojnie obejrzeć materiał filmowy.

Operator był już na miejscu, toteż przeszli do pokoju projekcyjnego i usiedli w fotelach. Po chwili ukazały się na ekranie pierwsze sekwencje filmu.

Światła ulicy i mijanych samochodów, jak również własne reflektory wozu, w którym pracowała dobrze ukryta kamera, nie sprzyjały ostrości zdjęć, ale szczegóły przesuwających się budynków pozwalały obu oficerom, znającym miasto, na orientowanie się w trasie,

zaś śledzony wóz był dobrze widoczny.

— Skręca w Nowy Świat — mruknął w pewnej chwili Łuba.

Na ekranie przesuwały się z wolna kontury domów z oświetlonymi wystawami i czarnymi sylwetkami przechodniów.

Wóz jechał niezbyt prędko, toteż dopiero po paru minutach ujrzeli w perspektywie ulicy okrągłą, charakterystyczną rotundę na szczycie hotelu Bristol.

Samochód skręcił w Karową, minął wiadukt Markiewicza, a potem Gęsią i Browarną wrócił na poprzednią trasę. Kiedy znów ukazał się kamienny łuk mostu, wóz zaczął powoli hamować. Reflektory na chwilę oświetliły ciemność zalegającą pod mostem i film się skończył.

— Staął i wyłączył silnik — skomentował Łuba.  
— A zapewne i światła.

Ekran znów zajaśniał mżącą poświatą. Obraz ukazywał przesuujące się do tyłu zarysy drzew i domów, wkrótce zaś pojawiły się światła samochodów, przecinających jezdnię w obu kierunkach. Wóz stanął, a po chwili włączył się do ruchu przeciwnicy.

Idący za nim na kółku — jak potocznie to określano — skręcił również. W pierwszym samochodzie panowała cisza, co dowodziło, że jadący nim musieli mieć kaskownik — przyrząd uniemożliwiający podsłuch.

Wóz znów skręcił. Rozpoznali Senatorską, a potem plac Teatralny. Teraz z coraz większą uwagą śledzili



trasę. Bielańska, skręt w prawo. W świetle reflektorów przesunął się fronton domu Pod Królami.

— Kończy jazdę, z tego kadru zróbcie zdjęcie — zadysponował Szeruda. — Zaraz powinien się zatrzymać, bo dalej drogi nie ma.

Istotnie na chwilę ukazały się pnie drzew. Pomiedzy nimi, pod gęstwą liści, zalegała czerń zupełnej ciemności. Samochód wjechał pomiędzy pnie i film się urwał.

— Tu skończą zapewne rozmowę i nastąpi rozstanie.

— Ale z kim? Żeby to wiedzieć!

— Za łatwy mielibyśmy żywot, poruczniku!

Potem był już tylko powrót do hotelu. Ale pozostał jeszcze jeden film do obejrzenia, ten z następnego dnia.

Znów pojawiły się na ekranie światła ulicznych latarni i sunących samochodów. Obrazowi nadal nie towarzyszył żaden dźwięk, ale podobnie jak przedtem nie mieli trudności z rozpoznawaniem trasy. Wóz jechał w stronę placu Teatralnego, tak jak poprzedniego dnia dotarł do budynku Zaiksu i zatrzymał się pomiędzy rosnącymi obok drzewami.

Nie można było ustalić, jak długo trwał postój, ale kiedy znów pojawił się obraz, stwierdzili, że obserwowani nie wracają jeszcze do hotelu, a jadą Nowym Światem i następnie Alejami Ujazdowskimi.

Najpierw zakręcili w ulicę Piękną.

— Teraz uwaga — mruknął Szeruda.

— Jedziemy Myśliwiecką. Właśnie mijamy Polskie Radio — stwierdził Łuba.

Było to ostatnie ustalenie kierunku jazdy. Wkrótce potem światła reflektorów zatoczyły łuk, wyrrywając z ciemności zieleń liści, i padły na zwirową alejkę, obramowaną z jednej strony szeregiem drzew i rosnących pod nimi krzaków, z drugiej wysoką, metalową siatką ogrodzenia. W następnej chwili na moment ukazała się z boku ekranu część ludzkiej sylwetki. Mężczyzna był ubrany w wiatrówkę, a jego włosy rozwiewały podmuchy wiatru. Film skończył się.

— Niech to cholera... — mruknął ze złością Łuba.

— Zróbcie nam fotos i z tego kadru — spokojnie polecił operatorowi Szeruda.

— Gdzieś tam skręcił na zwirową drogę biegnącą w prawo od ulicy. Trzeba będzie zbadać to na miejscu — rzucił major wstając z fotela.

Kiedy wrócili na górę, dokończył:

— Określicie, poruczniku, miejsce postoju. Punkt kontaktowy musi być gdzieś w pobliżu ulicy, gdyż nasz gość nie ryzykowałby zbyt dalekiego spaceru.

W tej chwili zadzwonił telefon. Major ujął słuchawkę i rzucił swoje nazwisko. Łuba obserwował, jak przez chwilę słucał z nieruchomą twarzą, a potem spojrział na niego z zaskoczeniem i konsternacją. Łuba z zaciekawieniem czekał na zakończenie rozmowy. Przedtem wysłuchał jeszcze krótkiego monologu Szerudy:

— Kto złożył meldunek? Tak, wiem gdzie to jest.

Kto znajduje się na miejscu? Znam go. Zaraz tam będę.

Major odłożył słuchawkę i jakiś czas patrzył bez słowa na Łubę, zanim oznajmił:

— Dzwonili z milicji. Burska została zamordowana. Meldunek złożył Białomski, ten z administracji Instytutu Paliw i Smarów. Zawiadomię pułkownika i zaraz tam jadę.

Podczas krótkiej wymiany zdań z pułkownikiem Łuba zastanawiał się nad usłyszaną wiadomością. Kiedy rozmowa została skończona, spytał:

— Czy milicja wie coś o sprawie, że nas o tym powiadamia?

— Zostali poinformowani, że wszystkie osoby z kręgu otaczającego Wierzbę wchodzi w zakres naszego zainteresowania.

— I bez tego morderstwa dość mamy kłopotów... Kto będzie prowadził śledztwo? Co stary zdecydował?

— Śledztwo ma prowadzić MO, ale w ścisłym kontakcie z nami.

— No, to przynajmniej tyle... — Łuba zakończył zdanie westchnieniem ulgi.

— Zaraz wyjeżdżam. Wy zajmijcie się terenem z filmu.

Przed domem na Ruszczyca stały już samochody, a przy nich grupka gapiów. Drzwi od mieszkania Burskiej były otwarte, toteż wskazówka stojącego na dole funkcjonariusza, jak je znaleźć, okazała się zbędna. Pierwszą zaś spotkaną osobą był właśnie kapitan Molski, którego

Szeruda znał dobrze.

Po przywitaniu przeszli do pokoju, gdzie jeszcze znajdowały się zwłoki. Kręciło się tu kilku ludzi: fotograf pakował już aparat.

Smuga słońca kładła się jasnym pasem na tapczan z rozrzuconą pościelą. W jego świetle włosy dziewczyny połyskiwały złotem i tym bardziej wstrząsający był obraz odwróconej na bok głowy o szeroko rozwartych oczach, w których zastygł wyraz przerażenia.

Szeruda przeniósł spojrzenie ze zwłok na wnętrze pokoju i panujący w nim nieład. Uchylone na taras drzwi również nie uszły jego uwagi.

— Zmarła była sekretarką profesora Wierzyby, wiecie o tym?

— Dlatego poleciłem was zawiadomić.

— Czy lekarz już był?

— Był. Została uduszona. — Molski odsunął nogą rozrzucone na podłodze papiery.

— Kiedy?

— Po północy. Oczywiście w przybliżeniu.

— Żadnych innych obrażeń?

— Poza paru zadrapaniami naskórka żadnych.

— Będę prosił, kapitanie, o odpis protokołu oględzin zwłok.

— Dostaniecie go jeszcze dzisiaj.

— Poinformowano mnie, że zwłoki znalazł Białomski. Czy wiadomo, czego tu szukał? To urzędnik administracyjny Instytutu, w którym pracowała Burska.

— Jeszcze go nie przesłuchiwaaliśmy. W meldunku wspomniał tylko, że przyjechał do niej w sprawach służbowych.

— O której złożył meldunek?

— O ósmej dwadzieścia pięć.

Szeruda wskazał na drzwi wychodzące na taras.

— Czy zastaliście je otwarte?

— Uchylone tak jak teraz.

— A ślady na zewnątrz?

— Balkon ma betonową nawierzchnię, a ścieżka biegnąca wokół domu jest z twardo ubitego żwiru. Śladów nie udało się znaleźć.

— Aby tędy wejść, sprawca musiałby wspinać się po murze. Czy istnieje taka możliwość?

— Owszem. Tuż przy tarasie biegnie przewód odgromnika z mocno wbitymi w mur uchwytnymi. Jeden z moich ludzi bez trudu dokonał tej sztuki.

— Hm... Lekarz nie stwierdził śladów gwałtu?

— Nie. Zresztą panujący w mieszkaniu nieład dowodzi, że morderca zjawił się tu w innym celu.

— Zauważyłem jednak, że w kuchni panuje zwykły porządek. Należy więc sądzić, że sprawca osiągnął cel swoich poszukiwań tu, w tym pokoju.

— I to stosunkowo szybko, bo nawet nie sprawdził wszystkich mebli. Na przykład szafa nie została spenetrowana.

Kapitan Mulski ukazał jej wnętrze, odmykając drzwi. Szeruda spojrział na poukładaną porządnie bieliznę, a potem zwrócił się do kapitana:

— Mimo to bardzo proszę o jak najdokładniejsze przetrząśnięcie całego mieszkania. Sprawca mógł zostać

spłoszony i właśnie dlatego przerwał poszukiwania. Czy zauważyliście te rozwarłe palce prawej dłoni?

— Tak. Coś trzymała. Coś, co sprawca wyrwał jej z ręki.

— Właśnie. A zatem ustalmy kontakty na dziesiątą i dziewiętnastą. W pilnych sprawach oczywiście natychmiast.

— A więc to my obejmujemy sprawę?

— Tak. Otrzymacie odpowiednie instrukcje.

— Czy wiecie coś o zamordowanej?

— Już teraz mogę wam powiedzieć, że jej kochankiem był Karol Czepiga, z zawodu fotoreporter. Trzeba dokładnie sprawdzić jego alibi, bo negliż dziewczyny wskazywałby właśnie na niego. Nad innymi podejrzanymi zastanowimy się po dokonaniu przez was wstępnych ustaleń. Trzeba dokładnie przesłuchać Białomskiego. Był przecież sam w tym mieszkaniu.

— Ta nocna koszula też zwróciła moją uwagę. Albo była na tak poufalej stopie ze sprawcą, że nie krępować się swego stroju, albo wtargnął on do mieszkania w czasie jej snu przez balkon. Mieszkając na piętrze mogła czuć się bezpieczna nawet przy uchylonych drzwiach.

— A sąsiedzi? Są jakieś wiadomości?

— Jeszcze nie ma, ale te czynności są w toku.

— Trzeba tu zostawić posterunek. Jest pewna szansa, że sprawca tu wróci, o ile został spłoszony. Jeżeli brak wam ludzi, załatwię to we własnym zakresie.

Po powrocie do biura Szeruda zgodnie z poleceniem

zameldował się u swego przełożonego, pułkownika Kalińskiego. Pułkownik zbliżał się do pięćdziesiątki, miał mocno już siwe skronie, ściągnął twarz i uważne, badawcze spojrzenie działające w sposób deprymujący zwłaszcza na młodszych oficerów.

Krótkim gestem ręki wskazał majorowi jeden z foteli stojących obok niskiego stolika. Pułkownik wstał zza biurka i sięgnąwszy po papierosy podsunął paczkę majorowi, a potem usiadł naprzeciw niego.

— Słucham — rzucił, nachylając się ku zapalniczce podanej przez majora.

Szeruda szczegółowo zrelacjonował wydarzenia. Kiedy skończył, pułkownik odezwał się:

— To już załatwione. Śledztwo będzie prowadziła milicja, a mianowicie kapitan Molski. Oczywiście w kontakcie z wami.

— Uzgodniliśmy to już wedłwg uprzedniego polecenia obywatela pułkownika. Moim zdaniem jego poszukiwania powinny jednak iść w kierunku wykrycia sprawcy, zaś moje w kierunku ustalenia, czego szukał morderca.

— Słusznie, bo w obecnej sytuacji to jest ważniejsze. O ile oczywiście potwierdzi się założenie, że morderstwo ma związek z naszą sprawą.

— Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Nie wierzę w takie zbiegi okoliczności.

— A jednak bywają, majorze. I to czasem wręcz nieprawdopodobne.

— Pozwolę więc sobie przedstawić sytuację w ogólnych zarysach. Z paru stron mamy sygnały o

zainteresowaniu pewnych kół pracami Wierzby. To już dowodzi, że nastąpiły jakieś przecieki. Roztaczamy nadzór nad otaczającym go kręgiem ludzi, a sam profesor otrzymuje od nas wskazówki dotyczące koniecznych środków ostrożności. Dochodzi wreszcie do tego tak kłopotliwego dla nas zjazdu, w związku z którym otrzymujemy już konkretne ostrzeżenia o obcej infiltracji w szeregach jego uczestników. W takich okolicznościach wolno mi zatem być przekonany, że zamordowanie jednej z najbliższych stojących przy Wierzbie osób musi mieć związek z jego pracą.

— Ale wiemy również, że wywiady unikają morderstw. Dlaczego, nie potrzebuję chyba wam wyjaśniać. To zaś sugeruje możliwość zbiegu okoliczności, co zbyt stanowczo odrzucacie.

Szeruda uśmiechnął się.

— Z szansą jeden do pięćdziesięciu.

— Niech będzie. Czego zatem szukał sprawca?

— Oczywiście jakichś materiałów.

— Skąd i jakie Burska mogła mieć? Przecież ustaliliście sposoby kontroli.

— Kto wie, do jakiego stopnia Wierzba podporządkował się naszym wskazówkom. To uparta primadonna.

— Pogadajcie z nim. Trzeba to wyjaśnić.

— Postaram się złapać go jeszcze dziś.

Jeżeli istotnie Burska przechwyciła jakieś informacje, pozostawałoby jeszcze dowiedzieć się skąd sprawca o tym wiedział. Ale na razie te pytania pozostawmy na boku.

— Zainteresowanych zdobyciem informacji jest



kilku. Wszystkich ich mamy na oku. Zwłaszcza Marco.

— Tego z walizką?

— Tak.

— A inni?

— To Baszir el Manami i Berg. Jest jednak coś, co nie bardzo mi do nich pasuje, mianowicie to, że Burska w chwili śmierci była w nocnej koszuli. Żadnego z nich nie przyjmowałaby w takim stroju.

— Zależy, w jaki sposób morderca dostał się do mieszkania. A jeśli przez drzwi od tarasu? Były przecież otwarte.

— Tak, one istotnie komplikują sprawę. Gdyby nie te drzwi, podejrzewałbym raczej Czepigę, który był jej kochankiem. Prosiłem Molskiego, by dokładnie ustalił, co robił w krytycznym czasie.

— Dobrze byłoby wiedzieć, co robili i inni, ale to nie takie proste.

— Jest jeszcze jeden szczegół, na który zwróciłem uwagę Molskiego.

— Mianowicie?

— Dwa palce prawej ręki dziewczyny były mocno zaciśnięte, a trzy rozwarte, jakby siłą. Odnoszę wrażenie, że wyrwano jej coś z dłoni.

— I co z tego? Na pewno zrobił to sprawca.

— Ale przy zwłokach pierwszy zjawił się Białomski.

— To ten, który zawiadomił o morderstwie?

— Tak.

— Musiałby mieć jakiś konkretny powód, aby to zrobić. A jeśli miał, to dlaczego składał meldunek o

znalezieniu zwłok? Prościej i bezpieczniej było zniknąć z miejsca zbrodni.

— Mógł liczyć się z tym, że widziano go wchodzącego. A może nawet kogoś spotkał. A to już zmuszało go do złożenia meldunku.

— Trudno jednak będzie dowieść, że to on, a nie sprawca usunął jakiś ślad.

— Zastanawiam się jeszcze nad tym. Tym bardziej że co do Białomskiego nie mieliśmy dotąd żadnych podejrzeń.

— Teraz macie ich pod dostatkiem, i to nie tylko w stosunku do niego — mruknął pułkownik, wstając z fotela, zaś Szeruda poszedł za jego przykładem uznawszy, że rozmowa została zakończona.

## Rozdział 5

Porucznik Łuba, ubrany w nieco wytarty sweter i dżinsy, wysiadł z autobusu i ruszył przed siebie. Pamiętał, ile upłynęło czasu, zanim samochód skręcił z ulicy, nie przewidywał więc zbyt trudności z odnalezieniem żwirowej alejki.

Istotnie wkrótce ją dostrzegł. Skręcała w prawo, obramowana z jednej strony drzewami, z drugiej wysoką siatką. Teraz, przy dziennym świetle, widać było rdzawą nawierzchnię ciągnących się poza nią tenisowych kortów.

Porucznik skręcił na żwirową drogę i ruszył ku

zamykającej ją ścianie zieleni. Gdy dotarł do niej, okazało się, iż były to zarośla okalające mały placyk, od którego biegła wąska ścieżka, przecinająca trawnik z kilku drzewami. Dalej ścieżka skręcała za kępę krzaków, nad którymi rysował się płaski dach jakiegoś budynku.

Łuba skierował się w jego stronę.

Był to nieduży barak, postawiony tu zapewne w czasie budowy kortów. Obecnie musiał służyć jako mieszkanie, gdyż porucznik ujrzał w oknach biel firanek, zaś kiedy podszedł bliżej, ławkę stojącą pod ścianą. Siedział na niej przygarbiony mężczyzna z fajką w zębach.

Przed barakiem ciągnęła się grządka kwiatów. Dalej widać było rzędy tenisowych kortów z białymi sylwetkami graczy.

Łuba zbliżył się do siedzącego mężczyzny. Na rzucone z przyjacielskim uśmiechem „dzień dobry” siedzący zlustrował go wzrokiem.

Był to stary człowiek o zapadniętych policzkach i pomarszczonej twarzy. Przez wąskie szpary powiek połyskiwały oczy o przebiegłym spojrzeniu.

— Pozwoli pan trochę odpocząć? — spytał Łuba i nie czekając na aprobatę opadł na ławkę z westchnieniem ulgi. — Uff, ałem się zmachał!

Stary spojrział na niego z ukosa.

— A czym tak?

— Nałaziłem się jak głupi. Umówiłem się z kumplem przy kortach, ale pokręciło mi się przy których, a tu łatwo się zgubić. No i szukałem go chyba godzinę, co gorsza na próżno.

— Może nie przyszedł?

— Może być, ale to chyba ja nawaliłem. Ładnie tu pan mieszka... — Łuba zmienił temat uważając, że to wyjaśnienie dotyczące jego obecności powinno wystarczyć.

Stary pociągnął parę razy fajkę, zanim podjął rozmowę.

— Ładnie to jest, ale mieszkać gorzej. Zimą tej budy ogrzać nie można, a latem nie ma czym oddychać.

— Pan przynajmniej może wyjść na powietrze. Ale żona musi stać przy kuchni...

Stary milczał przez chwilę, a potem mruknął pod nosem: — Sam jestem.

— Emerytura?

— Ano tak.

— Nie ma pan rodziny?

— Siedzę tu i dozoruję kortów, bo mam za to mieszkanie. Parę złotych od graczy też czasami wpadnie...

— Węgiel dają na zimę?

— Nie za wiele, ale dają.

— Na pokój i kuchnię dużo nie trzeba.

— Pokoje są dwa, a piece marne. Toteż drugiego, nie używam.

— A latem? — rzucił od niechcienia Łuba. Dostrzegł szybkie, podejrzliwe spojrzenie starego, które przesunęło się po jego twarzy. Jednak widać nic w niej nie znalazł poza zdawkowym zainteresowaniem, bo opuścił wzrok.

— Latem też mało co. Trzymam tam trochę

ogrodniczych narzędzi, bo za domem mam mały warzywnik — wyjaśnił z wolna, jakby zastanawiając się nad każdym słowem.

— Czemu go pan w takim razie nie wynajmie? Oczywiście na lato. Amatorów byłoby na pewno dużo! Ja sam chętnie bym go wziął, tak tu pięknie! Dokoła drzewa, trawniki! A do miasta dwa kroki!

— Nie wolno mi. Klub by się nie zgodził.

— Jaki to klub?

— „Jutrzenka”. Młodzieżowy.

— No, trochę sobie odetchnąłem. — Łuba wstał z ławki. — Muszę już iść. Dziękuję za gościnę — wyciągnął dłoń. — Zaleski jestem.

— Biernat — mruknął stary, przekładając fajkę do lewej ręki. — Ławka to nie gościna.

Białomski był człowiekiem doświadczoneym, bystrym, obdarzonym doskonałą pamięcią i umiejącym łatwo nawiązywać kontakty z ludźmi. Dobry organizator i sumienny pracownik, cieszył się w Instytucie doskonałą opinią. W czynnościach służbowych — a nie były one łatwe, bo prowadził dział zaopatrzeniowy — w znacznym stopniu pomagał mu Dektura, małomówny i opanowany człowiek o równie dobrej renomie jak i jego szef. Różnił się jednak od niego w życiu prywatnym. Lubił bowiem młode dziewczęta i emocje, jakie dają gra na wyścigach, poker czy reed dog. Był wdowcem, mógł więc swobodnie kierować się swoimi upodobaniami,

tym bardziej że i środków materialnych mu nie brakło.

Z czasów małżeńskich pozostało mu dwupokojowe mieszkanie, gdzie od czasu do czasu przyjmował gości. Niektórych przy winie i adapterze, co, jak wiadomo, stwarza odpowiedni nastrój, innych zaś przy talii kart.

Dużą zaletą mieszkania — poza telefonem — było jego położenie. Znajdowało się bowiem na parterze, podwórze zaś nie było oddzielone od następnej posesji. Pozwalało to zarówno wejść, jak i opuścić mieszkanie w sposób dyskretny zwłaszcza tym, którzy pragnęli, by ich nie zauważono, lub gdy pragnął tego właściciel mieszkania. Dotyczyło to zwłaszcza osób, które Dektura podejmował lampką wina.

Białomski po bytności na Ruszczyca nie wrócił do Instytutu, ale z najbliższego automatu zadzwonił do Dekтуры. Potem wszedł do wozu i nie śpiesząc udał się na miejsce spotkania.

Rozmowę, która trwała nie dłużej jak kwadrans, odbyli w samochodzie. Po jej zakończeniu wysadził Dekturę w Alejach Niepodległości, a sam ruszył dalej.

Czekające go teraz spotkanie było o wiele trudniejsze i o wiele ważniejsze. Od jego wyniku zależało tak wiele, że chwilowo wolał nie zastanawiać się, jakie podejmie kroki, gdyby nie dało ono zamierzonego rezultatu.

Adres Czepigi pamiętał. Była to odległa, dzielnica, ale posiadanie własnego samochodu nie po raz pierwszy

dawało mu możliwość sprawnego działania.

Zatrzymał się przed skrzyżowaniem i dalsze kilkadziesiąt metrów przebył piechotą, zastanawiając się, czy można podjąć ryzyko przeprowadzenia rozmowy na miejscu. Po krótkim namyśle odrzucił jednak tę możliwość.

Fotoreporter zajmował kawalerkę na najwyższym piętrze. Białomski wsiadł do windy, a następnie ruszył długim korytarzem szukając właściwego numeru. Nacisnął dzwonek i po chwili z ulgą posłyszał zbliżające się kroki. Na szczęście Czepiga był w domu. Kiedy drzwi uchyliły się, Białomski, nie czekając na zaproszenie, nacisnął je i przekroczył próg. Przechodząc przez przedpokój rzucił, nie oglądając się:

— Proszę zamknąć drzwi i nie otwierać nikomu.

Czepiga był na wpół ubrany. Miał zmierzwiłone włosy, zmiętą twarz, a oczy półprzytomne i przekrwione. Rozrzucona pościel, zwisająca niedbale z fotela wiatrówka, nie sprzątnięty stół, na którym Białomski dostrzegł od razu prawie pustą butelkę po wódce, nie świadczyłyby o zamięłowaniu gospodarza do porządku, gdyby przybysz nie wiedział, co było przyczyną tego bałaganu.

Obrócił się do Czepigi, mierząc go uważnym spojrzeniem.

— Czy jest pan dostatecznie trzeźwy, aby odbyć ze mną ważną rozmowę?

Ten stał z pochyloną głową i opuszczonymi rękami, zdając się nie słyszeć pytania. Wydawało się że do tego

stopnia pograżony jest w swoich myślach, że nawet nie uprzytamnia sobie obecności przybysza. Dopiero po chwili podniósł głowę i rzucił:

— Czego pan chce?

— Trochę pogadać, panie Karolu — odrzekł Białowski z przyjacielskim uśmiechem, nie spuszczać z Czepigi wzroku. — Radzę przede wszystkim wsadzić głowę pod zimną wodę! Ja tymczasem zrobię panu filiżankę kawy. Jest w domu?

— Jest. — Czepiga machinalnie wskazał kuchenną wnękę z rzędem puszek na półce.

— Niechże pan zatem rusza do łazienki — pchnął lekko młodego człowieka — a ja zajmę się kawą.

Czepiga usłuchał i po chwili do uszu Białoruskiego dotarł szum wody. Wkrótce gospodarz pojawił się znowu. Zimna woda musiała mu pomóc, bo miał odświeżoną twarz i przytomniejsze spojrzenie.

— Kawa zaraz będzie, a pan niech tu zrobi nieco porządku. Nie trzeba, aby widać było jakieś ślady zaniedbania. Po kawie zabieram pana ze sobą, gdyż zbyt długie przebywanie w tym mieszkaniu nie wydaje mi się wskazane. Musi pan nieco zyskać na czasie.

— Nic z tego nie rozumiem... — mruknął Czepiga, ale posłusznie zabrał się do sprzątanía stołu, a potem pościeli. Dopiero gdy się z tym uporał, rzucił już zaczepnie:

— Co to wszystko znaczy i po co właściwie pan tu przyszedł?!



— Wszystko panu wyjaśnię, ale nie teraz. Na razie mogę zapewnić, że przybyłem tu jako przyjaciel.

Czepiga obrzucił swego gościa nieufnym spojrzeniem, ale wypił podaną mu kawę.

— A teraz idziemy. — Białomski wskazał na wiszącą na krześle wiatrówkę i skierował się ku drzwiom.

— Dokąd?

— Zabieram pana na przejażdżkę. W samochodzie będziemy mogli porozmawiać spokojnie i bez obawy, że ktoś nam przeszkodzi.

— Kto miałby przeszkadzać i dlaczego?

— Nie domyśla się pan? Czyżby? — Białomski spojrzał przez ramię na stojącego obok Czepigę, kiedy już winda ruszyła w dół.

— Czego, u diabła, miałbym się domyślać?

— To nie miejsce na wyjaśnienia. Mój wóz stoi za rogiem. Za chwilę panu powiem.

Ale rozmowę rozpoczął dopiero wówczas, gdy wy-dostawszy się za miasto dotarli do lasu. Tu skręcił w boczną drogę i ostrożnie prowadził wóz po korzeniach i wybojach. Zatrzymał go dopiero po oddaleniu się od szosy o kilkaset metrów, wśród gęstwiny drzew. Wówczas obrócił się do, siedzącego w milczeniu Czepigi.

— Wpadł pan w kłopoty, co? — rzucił z żartobliwym uśmiechem na twarzy.

— Nie rozumiem... — Czepiga zająknął się. — Nie rozumiem, o czym pan mówi!

— Rozumiesz, kolego, dobrze rozumiesz... Ale

powtarzam, przyjechałem do pana jako przyjaciel, młody człowieku...

— Nic nie pojmuję z tej gadaniny! — już ze złością powtórzył Czepiga.

— No dobrze, zatem bez niedomówień. To ja pierwszy znalazłem dziś rano Helenę... uduszoną.

Czepiga milczał chwilę, wreszcie wyjąkał:

— Uduszoną? Co pan wygaduje?

— Nie zgrywaj się, bo to przecież dla ciebie nie nowina! — Białomski mówił spokojnie, nie odrywając oczu od twarzy Czepigi, na której pojawiły się drobne kropelki potu.

— Czy pan aby nie zwariował?

— Nie, kochasiu, nie zwariowałem. — Białomski sięgnął do kieszeni i wyjął kawałek materiału. — Wyciągnąłem to z jej palców, boś, frajerze, nie zauważył, że ci oderwała kieszonkę od koszuli. Przecież masz taką koszulę. Nawet chwaliłeś się, że kupiona w komisie, chyba pamiętasz? A poza tym czy nie przyszło ci do głowy, że milicja zwróci uwagę na strój dziewczyny. Kogo mogła wpuścić do mieszkania w nocnej koszuli, jeśli nie kochanka? Sądysz, że przyjęłaby obcego w negliżu, przez który wszystko widać?

— A balkon? Przecież tamtędy...

— Przez zamknięte drzwi? Żebyś, idioto, przynajmniej je otworzył...

Czepiga myślał dłuższą chwilę, zapatrzony w mrok zalegający głąb lasu.

— Co... co pan u niej robił?

— Obiecała mi dostarczyć na siódmą materiały do biuletynu prasowego. Do ósmej jej nie było, więc sam po nie pojechałem.

— Zameldował pan milicji?

— Musiałem, bo to była pora, kiedy ludzie idą do pracy albo po zakupy. Na pewno niejedna para oczu widziała i mój samochód, i mnie. Ruszczyca to mała uliczka. Ładnie bym wyglądał, gdybym tego nie zrobił.

— A więc już wiedzą? — wyjąkał Czepiga.

— Oczywiście! Dlatego wolałem naszą rozmowę odbyć tu, a nie w twoim mieszkaniu. Jak skończą wstępne czynności, wezwą cię na przesłuchanie. Widywano cię przecież u dziewczyny i wiadomo, w jakim charakterze. To się nie ukryje. A do tego ten negliż... Nie myśl, że masz do czynienia z głupcami.

Czepiga z wolna pochylił się do przodu, a potem przyłożył ręce do twarzy i wybuchnął płaczem.

— O mój Boże! Co ja zrobiłem! Ale musiałem! Musiałem! Czemu mi nie uwierzyła?!

Białomski czekał, aż się uspokoi. Oparł dłonie na kierownicy i przyglądał mu się z lekkim uśmiechem. Czepiga po pewnym czasie opanował się i otarł oczy wierzchem dłoni.

— Wyglupiłem się... — mruknął z zażenowaniem, po czym obrócił ku towarzyszowi twarz z resztkami łez na policzkach.

— A pana? Czy już przesłuchiwali?

— Nie, bo przez najbliższych kilka godzin postanowiłem być nieuchwytny.

— Dlaczego... dlaczego pan to robi? Czemu zabrał mnie pan na tę rozmowę?

— Bo postanowiłem ci pomóc. Wszyscy robimy w życiu jakieś głupstwa — Białomski westchnął. — I mnie to się zdarzało, oczywiście nie mam na myśli morderstwa. Tyś zaszedł nieco dalej. A nie robi się takich rzeczy bez przyczyny, to też trzeba wziąć pod uwagę. Jesteś młody i całe życie przed tobą. Żal spędzić je w więzieniu. A ponieważ mogę ci pomóc, postanowiłem to zrobić. — Białomski znów lekko westchnął, a potem dorzucił współczująco: — Ludzi nie należy potępiać bez wniknięcia w pobudki ich czynów...

— Nie znam pana z tej strony — bąknął Czepiga.

— Nic dziwnego, bo nie zbliżyliśmy się do siebie. Ale od początku naszej znajomości darzyłem cię sympatią.

— A więc jak pan uważa? Co mam robić?

Białomski zrozumiał głębszy sens tych słów, ale nie uzewnętrznił zadowolenia.

— Przede wszystkim muszę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś. Dlaczego pozbawiłeś życia tę biedną dziewczynę? Przecież wiem, że darzyła cię uczuciem!

— E tam, uczuciem... — mruknął Czepiga i zamilkł.

— No, słucham...

— Tego właśnie nie mogę powiedzieć. Była przyczyna, ale nie mogę powiedzieć... — powtórzył z nutą uporu.

— Nie możesz powiedzieć?! — Białomski oburzył

się niemal szczerze. — I chcesz, żebym cię wyciągnął z takiej matni?! No wiesz!

— Kiedy... nie, nie mogę!

— Dlaczego? Czy może być coś gorszego od mordstwa, o którym już wiem? Zastanów się.

— Chodzi o innych. Jeśli dowiedzą się, że powie-działem, długo nie pożyję...

— Aha, boisz się. Miałeś im coś dostarczyć?

— Nic nie miałem im dostarczyć! Nic! Dobrze, niech będzie, to ja załatwiłem Lenę, ale więcej nic pan ode mnie nie usłyszy!

— Uspokój się i nie krzycz. — Ton głosu Białoru-skiego był znów przyjacielski. — Zastanów się lepiej, w jaki sposób mogliby się dowiedzieć o naszej rozmowie? Może ode mnie — prychnął ironicznie, a potem ciągnął znów spokojnie i rzeczowo: — Zresztą jesteś w przy-musowej sytuacji, po prostu nie masz wyboru. Jeśli nie poznam prawdy, nie będę mógł pomóc, bo na ślepo w taką kabałę nie wleżę. A wówczas musiałbym oddać milicji ten skrawek materiału z odpowiednim komenta-rzem. Jeśli nie przyjmiesz mojej pomocy, czeka cię wiele lat więzienia. Nie wiem, co lepsze: kryminał czy jakieś iluzoryczne niebezpieczeństwo. Zresztą nie mu-sisz się niczego bać, bo to, co powiesz, zostanie między nami. Masz na to moje słowo.

Czepiga jakiś czas milczał, zastanawiając się nad tym, co usłyszał, wreszcie powiedział półgłosem jakby do siebie:

— Niech więc będzie... Mam pana słowo. I wyciągnie

mnie pan z tego? — Obrócił głowę, spoglądając pytająco na swego rozmówcę.

— Już ci obiecałem, a nie lubię się powtarzać. Jeśli nie nawalisz, nic ci nie zrobią. Zaraz ci powiem, jak masz postępować, a teraz słucham.

Czepiga rozpoczął swoją relację początkowo z wahaniami i przerwami, ale po chwili mówił już płynnie.

— Zaczęło się od tego, że Lena postanowiła zdobyć informacje dotyczące odkrycia Wierzyby. Ciągłe narzekała, że nie ma pieniędzy, że nie może, sobie kupić jakichś tam różnych ciuchów, że przyjaciółki to i tamto... I najlepiej to prysnąć za granicę, jednak najpierw trzeba mieć forszę, a lepszej okazji nie będzie... Ja miałem zająć się wyszukaniem ludzi, którzy kupiliby materiał. Zgodziłem się, bo interes zapowiadał dużą forszę. Zasięgnąłem tu i ówdzie języka, bo różnych znajomości mam sporo, no i wyjechałem z Orbisem do Wiednia. Adres, który zdobyłem, był dobry, interes chwycił. Został ustalony sposób zapłaty i przekazania materiału, bo bałem się go brać ze sobą. Ktoś miał przyjechać do Warszawy i nawiązać ze mną kontakt. Facet ten wykorzystał kongres chemików i zjawił się jako sekretarz jednego z profesorów. Niestety tak się stało, że zetknęliśmy się na kongresie i w czasie umówionego spotkania poznaliśmy się wzajemnie. Najpierw dałem mu nie utrwalone odbitki fotograficzne. Zaakceptował materiał, ale złapał mnie w pułapkę, bo okazało się, że w Wiedniu zostałem sfotografowany, a rozmowa nagrana.

Zażądał dostarczenia materiałów, a o zapłacie nie chciał nawet gadać. Zagroził, że jeśli nie wykonam polecenia, i to natychmiast — dał mi trzy godziny — prześle do wody przeciwko mnie, gdzie należy, aby zrobiono ze mną porządek... — przerwał, zaczerpnął tchu i po chwili mówił dalej: — Myślałem, że ziemia rozstała mi się pod nogami. Byłem wściekły, zrozpaczony, ale i bezbronny. Wszystkie nasze projekty od razu wzięły w łeb. Musiałem zrobić to, czego żądał, bo w przeciwnym razie i tak zostałbym bez forsy, a do tego z dłuższą odsiadką na karku. Pozostawała mi tylko nadzieja, że Lena zrozumie sytuację i zrezygnuje z naszych wspólnych planów. Bo widzi pan, byłem tak pewien i jej, i naszej sprawy, że zgodziłem się, by ona przechowywała rolkę filmu i odbitki.

— Z czego robione były zdjęcia? — przerwał sucho Białowski.

— Z kalki maszynowych. Wkładała w maszynę trzy. Dwie zgodnie z poleceniem zwracała profesorowi razem z trzema egzemplarzami maszynopisu, a te dodatkowe chowała u siebie. Przefotografowałem je potem pod światło.

— Co stało się z tymi kalkami?

— Zniszczyłem je, by nie zostawiać zbędnych śladów. Po przefotografowaniu nie były już potrzebne.

— Dobrze. Mów dalej.

— No, więc zaraz pojechałem do niej. Było już po północy, ale nieraz zjawiałem się późno, więc mnie wpuściła. Kiedy powiedziałem, jaki obrót przybrała

sprawa, ona... nie uwierzyła! Zarzuciła mi, że chcę ją wykiwać, że to wszystko wymyśliłem, ale niech mi się nie zdaje, że jest taką idiotką, by dać się okpić i za darmo da materiał, który z takim narażeniem zdobyła! Zaczęła ze mnie szydzić, a potem wpadła w złość i kazała wynosić się, grożąc, że zrobi awanturę na cały dom... Wtedy straciłem panowanie nad sobą... Groziło mi zdemaskowanie, proces, więzienie, a ta durna dziwka myślała tylko o forsie! Pociemniało mi w oczach, zakręciło się w głowie i w przyływie rozpaczy rzuciłem się na nią... Oprzytomniałem, kiedy już mi znieruchomiła w rękach... Wtedy zacząłem przeszukiwać mieszkanie i na szczęście dość szybko odnalazłem te przeklęte odbitki. Nawet nie były dobrze schowane. Wsunęła je w stare żurnale mód.

— No a film?

Czepiga jakby się ocknął po powtórnie przeżywanym zdarzeniach.

— Jaki film? — spytał z nieudanym zdziwieniem.

— Ten, z którego robiłeś odbitki. Ta rolka, o której wspominałeś. Przecież miała ją również.

Czepiga wzruszył ramionami.

— Zapomniałem o niej zupełnie. Ciągle miałem na myśli odbitki, bo o nich była mowa. Wprawdzie i on pytał o tę rolkę, ale powiedziałem, że daję to, co było w umowie. A jeśli się nie odczepi, nie odpowiadam za siebie... Naprawdę było mi już wszystko jedno, co się stanie, ledwo mogłem się opanować. Musiał to wyczuć,



bo stał się ustępliwy, a nawet zaczął obiecywać, że bez forsory mnie nie zostawi...

— Zatem rolka została w mieszkaniu?

— Chyba tak...

— Znajdzie ją milicja i będzie wiedziała, o co chodzi — stwierdził Białomski. — Ale to właściwie nie zmienia sytuacji. Komu wręczyłeś te odbitki?

— Nazywa się Marco. Jak powiedziałem, jest sekretarzem jakiegoś profesora. Chyba z Anglii, ale nie pamiętam nazwiska.

— Nie szkodzi. Ile było tych odbitek i jak wyglądały?

— Pięć sztuk, na cienkim papierze mat, osiemnaście na dwadzieścia cztery.

— Gdzieście się spotkali?

— W samochodzie, a potem w jakimś małym domku w okolicach Myśliwieckiej. Dobrze nie wiem, bo wokoło były krzaki, drzewa. Zdaje się, że również i korty tenisowe.

— Dużo mieliście dostać za towar?

— Nie wiem. Mieli to ustalić dopiero po zapoznaniu się z materiałem.

— A sposób zapłaty?

— Miałem otrzymać hasło na ustalony bank. Ale teraz widzę, że dałem się nabrać!

— Hm... Chyba nie, bo w tego rodzaju transakcjach dba się o wzajemne dotrzymanie warunków umowy. To mi raczej wygląda na prywatną imprezę Marco, który znając hasło i mając broń przeciw tobie, posłużył się nią, by samemu przejąć pieniądze. Przecież

nikt nie będzie bawił się w sprawdzanie, kto je podjął. Dla nich najważniejszy był materiał.

— Och, żebym mógł go dostać w ręce... — mruknął z zaciętością Czepiga.

— Nic mu nie możesz zrobić i on o tym dobrze wie. Nie domyślasz się, kto stał za tymi ludźmi z Wiednia?

— Skąd mogę wiedzieć? Był między nimi jakiś facet wyglądający na Araba.

Białomski milczał przez chwilę, wreszcie odezwał się:

— Od tej chwili musisz postępować dokładnie według moich wskazówek, w przeciwnym razie śledztwo pójdzie we właściwym kierunku, i to za moim staraniem.

— Rozumiem — skinął głową Czepiga. — A więc?

— Przede wszystkim zaraz wrócisz do pracy i będziesz się zachowywał tak, jakbyś o niczym nie wiedział. Teraz już mogę ci powiedzieć, że drzwi od balkonu otworzyłem. Ty o tym oczywiście nie możesz wiedzieć, bo przecież tam nie byłeś. Mówię to na wypadek, gdyby milicja chciała ci wmówić, że było inaczej. A teraz słuchaj i zapamiętaj sobie wszystkie szczegóły, by cię nie przyłapali na kręceniu...

Białomski mówił przez, następne dziesięć minut wolno i dokładnie precyzując szczegóły, a Czepiga słuchał z uwagą.

## Rozdział 6

Major Szeruda ujął słuchawkę, by zadzwonić do profesora Wierzby i umówić się z nim na spotkanie. Ponieważ dochodziła dziesiąta, szansa, że zostanie go w domu, była minimalna, gdyż właśnie w tym czasie rozpoczynały się obrady. Była jednak Ama, która mogła mu udzielić wskazówki, kiedy ma przyjść.

Odezwął się kobiecy głos i Szeruda poznał go bez trudności.

I ona wiedziała, kto mówi.

— Nik! A więc zdecydowałeś się sam zadzwonić! — słowa jej zdradzały radość. Musiała jednak sama tak to ocenić, bo szybko zmieniła ton i dorzuciła już z akcentem złośliwości: — Zresztą na pewno nie do mnie.

— Ale cieszy mnie, że z tobą rozmawiam. Są jednak i inne sprawy, które noszą miano służbowych. Dla tego muszę zobaczyć się z twoim wujem.

— Zapewne w związku ze śmiercią Leny!

— Tak, w znacznej mierze...

— Biedna dziewczyna! Nie mogę wyobrazić sobie, że nie żyje! Wiadomość o tym morderstwie okropnie mną wstrząsnęła! — Po chwili dorzuciła już półgłosem: — Nik... Jestem po prostu przerażona...

— Wcale ci się nic dziwię, bo i ja jestem pod wrażeniem tej śmierci. Nie zwalnia mnie to jednak od wykonywania obowiązków. Muszę porozumieć się z profesorem. Czy jest w domu?

— Nie, niedawno wyszedł. — Wyczuł, że stara

się opanować. — Ale przyjdź wieczorem, to będzie. Najlepiej po ósmej.

— Uprzedź go zatem, że będę około dziewiątej.

— Dobrze, powiem. I słuchaj, Nik... — zawahała się.

— A więc słucham. Chciałaś jeszcze coś powiedzieć?

— Nie wiem czy... no, czy nie narzucam się... ale jeśli nie będziesz zbyt zmęczony, może byś po rozmowie z wujem zaszedł do mnie? Będę w swoim pokoju, na górze...

— Chętnie, ale czy nie będzie za późno? Może wuj weźmie mi to za złe?

— Ależ skąd! Zawsze pracuję o tej porze i nie kładę się przed dwunastą.

— A więc zgoda. Do zobaczenia.

Kiedy odkładał słuchawkę, naszła go po raz pierwszy refleksja, czy aby jego podejrzenia co do Amy są słuszne. Zachowanie dziewczyny wskazywało raczej na to, że istotnie interesuje się jego osobą. Ale z drugiej strony te pytania, które zadawała mu podczas ich ostatniego spotkania... Tylko dlaczego w ostatniej chwili jak gdyby cofała się, nie kontynuowała tematu, mimo że go nie unikał? Ciekaw był zatem, jaki przebieg będzie miała ich następna rozmowa.

Gdy zadzwonił do willi profesora, właśnie ona otworzyła mu drzwi.

— Zostałem wuja?

— Czeka na ciebie w gabinecie.

— Nasza rozmowa nie potrwa chyba dłużej niż pół godziny. Będziesz u siebie?

— Tak jak mówiłam. Wejdz na piętro, a potem pierwsze drzwi na lewo. Cieszę się, że nie zapomniałeś.

Szeruda odpowiedział z uśmiechem:

— Jesteś za ładna, żeby zapomnieć.

Wierzbę zastał siedzącego za biurkiem zawalonym papierami. Na jego widok profesor uniósł się z fotela i wyciągnął rękę.

— Witam, majorze! Siostrzenica uprzedziła mnie o pana wizycie. Nie ukrywam, że jestem diabło zmordowany, ale zgadzam się na rozmowę. Domyślałam się bowiem, że przyszedł pan w związku z tym strasznym wypadkiem! Proszę. — Wskazał gościowi fotel,

— Istotnie, ta właśnie sprawa sprowadza mnie do pana. — Szeruda zajął wskazane miejsce.

— Czy wiecie już coś bliższego? Jaka była przyczyna jej śmierci?

— Nie wiem, profesorze. Dochodzenie prowadzi milicja.

Wierzba zorientował się, że pytanie było niewłaściwe.

— Ach tak... Racja, z przebiegu naszych dotychczasowych rozmów powinienem wiedzieć, że pan ma inne zainteresowania.

— Właśnie. I dlatego tu jestem.

— Słucham. — Wierzba odchylił się na oparcie fotela.

— Przypomina pan sobie, co ustaliliśmy przed zjazdem? — spytał Szeruda i od razu zauważył, że

profesor nachmurzył się. — Pragnąłbym wyjaśnić, do jakiego stopnia to, o czym mówiliśmy, zostało uwzględnione w pana pracach przygotowawczych.

— Czy pan sądzi, że nie miałem wówczas nie lepszego do roboty, jak wkuwanie na pamięć waszych instrukcji? — spytał gniewnie Wierzba.

— Nie trzeba było wkuwać, ale zastosować się do nich — zimno oświadczył major.

Profesor zreflektował się.

— Proszę wybaczyć, majorze — przetarł dłonią twarz — jestem doprawdy przemęczony, a do tego to morderstwo... Przeżyłem je mocno, przecież pracowałem z tą dziewczyną nie od wczoraj... Lubiłem ją...

— Był pan z niej zadowolony?

— Była bystrym, pojętym pracownikiem, który nie wymagał drobiazgowych wskazówek czy pouczeń.

— A ostatnio? Czy nie opuszczała się w pracy? Nie okazywała zdenerwowania lub niepokoju?

— Ależ przeciwnie, była w doskonałym humorze!

— Może więc zauważył pan nonszalancję lub lekceważenie obowiązków?

— Przeciwnie, tuż przed sympozjum pracowała bardzo intensywnie. Pomagała mi nawet po godzinach biurowych! Byłem z niej bardzo zadowolony.

— Czy rękopisy pana przepisywała tylko ona, czy jeszcze ktoś?

— Tylko ona.

— Wróćmy teraz do sprawy instrukcji, mam nadzieję jasnej i dostatecznie precyzyjnej. Czy była przestrzegana?

— Ależ oczywiście! — obruszył się profesor. — Zgodnie z ustaleniem materiał był pisany tylko w trzech egzemplarzach i tylko na tym jasnoseledynowym papierze, który mi dostarczyliście.

— To nie było jednak wszystko, czego żądaliśmy... Profesor jakby się zawahał.

— Co pan ma na myśli?

— Punkt, na który kładliśmy główny nacisk. Aby sekretarka pisała tylko w pana obecności, a gotowy materiał natychmiast panu przekazywała.

— Ależ tak... zasadniczo tak... — W głosie Wierzyby nie było już poprzedniej pewności.

— Co znaczy to „zasadniczo”, panie profesorze? — Głos Szerudy stał się o ton ostrzejszy.

— No, bo widzi pan... prawdę mówiąc, to nie pamiętam... — urwał, spoglądając z rozterką na Szerudę.

Ten w milczeniu pokiwał głową. Ta bezsłowna reakcja ostatecznie speszzyła profesora.

— Nie pamiętam, majorze... — rzucił już ostatecznie zgnębiony. — Doprawdy nie pamiętam.

Wydaje mi się, że tak, bo przecież nie zapomniałem o waszych ostrzeżeniach, ale tyle wówczas miałem roboty, tak byłem zaabsorbowany różnymi sprawami dotyczącymi i swojej pracy, i przygotowaniem do zjazdu, że sam już nie wiem dokładnie...

— Zatem należy założyć, że tego nadzoru nie było. No cóż, nic już na to nie poradzimy...

— Czy ma to związek ze śmiercią tej biednej dziewczyny?

— Podejrzewam, że zdołała przechwycić tę dokumentację. I to stało się przyczyną jej śmierci.

— To znaczy, że...

Szeruda skinął głową.

— Że pana dokumentacja dostała się w obce ręce — dokończył. — Jeżeli zatem nie uda się jej odzyskać, kraj straci przywilej wyłącznych korzyści z pana odkrycia. Natomiast pana straty mniej mnie już interesują — dorzucił bezceremonialnie major, nie ukrywając rozdrażnienia.

— A niech to diabli... — mruknął Wierzbą, a potem spytał, spoglądając niepewnie na majora: — Są jakieś szanse?

— Na odzyskanie materiału? Kto to może wiedzieć?

Major wstał, pożegnał profesora i ruszył na górę. Znajdowało się tu troje oszklonych drzwi; ale tylko przez jedno sączyło się światło. Zapukał i w odpowiedzi usłyszał głos Amy:

— To ty, Nik? Wchodź.

Pokój dziewczyny był przyjemnie urządzone. Jasne meble kontrastowały z wiśniowym dywanem, zasłony były dobrze dobrane. Ściany zdobiło kilka szkiców. Na niskich fotelach i tapczanie leżało parę kolorowych poduszek. Pod jednym z okien stał duży stół, na nim leżały kartony i tuby z farbami. Z pojemnika sterczały pędzle.

Siedziała nad rozłożonym tygodnikiem z łokciami



wspartymi o blat stołu. Światło stojącej obok lampy padało na jej kasztanowe włosy. Uniosła głowę, odkładając tygodnik.

— Już po rozmowie?

— Już. Pozwolisz, że sobie trochę odetchnę? — Nie czekając na pozwolenie zajął jeden z foteli.

— Ostrożnie, Nik, tego pajacyka dostałam w prezencie od Leny na parę dni przed jej śmiercią. Bardzo go polubiłam i uważam za twoją maskotkę.

Szeruda wyjął zza siebie kolorową lalkę zrobioną z różnych skrawków materiału i odłożył na bok.

— Zmęczyła mnie rozmowa z twoim wujem — rzucił półgłosem, zagłębiając się w fotelu. — Nie była zbyt przyjemna.

— W związku ze śmiercią tej biedaczki?

— Częściowo. Pozwolisz zapalić?

— Proszę. Tu masz popielniczkę.

— Musiałyście doprawdy bardzo się przyjaźnić, skoro tak silnie przeżywasz jej śmierć... — rzucił Szeruda nieco zdawkowo, zajęty zapalaniem papierosa.

— No, może nie tak bardzo — zastrzegła się — jednak była jedną z osób należących do bezpośredniego otoczenia wuja.

— Zatem twoja reakcja wydaje mi się nieco przesadzona. Bo skąd aż przerażenie?

— Sama nie wiem — odpowiedziała z wahaniem — po prostu jej śmierć jakby raptem uświadomiła mi, że oprócz spokojnego nurtu życia istnieje jakaś strefa cienia, w której działają utajone, złe siły... I... może

dlatego... zatęskniłam za twoim towarzystwem, bo jesteś dla mnie symbolem czegoś przeciwnego, jakąś tarczą chroniącą przed groźbą...

— Czyżbyś ją czuła?

Zmieszała się.

— Tak dalece może nie... Ale sama świadomość jej istnienia, czyjegoś utajonego działania jest dostatecznie niepokojąca. Czy macie jakieś podejrzenia co do sprawcy?

— Podejrzeń nie brak, ale jeszcze mało sprecyzowanych. Zresztą to nie jest temat do rozmowy z młodą dziewczyną. Tylko swemu urokowi zawdzięczasz, że w ogóle o tym mówię...

— No, bez przesady, panie majorze. Gdyby mój urok tak działał, nie musiałabym się za tobą uganiać — rzekła kokieteryjnie. Wrócił jej pogodny nastrój.

— A robisz to?

— Nie widzisz? Aż mi głupio. Słuchaj, czy to prawda, że znalazł ją Białomski?

— Tak. Znasz go?

— No pewnie! Przecież pracuje w instytucie wuja.

— Przystojny facet, podobno ma powodzenie u kobiet.

— Tego nie wiem — wzruszyła ramionami — choć swego czasu próbował podrywać i mnie.

Szeruda zauważył nieznaczne spojrzenie dziewczyny, które na chwilę spoczęło na jego twarzy.

— Tylko próbował? — rzucił nieco uszczypliwie.

— Bez insynuacji, szanowny panie. — Tym razem

obrzuciła go ostentacyjnie pogardliwym spojrzeniem.

— Tacy ludzie jak Białomski osiągną swój cel.

— Czy znasz go aż tak dobrze?

— Zetknąłem się z nim raz czy dwa — rzucił od niechcienia Szeruda — i zrobił na mnie takie wrażenie. Zresztą nie upieram się przy tej opinii, bo niewiele mnie obchodzi, czy Białomski jest taki czy inny. Mam na głowie inne, znacznie poważniejsze kłopoty.

— Zaczęłam się już ludzić, że może jesteś o niego zazdrosny... — westchnęła z udawanym smutkiem.

— Zatem potwierdzasz moje podejrzenie?

— Nik! — Skręciła obrotowe krzesło, na którym siedziała, w jego kierunku. — Przestań mi dokuczać!

Postanowił ją nieco podrażnić.

— Nie wiedziałem przecież, że wolisz unikać tych wspomnień... — rzucił przepraszająco.

Zerwała się na nogi.

— Jesteś wstrętny, obrzydliwy cynik! Że też wam, mężczyznom, zaraz takie podejrzenia przychodzą do głowy!

Ponieważ wstała, on również podniósł się z fotela.

— Nie gniewaj się. — Wziął ją za rękę, której mimo wyraźnego rozdrażnienia nie wyrwała. — Nie chciałem cię dotknąć. Uważałem to za żart.

Jeszcze przez chwilę patrzyła mu w oczy z gniewem, ale po chwili jej twarz rozpuodziła się.

— To nie był żart. Nie wiem dlaczego, ale chciałeś

mnie zirytować. Wobec tego teraz mnie przepróż...

Uniosła głowę, wskazując palcem policzek. Kiedy jednak miał go już dotknąć ustami, odwróciła twarz i jego wargi napotkały jej usta. Pocałunek skończył się, kiedy obojgu zabrakło tchu. Przez chwilę spoglądali sobie w oczy, wreszcie Szeruda opuścił ramię, którym obejmował jej plecy, rzucając z uśmiechem:

— Ty podstępna uwodzicielko...

— Masz mi za złe? A może cię rozczarowałam...?

— Przeciwnie, czuję wyraźny niedosyt...

— Co to, to nie. Jak na przeprosiny wystarczy. Teraz siadaj, podam ci coś do picia.

— Nie, muszę już iść.

— Już? — rzuciła zaskoczona. — Przecież dopiero co przyszedłeś! Zostań jeszcze...

— Jest już późno. Jeśli nie zgorszę wuja, to na pewno waszą gosposię.

Idąc ulicą Szeruda zastanawiał się, czy dziewczyna działała spontanicznie, czy też miała na celu doprowadzenie do bardziej poufatego kontaktu. Natomiast Ama po jego wyjściu chwyciła pajacyka i ze złością rzuciła go na ziemię.

Następnego ranka, zresztą tak jak każdego innego dnia, sprzątaczkę hotelowe uzbrojone w ścierki, odkurzacze i froterki wkraczały do pokoi, w miarę jak opuszczali je ich mieszkańcy.

Pokój trzysta szesnaście wymagał zapewne większego wkładu pracy, gdyż za jego drzwiami zniknęły dwie

w jednakowy strój ubrane kobiety. Jedna z nich uprzednio zlustrowała długi korytarz, a kiedy już znalazła się w pokoju, spytała, wskazując na jedną ze ścian:

— Kto jest obok?

— Jakiś gość z holenderskich linii lotniczych. Mieszka już przeszło tydzień.

— A z drugiej strony?

— Pod trzysta piętnastkę wprowadził się jakiś dziennikarz z Wiednia. Mieszkał na piątym, ale coś mu się tam nie podobało i dwa dni temu przeniósł się tutaj. Ale nie gadajmy tyle! Rób, co masz robić, żeby nas nie nakryli. Za ten tysiąc, co go dostałam, nie opłaci mi się tracić pracy, a może jeszcze tłumaczyć się przed glinami!

Urwała zrzędenie, uruchomiła odkurzacz i nachyliła się nad dywanem.

Funkcję drugiej sprzątaczkii pełniła Marta Cwierteń. Miała już za sobą trzyletnią odsiadkę za udział w aferze przemysłniczej, a potem zaczęła staczać się coraz bardziej, uzupełniając niektóre wiadomości zdobyte w więzieniu.

Nie zważając już na towarzyszkę zabrała się do roboty, dokładnego i systematycznego przeszukiwania pokoju. Kolejno sprawdzała szafę, stolik, walizki, tapczan, łazienkę, w której przyniesionym śrubokrętem odkręciła nawet lustro od ściany, a potem resztę przedmiotów znajdujących się w pokoju. To wszystko robiła sprawnie i szybko, dokładnie usuwając wszelkie ślady swoich czynności.

Jednak mimo tej skrupulatności poszukiwania nie

dawały rezultatu. Twarz pani Cwierteń zdradzała coraz większe zniecierpliwienie. Kiedy już nie było gdzie szukać, opuściła ręce i rozejrzała się dookoła ze złością w oczach.

— Nie ma? — Jej towarzyszka wyłączyła odkurzacza.

— Nie, do ciężkiej cholery! Narobiłam się za bobki, bo zaliczka była licha! Żeby wiedziała, gdzie tego drania szukać, co podpuścił tę robotę, to bym go jeszcze pocisnęła! Niech to cholera... — powtórzyła z rozgoryczeniem.

— Przecież chyba wiesz, komu miałaś oddać to, co znajdziesz.

— Właśnie, że nie. Taki cwaniak! Gadał ze mną kto inny... Jeden znajomy... — nie dokończyła, by nie użyć słowa „paser”. — Nadał robotę i tyle.

— To trudno. Ja swoje zrobiłam, więc teraz zjeżdżaj! Drogę do wyjścia znasz?

— Znam, nie zabłądzą. Nie masz co się bać...

— Jakby kto pytał, to powiedz, żeś zapomniała śniadania i idziesz coś kupić. Jest nas tu sporo. wszyskie mało kto zna.

Kobieta zbliżyła się do drzwi, chwilę nasłuchiwała, a potem nacisnęła klamkę i wysunęła się na korytarz.

Tego samego dnia w południe dozorca kortów tenisowych Biernat otrzymał przez gońca kartkę, wzywającą go pilnie do stawienia się w lokalu klubu. Nieco zaniepokojony zamknął barek i ruszył w drogę.

Trzeba było przesiadać się z autobusa do tramwaju, a potem podejść kawałek, więc nie tak prędko był na miejscu. Tu ze zdziwieniem dowiedział się, że nikt go nie wzywał, a do tego musiał wysłuchać uszczypliwych komentarzy na temat głupiego pretekstu do włóczenia się po mieście. Wściekły ruszył więc z powrotem, a dla poprawienia nastroju wstał jeszcze po drodze na małe piwko.

Zanim wyjął wreszcie ze schowka za okiennicą klucz i wkroczył do mieszkania, by przygotować spóźniony obiad, upłynęły prawie trzy godziny.

Po obiedzie, kiedy siadał na ławce przed domem, ujrzał pomiędzy drzewami znajomą sylwetkę.

Zapałił fajkę i czekał na przybysza, a kiedy ten nadzedł, wstał na jego powitanie.

— Nie będziemy tu rozmawiać — oświadczył krótko gość. — Chodźmy do środka.

Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, przybyły spytał krótko:

— Nikt o mnie nie pytał?

Biernat zdziwił się.

— Kto miałby pytać? Oczywiście, że nikt.

— I nie zdarzyło się nic godnego uwagi?

Stary chwilę zastanawiał się.

— Nie, chyba nie... — odpowiedział, po czym dorzucił z wahaniem: — Chociaż...

Rozmawiali, stojąc na środku pokoju ze staroświeckim, drewnianym łóżkiem w rogu, okrągłym stołem przykrytym serwetą w zielono-czerwone kwiaty i również staroświeckim kredensem na kuchenne naczynia,

zajmującym jedną ze ścian. Gość podchwycił wahanie starego i zbliżył się ku niemu.

— Chociaż co, panie Biernat? Pytano o mnie?

— Nie, nie to... Tylko przed godziną wróciłem, właśnie z biura. Pojechałem tam, bo otrzymałem wezwanie, ale okazało się, że ktoś mi zrobił głupi kawał. Nikt po mnie nie posyłał.

— Co to było za wezwanie?

— Taka tam kartka...

— Ma ją pan?

— Nie, wrzuciłem pod kuchnię.

— Kto ją przyniósł?

— Gонец z klubu.

— Zna go pan?

— Nie, ale to nic dziwnego, bo oni ciągle się zmieniają. Żaden miejsca nie zagrzeje.

Gość stał chwilę z opuszczoną głową. Wreszcie uniósł ją i przesunął uważnym spojrzeniem po twarzy starego.

— Proszę tu zostać. Pójdę teraz do swego pokoju, a potem jeszcze pogadamy.

Nieobecność przybysza nie trwała dłużej jak kwadrans. Przez ten czas stary siedział przy stole. Fajka mu zgasła, ale nawet nie chciało mu się jej zapalić. Kiedy gość wrócił, zaszepiona twarz i zmarszczone brwi zdradzały, że nurtują go jakieś myśli. Jego skupione, uważne spojrzenie znów spoczęło na gospodarzu.

— Wchodził pan do tamtego pokoju? — spytał zdawkowo.

— Nie, a bo co?

— Nic. — Przybyły wzruszył ramionami. Wszystko



w porządku. Chyba nikogo tu w czasie pana nieobecności nie było... — powiedział, mimo iż cienkie jak włos nitki kontrolne zostały zerwane prawie wszędzie, co stwierdził natychmiast. Ale przedmiot poszukiwań — o co chodziło, wiedział dobrze — był ukryty gdzie indziej. Groziło mu jednak inne niebezpieczeństwo i o tym teraz myślał.

— No to i dobrze! — stary uśmiechnął się. — Bo muszę się przyznać, że ciągle się zastanawiałem, czy to fałszywe wezwanie nie miało jakiegoś celu... Ale widać ktoś zrobił tylko głupi kawał.

— I ja tak myślę. — Gość odwzajemnił uśmiech. — Teraz sobie zapalimy i zaraz pójdę. Proszę, to dobre, zagraniczne papierosy. — Podsunął staremu czerwono-złotą paczkę, a kiedy ten wyciągnął z niej papierosa, wyjął go i dla siebie, ale z tej części, którą uprzednio przykrywał palcem.

Jakiś czas palili w milczeniu. Gość zbliżył się do okna i odsunąwszy lekko firankę spoglądał w głąb parku. Odwrócił się, gdy stary zakasłał.

— Dobre te papierosy, ale mocne — zamruczał — i taki jakiś mają...

Nie dokończył zdania, przechylił się na krześle i byłby z niego spadł, gdyby gość nie znalazł się przy nim i nie podtrzymał, a potem oparł o blat stołu. Następnie odsunął staremu rękaw marynarki i koszuli, obnażając przedramię, wyjął z kieszeni marynarki długopis, przyłożył go do skóry i nacisnął. Zamiast wkładu wysunęła się cienka igła i zagłębiła w niebieską nitkę żyły.

Po powrocie porucznik Łuba nie zastał już Szerudy w biurze, więc relację zdał następnego dnia. Jak się okazało, Biernat, obecnie dozorca kortów tenisowych, miał w swoim życiorysie ciemną plamę. W czasie okupacji pracował w Zarządzie-Miejskim i zdarzyło się, że właśnie w jego otoczeniu nastąpiło kilka aresztowań. Zaczęto od niego stronić, posądzając o kontakty z gestapo. Sprawę badał nawet wywiad podziemia, ale nie udało się niczego stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Wkrótce Biernat zmienił miejsce pracy i sprawa poszła w zapomnienie. Obecnie jednak znaleźli się zapewne ludzie, którzy ją odgrzebali. Major wysłuchał sprawozdania bez słowa, a kiedy porucznik skończył, milczał jeszcze przez jakiś czas.

— Obejrzymy sobie ten barak i jego mieszkańca — odezwał się po chwili. — Wybierzemy się do niego z wizytą.

— Kiedy?

— Najlepiej wieczorem. W dzień mamy co innego do roboty. A co ze Szczygłem? Już pracuje?

— Od wczoraj. Ta załatwił sam stary przez jakiegoś wspólnego znajomego.

— Wierzba zadowolony z nowej sekretarki?

— Jeszcze za wcześnie na ocenę. Przyjął ją dość przychylnie.

— Skiba utrzymuje z nią kontakt?

— Już mam rachunek za czekoladę — Łuba uśmiechnął się.

— No cóż, pozory muszą zachować. Nie powinien jednak rozluźniać kontaktu z panną Targoń. Musimy wiedzieć, kto stara się do niej zbliżyć. Taka znajomość

pozwała mu na nawiązanie kontaktów z otoczeniem profesora. Może pozorować je osobistym zainteresowaniem.

— Zdaje się, że nawet nie potrzebuje udawać — mówiąc to Łuba zerknął na majora spod oka.

— Nie dziwię się. — Szeruda spojrział w okno i dorzucił: — To rzeczywiście bardzo atrakcyjna dziewczyna.

— Masz już jakieś potwierdzenie naszych podejrzeń?

Szeruda nie odpowiedział od razu. A kiedy zaczął mówić, w jego słowach nie było zwykłej precyzji i jasności.

— Dziwna rzecz, ale mimo że dwukrotnie z nią rozmawiałem, wiem właściwie tyle co i na początku. A może nawet i mniej, bo doszły dodatkowe elementy utrudniające ocenę...

— A gdyby tak nieco jaśniej, obywatelu majorze?!

— Rzecz w tym, że jej zachowanie jest dwuznaczne. W pewnych momentach zdawało mi się, że wystarczy jeszcze jedno, dwa zdania, a poznam intencje jej działania, ale właśnie w takich chwilach robiła unik i nawet nie wiem, czy świadomy. I tak na przykład pytała o nasze polecenia związane z ochroną prac Wierzby i o podejrzenia w tej sprawie, ale kiedy wyraziłem ostrożną gotowość prowadzenia dalszej rozmowy na ten temat, zaczęła mówić o czymś innym.

— Może jest na tyle przebiegła, że na razie tylko bada grunt i ustawia cię do strzału?

Szeruda przypomniał sobie scenę pożegnania, więc

poprzestał tylko na wzruszeniu ramion i krótkiej odpowiedzi:

— Bardzo możliwe, ale do tego potrzeba rutyny, której nie może mieć dwudziestoletnia dziewczyna. Natomiast jeśli chodzi o Białomskiego, to na aluzję o ich stosunku odpowiedziała oburzeniem, ale też i nie zaprzeczyła w sposób wyraźny.

— To się na pewno wyjaśni. Mamy nowy szczegół na jej temat.

— Cóż takiego?

— Skiba meldował o Manami. Spotkał się z panną Targoń wczoraj niby przypadkowo i zaprosił na kawę.

— Przyjęła zaproszenie?

— Przyjęła, ale wyszli po półgodzinie i pożegnała go przed kawiarnią.

— Hm... — Major ujął leżącą na biurku zapalniczkę i zaczął ją obracać w palcach. Wreszcie odezwał się: — Zatem pan Manami zaczął się ruszać. Trzeba będzie poświęcić mu więcej uwagi. Zastanawiające, że mając tyle kandydatek do nawiązania flirtu wybrał sobie właśnie pannę Targoń.

— Jest na to dość atrakcyjna — rzucił z przekonaniem Łuba. — I nie wydaje mi się, by zainteresowanie ze strony mężczyzn sprawiało jej przykrość.

— Nie wiedziałem, że jesteś takim znawcą kobiet — mruknął zgryźliwie Szeruda, a potem rzucił: „proszę”, bo akurat rozległo się pukanie do drzwi.

Na progu ukazał się kapitan Molski.

— Nie przeszkadzam? — spytał wchodząc do pokoju.

— Nie, kapitanie. — Szeruda wstał zza biurka. — Zna pan porucznika Łubą?

— Ależ tak! — Kapitan po przywitaniu zajął wskazany fotel i kontynuował: — Przyszedłem, aby podzielić się z wami wynikami pierwszych przesłuchań. Z góry jednak oświadczam, że właściwie niczego nie dały.

— Nie wyjaśniły sytuacji?

— Niestety, nie. Mamy już zeznania Białomskiego oraz Czepigi i parę skąpych informacji od okolicznych mieszkańców. Istotnie o ósmej nadjechał żółty fiat i zatrzymał się w pobliżu ósmego numeru. Wysiadł z niego osobnik, którego opis zgadza się z sylwetką Białomskiego. Po kilku minutach wrócił i odjechał.

— Czy nie udało się bliżej określić, ile było tych minut?

— Jak zwykle zeznania różnią się w określeniu czasu. Jedni twierdzą, że do powrotu minęło dziesięć minut, inni, że trzy lub cztery.

— A więc tego już nie ustalimy. A co zeznał on sam?

— Burska miała być w biurze już o siódmej. Ponieważ nie przyszła, a sprawa była pilna, więc pojechał do niej, no i zobaczył ją martwą. Twierdzi stanowczo, że niczego tam nie ruszał. Z tego, co zastał w mieszkaniu Burskiej, mało co pamięta. Mówi, że zupełnie stracił głowę i oprzytomniał, kiedy był już na dole.

— No tak, niczego innego nie można się było spodziewać, zwłaszcza jeśli to on narobił tego bałaganu — stwierdził Szeruda. — A Czepiga?

— Wydaje się, że ten jest w porządku. W każdym razie ma zapewnione alibi przez trzy osoby. W krytycznym czasie, a mianowicie od dziewiątej do drugiej w nocy, grał w pokera w mieszkaniu niejakiego Dektury, pracownika Instytutu Paliw i Smarów. Wszyscy biorący udział w partii zgodnie stwierdzili, że Czepiga nie odchodził od gry. W ich zeznaniach nie było rozbieżności mimo wnikliwych przesłuchań.

— Hm... — major zamyślił się. — Zupełny brak poszlak. Niczego prócz tych otwartych drzwi, które raczej komplikują sytuację. Skąd Czepiga zna Dekturę?

— Odwiedzał Burską w Instytucie, poznał go przy tej okazji. Tak samo zresztą jak i Białomskiego. Nie zaprzecza też, że był kochankiem zamordowanej.

— A więc utknęliśmy? — rzucił z rozczarowaniem Szeruda.

— Może w takim razie zastanowilibyśmy się nad innym zagadnieniem. Mianowicie: czego szukał sprawca? Odpowiedź na to pytanie znacznie ograniczałaby krąg poszukiwań.

— Podejrzewam, że zmarłej udało się ukryć pewne poufne materiały, dotyczące ostatnich prac profesora Wierzby. Nasze obserwacje nasuwają przypuszczenie, że to właśnie stało się przyczyną jej śmierci.

— Chyba tak, bo morderstwo na tle rabunkowym

odpada. Nie stwierdziliśmy też śladów gwałtu. Wasze przypuszczenie — ciągnął Molski — przypomniało mi pewien szczegół, o którym jeszcze nie wspomniałem. Dotyczy właśnie Czepigi. Mianowicie stwierdziliśmy, że mniej, więcej przed czterema tygodniami był na wycieczce w Wiedniu.

— To ciekawe... — ożywił się Szeruda, zamieniając spojrzenie z porucznikiem Łubą, który bez słowa przysłuchiwał się rozmowie.

— Czy to może mieć związek z tym, co was interesuje?

— To wymaga jeszcze sprawdzenia — Szeruda przerwał i chwilę zastanowił się, po czym ciągnął dalej: — Na razie zaś przychodzi mi na myśl, by wrócić do tego pokera Czepigi, ale z nieco innej strony. Mianowicie postarajcie się sprawdzić, czy ci, co dawali alibi, z Dekturą na czele, istotnie grali w karty owego wieczoru? Być może da się ustalić, że chociażby tylko jeden z nich robił wówczas coś zupełnie innego i gdzie indziej? Rozumiecie, co mam na myśli?

— Oczywiście, majorze — ożywił się Molski. — To żmudna robota, ale ją, odwalimy! Jeżeli wasze podejrzenie potwierdzi się, sprawa ruszy z miejsca, i to chyba szybko!

## Rozdział 7

Białomski zdawał sobie sprawę, że sytuacja, w jakiej się znalazł, wymagała zachowania wzmożonej ostrożności. Działał jednak pod przymusem; aby wykonać zadanie, które mu zlecono, musiał poznać przyczyny śmierci Burskiej. Ponieważ prawdę mógł mu wyjawić tylko Czepiga, sięgnął do tego źródła mimo całego ryzyka, wynikającego z wkroczenia do kręgu osób objętych śledztwem w sprawie morderstwa.

Teraz jednak, kiedy tę prawdę już znał i wiedział, kto jest jego przeciwnikiem, Czepiga nie tylko stał się niepotrzebny, ale zaczął przeszkadzać w dalszych poczynaniach, a nawet zagrażać jego osobistemu bezpieczeństwu. Białomski zastanawiał się nad tym długo, a wreszcie wydał niezawodnemu jak dotąd Dekturze nowe polecenie.

Dotyczyło ono Filipa Marco, sekretarza profesora Blackburna. Aby je spełnić, należało znaleźć naturalny i nie budzący podejrzeń pretekst do rozmowy. I tu przyszedł mu z pomocą przypadek.

W obradach zjazdu miała właśnie nastąpić dwudniowa przerwa, w czasie której zaplanowano zwiedzanie wytypowanych zakładów chemicznych. Ci, którzy chcieli wziąć w niej udział, musieli złożyć podpisy na liście wyłożonej w sekretariacie.

Dektura stwierdził, że brak było jeszcze kilku podpisów, między innymi i profesora Blackburna. Zaproponował więc w sekretariacie — co zostało przyjęte z zadowoleniem — że ustali, czy brak podpisów to wynik niedopatrzenia, czy też rezygnacji z wyjazdu. W ten



sposób miał pretekst do nawiązania kontaktu z Marco.

Zaopatrzonego w listę zgłosił się rano w hotelu i po chwili pukał do drzwi sekretarza profesora Blackburna.

Po wyjaśnieniu celu wizyty Marco, który właśnie kończył poranną toaletę, podciągnął do góry węzeł kravaty i rzucił, sięgając po marynarkę:

— Dziękuję, że pan się fatygował. Właśnie wieczorem przypominałem profesorowi o tej sprawie. Chce jechać, więc jeśli ma pan tę listę, to zaraz ją podpiszę.

— Proszę, oto jest. Bez niej moja wizyta nie miałaby sensu.

Marco podpisał listę. Dektura nie rozpoczął rozmowy, ciekaw, czy tamten pierwszy ją podejmie. Istotnie, oddając złożony papier, Marco spytał:

— Czym będziemy podróżować?

— Autokarem. Poza tym postaraliśmy się zapewnić uczestnikom wszelkie możliwe wygody — wyjaśnił pospiesznie Dektura z usługowym uśmiechem na twarzy.

— Macie na pewno sporo kłopotów z obsługą tylu gości?

— To zrozumiałe, bo uczestników zjazdu jest wielu. — Dektura starał się udzielać możliwie obszernych odpowiedzi, które świadczyłyby o jego gadatliwości. — Tyle osób z różnych stron świata, o bardzo różnych przyzwyczajeniach i gustach, zależnych od zwyczajów, tradycji czy warunków panujących w ich krajach. Staraliśmy się jednak, by wszyscy byli zadowoleni...

— Istotnie organizacja stoi na dobrym poziomie — Marco przerwał wywód swego gościa w środku zdania. — Ale przecież nad wszystkim czuwać nie można. Zwłaszcza nocą... — dorzucił z porozumiewawczym uśmiechem.

— Oczywiście, proszę pana — pośpieszył z odpowiedzią Dektura, odwzajemniając uśmiech. — W nocy zdarzają się czasem takie czy inne przygody, ale raczej młodszym uczestnikom kongresu. Chociaż... — urwał, jak gdyby naszła go wątpliwość, czy ma mówić dalej.

— Co „chociaż”? — podchwycił Marco. — Zapewne jakieś odstępstwo od tej reguły? Ciekaw jestem, o kogo chodzi?

Dektura uznał, że może już poruszyć temat, który był celem całej tej rozmowy.

— Nie wiem, czy wypada mi mówić... Zdarzenie dotyczy jednego z naszych gości...

— Może pan być spokojny. Zostanie to między nami — zapewnił Marco.

Dektura zniżył głos, nadając mu konfidencjonalny ton:

— Otóż, proszę pana... przygoda zdarzyła się jednemu z profesorów, mimo wszystko nazwiska wolę nie wymieniać, któremu kilku jego kolegów zrobiło niezbyt mądry kawał... Działo się to w nocnym lokalu, kiedy byli już pod dobrą datą. Zaczęło się od zakładu z jedną z dziewczyn, czy zje puchar melby bez łyżeczki. Miała za to dostać pięć dolarów, bo przecież umazałaby się nielicho... W pewnej chwili ktoś jednak przestawił puchar ze stołu na kolana tego profesora i podniósł stawkę do

dziesięciu dolarów. Ta zmiana rozbawionemu towarzystwu bardzo się podobała, bo obrazek był istotnie komiczny i dostatecznie dwuznaczny. Sam profesor śmiał się również do czasu, kiedy błysnął flesz. Znalazł się bowiem fotoreporter, który nie omieszczał skorzystać z okazji...

— I co dalej? — Marco okazał zainteresowanie opowiadaniem.

— Rozbawiony początkowo profesor wściekł się, sądząc, że scena została zaaranżowana umyślnie. A że z towarzyszami zabawy musiał się liczyć, całą złość wyładował na biednym fotografie, któremu nieźle się za to dostało. Żal mi go, zwłaszcza po tym wszystkim, co ostatnio przeszedł... — Dektura westchnął lekko.

— Co, mianowicie!

— Zamordowano mu narzeczoną. I żeby tylko to...

— Zamordowano narzeczoną? — Marco, który czyścił sobie paznokcie, znieruchomiał na chwilę. — Któż to jest?

— Nazywa się Czepiga. Właśnie jego podejrzewają o to morderstwo.

— Jego?! — nieomal wykrzyknął Marco. — Skąd pan to wie?!

— Od niego samego, proszę pana. Ta Burska była sekretarką profesora Wierzby, a że i ja pracuję w tym Instytucie, znaliśmy się dobrze. Czepiga często ją odwiedzał, zaprzyjaźniliśmy się.

— I od niego pan wie, że jest podejrzany o ta morderstwo?

— Właśnie. Już podobno trzy razy był przesłuchiwany i jest bliski załamania. Ostatnio mówił mi niemal z płaczem, że już tego dłużej nie wytrzyma i raczej woli przyznać się do wszystkiego, o co go posądzają, byle tylko dali mu wreszcie spokój! Biedny chłopak jest zupełnie wykończony nerwowo...

— No cóż — rzucił zdawkowo Marco, jakby temat go nie interesował — w życiu zdarzają się różne dramaty. Teraz przepraszę pana, bo muszę już iść.

— Ja też się zagadałem, a mam jeszcze odwiedzić z tą listą pięć osób. Na szczęście większość mieszka w tym hotelu.

I Dektura zupełnie zadowolony z przebiegu rozmowy pożegnał wyraźnie podenerwowanego gospodarza.

Dopiero wieczorem Szeruda znalazł chwilę czasu, by obejrzeć barak przy kortach tenisowych. Zabrał więc porucznika Łubę z jego mieszkania i obaj pojechali na miejsce.

Major minął boczną drogę i zatrzymał wóz nieco dalej. Kiedy wysiedli, pozwolił, by porucznik poszedł przodem.

Wkrótce skręcili w ciemną o tej porze alejkę. Tylko korony drzew połyskiwały tu i ówdzie migotliwą zieleńią w refleksach światła odległych ulicznych latarni. Szli wolno, starając się stąpać cicho, ale mimo to żwir zgrzytał pod nogami. Gdyby nie ciągnąca się obok druciana siatka, która odbijała mizerne okruchy światła

ulicy i wskazywała w ten sposób kierunek, trudno by była odnaleźć właściwą drogą.

Po chwili stało się nieco widniej, gdyż zamigotało światło jakiejś lampy przedzierające poprzez liście drzew. Kiedy więc siatka skończyła się i ściana krzaków zagrodziła im drogę, porucznik bez wahania skręcił w bok. Ciemność była teraz mniej gęsta, tu i ówdzie odróżniali zarys krzaków, a wkrótce zamajaczyły przed nimi kontury baraku.

W tej chwili obaj nagle stanęli. W nikłej poświacie drżącej w głębi, poza gęstwiną zarośli, przemknęła jakaś postać i rozplynęła się w mroku. Obraz ten ukazał się tylko na krótki moment i zdawał się być złudą. Czarne kolumny pni ciągnęły się przed nimi pogrążone jak przedtem w mroku i ciszy, którą mącił jedynie odległy szum miasta.

— Widziałeś? — szepnął Łuba majorowi do ucha.

— Tak. Ktoś tam jest.

— Zostań na miejscu. Postaram się faceta przyłapać — dosłyszał jeszcze Szeruda i porucznika pochłonęła ciemność.

Upłynęło dziesięć minut, potem jeszcze pięć i nie się nie działo. Major czekał jednak cierpliwie, nie ruszając się z miejsca.

Wkrótce doszło go z ciemności ciche psyknięcia. Odpowiedział w ten sam sposób. Po chwili ujrzał zarysy postaci i doszedł go przytłumiony głos.

— Szeruda?

— Jestem tu. No i co?

— Zwiął drań. Musiał mnie usłyszeć, bo prysnął w krzaki, a potem pognał w stronę ulicy. Nie miało sensu ścigać go w takich ciemnościach...

— Poza tym nic?

— Zauważyłem okulary w czarnej oprawie. Błysnęły ich szkła.

— To niewiele. Prowadź, idziemy.

Wkrótce zbliżyli się do baraku. Jedno z okien, zaciągnięte zasłoną, jaśniało w ciemnościach świetlistym prostokątem, rzucając smugę blasku na trawnik. Okrążyli barak i Łuba zastukał do drzwi. Z wnętrza rozległo się trwożliwe pytanie:

— Kto tam?

— Proszę otworzyć, panie Biernat. Znajomi — rzucił uspokajająco porucznik.

Usłyszeli szurgot odsuwanej krzesła i kroki zbliżające się do drzwi.

— Jacy znajomi? Czego chcecie?

— Niech pan otworzy bez obawy, panie Biernat. Mam do pana bardzo ważny interes. Przychodzę z klubu.

Zapanowała cisza. Trwała dość długo, ale nie było słychać oddalających się kroków, toteż czekali cierpliwie. Wreszcie szcęknięt obracany klucz i drzwi się uchylły.

— Z jakiego znów klubu? — rozległ się zrzędlawy głos z ciemności sionki.

Łuba otworzył szerzej drzwi i bez dalszych wyjaśnień, poprzedzając Szerudę, przekroczył próg. Za nimi wszedł do oświetlonego pokoju gospodarz.

— Czego panowie chcą? — rzucił z przestraczem.

— Nie poznaje mnie pan, panie Biernat? — Łuba obrócił się do starego. — Widzieliśmy się nie tak dawno — dorzucił z dwuznacznym uśmiechem.

— My? — W spojrzeniu dozorczy ukazał się wyraz rozterki. — Nie... Nie przypominam sobie.

— Rzeczywiście? To tak łatwo zapomina pan spotkanych ludzi?

— Ja... doprawdy nie wiem, o czym pan mówi! — Stary wpatrywał się w twarz porucznika z zakłopotaniem.

Szeruda stał obok rozmawiających, przypatrując się z uwagą staremu dozorczy.

— Więc mniejsza o to. — Porucznik okazał ugodowość. — Przyszliśmy, by z panem pogawędzić.

— No, to proszę, siadajcie, panowie. — Stary przysunął porucznikowi krzesło. — Chociaż nie wiem, kim panowie są.

— Nie szkodzi. W każdym razie nie bandytami.

Łuba usiadł i bez żadnych wstępów spytał:

— Komu wynajmuje pan ten drugi pokój?

— Jaki drugi pokój?

— Struga pan wariata?

— Wariata? — powtórzył stary, wpatrując się ze zdziwieniem w porucznika. — Nie rozumiem, o co panu chodzi

— Zatem nie ma pan drugiego pokoju? Tylko ten jeden?

— Ja... no, być może, skoro pan tak mówi...

— No właśnie. Chcielibyśmy go obejrzeć. Oczywiście za pana zezwoleniem.

— Ależ ja się nie sprzeciwiam! Proszę bardzo... tylko...

Szeruda nadal nie wtrącał się do rozmowy. Teraz zbliżył się do Łuby.

— Zostań tu z panem, pójdę sam. To pewnie po drugiej stronie sionki? — zwrócił się do gospodarza.

— Panowie pewnie wiecie, skoro pytacie...

Szeruda jeszcze raz obrzucił starego badawczym spojrzeniem, a potem wyszedł z pokoju.

Kiedy wrócił po dziesięciu minutach, Łuba zerknął na niego pytająco. Major odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy i zwrócił się do gospodarza.

— Od jak dawna wynajmuje pan tamten pokój?

— Ten, w którym pan był? — Stary podniósł wzrok na majora, mrugając powiekami. — Pyta pan, jak dawno?

— Tak, o to mi chodzi — potwierdził cierpliwie Szeruda.

— Kiedy ja, proszę pana, nie pamiętam...

Łuba parsknął krótkim śmiechem, ale umilkł po ostrzegawczym geście majora. Ten zbliżył się do kuchni, uniósł pokrywki stojących na niej garnków i znów zwrócił się do gospodarza:

— Czy zechce pan odpowiedzieć mi w takim razie na inne pytanie?

— Ależ oczywiście, proszę pana! — zapewnił skwapliwie stary. — Niech pan pyta, z chęcią udzielię odpowiedzi!

— Co pan jadł dziś na obiad, panie Biernat?

— Co jadłem na obiad? — powtórzył pytanie



dozorca, zamilkł i popatrzył bezradnie na Szerudę. Wreszcie wyjąkał: — Nie wiem... Nie potrafię powiedzieć... — Opuścił głowę i podrapał się za uchem.

Szeruda przywołał skinieniem Łubę i rzucił szeptem:

— Dzwoni po karetkę. Wygląda na to, że ten człowiek istotnie stracił pamięć. Zapewne jest to porażenie części kory mózgowej, która, jeśli pamiętam, nazywa się hippocampus. Musi nam to potwierdzić lekarz. Niech też poinformuje, czy jest to stan przejściowy, czy stały, jeśli bez obserwacji szpitalnej da się to ustalić.

— Sądzisz? I stało się to właśnie teraz, kiedy jest nam potrzebny? To zastanawiające. A może on po prostu udaje?

— To również powinni nam wyjaśnić lekarze.

— A jeżeli nie udaje? — zastanowił się Łuba. — Co by to znaczyło?

— Że Marco nas wyprzedził w działaniu. Ale teraz nie pora na wyrzuty służbowego sumienia. Zastąpi je pułkownik. No, ruszaj.

Po przyjeździe karetki Szeruda porozmawiał chwilę z lekarzem, a kiedy zabrano starego dozorcę, wyszedł wraz z porucznikiem z baraku chowając klucz do kieszeni.

— Co znalazłeś w tamtym pokoju? — spytał go Łuba, kiedy już siadali do samochodu.

— Nic, żadnych śladów poza cienkimi jak włos czarnymi nitkami. Łączyły one na przykład nogę krzesła ze spodem drzwi od szafy, szufladę z blatem stołu i tak dalej. I wszystkie były zerwane.

— Zatem?

— Z pewnością Marco miał tu punkt kontaktowy. Ciekawe jednak, kto go spenetrował?

— Może ten w okularach, który zdołał nam umknąć?

— Możliwe, o ile okaże się, że zastosowany środek działa szybko. W przeciwnym razie tej zbrodni dokonanej na starym winien być ktoś inny, ktoś, kto był tu wcześniej. Zapewne Marco.

— A zatem co tu robił ten okularnik?

— Wolałbym usłyszeć odpowiedź niż pytanie — mruknął Szeruda, zapuszczając silnik.

Dalszy ciąg rozmowy odbyli następnego dnia, po zakończeniu narady. Łuba dopił kawę i nawiązał do pierwszych wiadomości otrzymanych ze szpitala.

— Mimo wszystko żal mi tego starego. Połaszczył się na forszę, a w rezultacie sporo dopłacił do tego interesu.

— Lekarze nie wiedzą, jakiego środka użyto w celu porażenia hippocampusu, nie mogą więc, przynajmniej na razie, określić ani czasu jego działania, ani odpowiedzieć na pytanie, czy zanik pamięci jest stały.

— Sądziś, że wszystko przez te zerwane nitki?

— Nie tylko. Marco, rzecz jasna, dowiedział się o śmierci Burskiej, bo tego ukryć się nie dało. Zdał sobie sprawę, że śledztwo może objąć i jego. To go przeraziło. Potem stwierdził zapewne, że ktoś rewidował jego punkt kontaktowy. Postanowił więc przede wszystkim wyeliminować Biernata.

— Dlaczego jednak skojarzył śmierć dziewczyny ze swoją akcją?

— Jak wiemy, kontaktował się tu z kimś w czasie obrad kongresu, na który przybył specjalnie po to, by zdobyć materiał dotyczący odkrycia Wierzby. W trakcie akcji sekretarka profesora zostaje zamordowana. Nie trzeba być geniuszem, żeby skojarzyć te fakty. Ten mężczyzna z samochodu to na pewno łącznik między nim a Burską.

— A więc Czepiga? Tym bardziej że niedawno przebywał w Wiedniu...

— Byłem o tym przekonany, dopóki Molski nie stwierdził, że ma alibi, i to potwierdzone przez trzy osoby.

— Mimo to poleciłeś je sprawdzić?

— Tak, bo to nasza jedyna szansa.

— Uważasz to za pilne?

— Tak. Ten łącznik jest obecnie drugą z kolei osobą, której grozi niebezpieczeństwo. Jeśli panu Marco uda się go usunąć, będzie czuł się względnie bezpieczny. Gdyby okazało się, że jest nim Czepiga, moglibyśmy go uratować. Dlatego poleciłem zaostrzyć inwigilację Marco i wszcząć obserwację Czepigi.

— I stąd to poganianie Molskiego... Ale takie sprawdzanie to żmudna praca. I zależna od odrobiny szczęścia.

— Wiem o tym — mruknął Szeruda.

— Chcę jeszcze wrócić do sprawy tej rewizji w mieszkaniu Biernata. Kto mógł jej dokonać? Sądzę, że Marco podejrzewa o nią władze śledcze, ale my wiemy, że tak nie jest, więc kto?

— Otóż to właśnie. Ta sprawa niepokoi mnie najbardziej. Bo stąd wynika wniosek, że wokół Wierzby krąży nie tylko ten, o którym coś niecoś wiemy, ale i ktoś zupełnie nam nie znany.

— No i mamy jeszcze w rezerwie tego w okularach. Cholerna obfitość. A co na to stary?

— Wiadomo. Chce odpowiedzi na te pytania. Dziś się odprawa nie była zbyt przyjemna, możesz mi wierzyć... — Szeruda westchnął i sięgnął po słuchawkę, bo zaterkotał telefon.

Dzwoniła panna Targoń.

— Czy mógłbyś zajść do mnie? — spytała po przywitaniu.

— Co się stało? — zaniepokoił się Szeruda.

— Nic zbyt ważnego, ale uważam, że powinnam ci to powiedzieć.

Szeruda spojrzał na zegarek.

— Jak długo będziesz w domu?

— Jeszcze co najmniej godzinę.

— Za kwadrans przyjdę.

Odłożył słuchawkę i widząc pytające spojrzenie Łuby, wyjaśnił:

— Panna Targoń ma coś do zakomunikowania. Woli to zrobić osobiście. Mam chwilę wolnego czasu, więc, wpadnę tam zaraz.

Tym razem znów otworzyła majorowi drzwi gospodyni, pani Tomanek. Od lat prowadziła dom profesora, była jego zaufaną i pełną oddania opiekunką, jedyną zresztą osobą, której Wierzba się bał. Jak już Szeruda zdał zauważyć, orientowała się doskonale w sprawach domowników i zawsze miała rozeznanie w ich nastrojach.

— Panienka czeka na górze — oznajmiła, a potem, zamykając za majorem drzwi, dodała: — A pan, jak słyszałam, to ciągle nie ma czasu, żeby do nas zajść. Wszyscy dziś gonią i gonią, tylko nie wiadomo za czym...

Była to nagana, ale i akceptacja jego obecności. Szeruda to zrozumiał. Przyszło mu na myśl, by wykorzystać spostrzegawczość pani Tomanek i jej przychylność wobec jego osoby.

Zatrzymał się więc w holu i spoglądając ku schodom, rzucił:

— Panna Ama jest u siebie?

— A tak, przecież powiedziałam.

— Chwileczkę, proszę pani. Chciałbym zamienić z panią parę słów.

Gospodyni zerknęła na niego spod oka. Widać było, że jest zaciekawiona.

— O co chodzi?

— Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć, ale gdyby zaszło tu coś, co wzbudziłoby pani podejrzenia, wydało się dziwne lub niecodzienne, proszę zaraz do mnie zadzwonić. — Wyrwał kartkę z notesu i napisał numer telefonu. — Proszę tego nie zgubić.

— Dobrze, proszę pana majora. Od śmierci tej biedaczki wciąż się boję, żeby i profesorowi coś się nie stało... W razie czego zaraz do pana zadzwonię. A teraz niech pan idzie na górę, panienka już na pewno wie, że pan jest i niecierpliwi się. — Pani Tomanek uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Ama siedziała za stołem, obłożona fotosami i tekstami

do jakiejś reklamy. Na widok Szerudy odłożyła ołówek i obróciła się ku niemu.

— Jak widzisz, zjawiam się na pierwsze wezwanie — rzucił z uśmiechem, zajmując jeden z foteli.

— Dlatego że znęciła szanownego pana majora obietnica informacji? Nie ma się czym chwalić.

— Przede wszystkim sprostowanie. Co prawda sprowadziła mnie tu obietnica informacji, ale nęciło zupełnie co innego.

— Chęć dokuczenia mi?

Sama ułatwiła mu przejście na interesujący go temat.

— Nie przesadzaj! — wzruszył ramionami. — Dlaczego to, o czym mówiliśmy wczoraj, miałyby być dokuczaniem? Nawet jeśli przyjaźniłaś się bliżej z Białołomskim. Jest przystojny, zdaje się sympatyczny, więc czym tu dokuczać?

— W twoim głosie wyczułam ton drwiny i dlatego tak mnie to obeszło.

— Trzeba było zatem spokojnie zaprzeczyć albo potwierdzić... Nie miałbym już okazji do przygadywania.

— Ani jedno, ani drugie nie wchodzi w rachubę — oświadczyła stanowczo.

— A to dlaczego? — Szeruda spojrział na Amę z nie ukrywanym zaskoczeniem.

— Bo przyznanie się uraża dumę, a zaprzeczenie ambicję. Chyba to zrozumiesz?

Szeruda pokiwał głową. A więc znów unik. Patrzył przez chwilę na dziewczynę, wreszcie odezwał się:

— Wydaje mi się, że chyba cię rozumiem...

Siedziała przy desce i pochyliwszy głowę bawiła się ołówkiem. Zapanowało milczenie. W pewnej chwili Ama spytała nieoczekiwanie:

— Jaki dzień dziś mamy?

— Środę.

— Jeśli będziesz miał czas, to zadzwoń do mnie w niedzielę. Gdyby była pogoda, moglibyśmy wybrać się za miasto. Może wtedy zdecyduję się na udzielenie ci wyjaśnień. Bo zdaje się, że to cię interesuje.

— Owszem, interesuje. A dlaczego, być może kiedyś ci wyznam.

Ałuzja zawarta w tych słowach miała zamaskować istotny powód zainteresowania, ale wypowiedziawszy te słowa mimo wszystko odczuł zażenowanie.

Dziewczyna wyczuła jego intencje.

— Mam to zrozumieć jako objaw dyskretnej złośliwości? — uśmiechnęła się lekko. — Nie bardzo w nią wierzę, ale odnoszę jednak wrażenie, że istotnie zależy ci na wyjaśnieniu tej sprawy. A więc dobrze, zostawmy to do niedzieli...

Co kryło się za tą propozycją? Że nie była spontaniczna, o tym był przekonany. Ale jaki był jej cel? Dlaczego nie chciała powiedzieć teraz, zaraz, dlaczego proponowała tę niedzielną wycieczkę? Należało to wyjaśnić.

— Dobrze, zadzwonię rano. A jeśli nie będzie pogody? Może spotkamy się wówczas w kawiarni?

— Nie, w kawiarni nie chcę. Gdyby padało, będziesz

musiał dłużej poczekać na moją odpowiedź, bo w przyszłym tygodniu wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Oliwy. Mam tam przyjaciółkę, zaprosiła mnie.

— Na długo masz zamiar wyjechać?

— Na jakieś trzy tygodnie. Napiszę stamtąd do ciebie, jeśli dasz mi swój adres.

— Ależ oczywiście! Zanotuj sobie... A teraz może dowiem się, dlaczego mnie wezwałaś?

— Ach prawda! Otóż wczoraj był tu ów Arab, doktor Manami. Umówił się z wujem, ale ten spóźnił się jak zwykle, więc poprosiłam doktora, by zaczekał w gabinecie. Nie domknęłam drzwi, zresztą bez specjalnych intencji. W chwilę potem przechodząc przez hol, a byłam w rannych pantoflach, dostrzegłam przez szparę, jak pan Manami, nachylony nad biurkiem, czegoś na nim szukał. Musiał w ostatniej chwili usłyszeć moje kroki, bo kiedy weszłam do gabinetu, siedział już grzecznie na krześle. Udałam, że niczego nie zauważyłam, i po paru słowach ubolewania na temat niepunktualności wuja wycofałam się, ale drzwi już celowo zostawiłam uchylone.

— Hm... Dziękuję za informację. A więc to ona była przyczyną twego telefonu?

— Oczywiście! — ~ Ama spojrzała na swpíto gościa z niewinną miną. — Czyżby nie była ważna?

— Nie wiesz, czego Manami chciał od profesora?

— Owszem, wuj mi to powiedział po jego wyjściu.



Zaproponował mu przyjazd do Arabii Saudyjskiej na cykl wykładów w Szkole Ropy i Minerałów. Kontrakt na trzy lata z pensją sześćdziesięciu tysięcy dolarów rocznie.

Szeruda cicho gwizdnął.

— To istotnie nęcąca propozycja. I może bardziej bezpieczna — dorzucił na wpuł do siebie. — I co na to profesor?

— Nie udzielił konkretnej odpowiedzi. Oświadczył że jeszcze się namyśli i ewentualnie omówi propozycję ze swoimi władzami.

— Słuszna decyzja. Jedziesz pociągiem?

— Chyba tak...

— Zazdroszczę ci. Będziesz korzystała ze słońca i miała tyle wolnego czasu! — Szeruda westchnął. — A tu człowiek musi tyrać od świtu do nocy...

— Ale pewnie są jakieś wyniki? Posuwasz się naprzód?

— Za wolno jak na mój gust. Mam sporo trudności.

— Wierzę, że dasz sobie z nimi radę.

— A ty? Masz zamiar kosić męskie serca?

— Miałbyś coś przeciw temu? — Spojrzała na niego spod oka.

— Może...

— Cieszę się, że robisz postępy. Nik! — rzuciła drwiąco.

## Rozdział 8

Rozległ się sygnał i Białomski podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu. Usłyszał znajomy głos:

— Tu Kuba. Musze, się i panem zobaczyć.

— Jestem bardzo zajęty. Czy to ważne?

— Bardzo.

Białomski zastanawiał się przez chwilę.

— A więc za godzinę. — Spojrzał na zegarek. — Powiedzmy o jedenastej.

— Dobrze, będę.

— Zatem do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i chwilę siedział zamyślony. „Kuba” był to pseudonim Czepigi. Wcześniej ustalili też miejsce i sposób spotkania, gdyby zaszła taka potrzeba. Pozwalało to uniknąć omawiania tych szczegółów przez telefon.

Kiedy zabierał Czepigę z chodnika, najpierw go przywitał uściskiem dłoni, a potem, niby przypadkowo spotkanego znajomego, zaprosił do samochodu.

W aucie jednak nie był już tak uprzejmy. Jak tylko ruszył, warknął wręcz wrogo:

— No i czego?

— Dostałem kartkę od Marco. Chce się ze mną zobaczyć.

— W jaki sposób ją przesłał? — Ton głosu Białomskiego stał się bardziej przyjazny.

— Ponieważ zgodnie z poleceniem nie przerywam normalnej pracy, przedpołudniowe godziny spędzam na

symposium. Czułem, jak w pewnym momencie wsunął mi tę kartkę do kieszeni.

— Kiedy i gdzie wyznaczył spotkanie?

— Dziś wieczorem o dziewiątej trzydziści w Konstancynie przy Królewskiej Górze. Mam wsiąść do samochodu, który będzie stał w pobliżu.

— Facet zachowuje dużą ostrożność. Jest widać mocno wystraszony śmiercią Burskiej.

Czepiga milczał przez chwilę, a potem wyznał:

— Dlatego boję się tego spotkania...

— Boisz się? Czego?! — zaśmiał się Białomski.

— Gdyby chciał cię wykończyć, nie potrzebowałby aż tylu wstępnych zabiegów!

— Czy nie przeciwnie?

— Dlaczego miałby coś knuć? Ja, zamiast się bać, sprawdziłbym na twoim miejscu, jaki jest powód tego wezwania.

— Zapewne domyśla się, że to on stał się przyczyną śmierci Leny. Jeżeli mnie przyskrzynią, trafią i do niego.

— Sądysz? —, rzucił powątpiewająco Białomski.

— To niezbyt logiczne przypuszczenie. Twoja śmierć jedynie zdopingowałaby władze śledcze, a tego musi się bać jeszcze bardziej. A zresztą jakie masz przeciw niemu dowody? Zawsze może powiedzieć, że wrabiasz go celowo!

— Ale jak mnie zamkną, jego też będą mieli na oku i tak łatwo nie uda mu się wywieźć zdobyczy...

— Nie wydaje, mi się, aby tak było! Najprawdopodobniej ma ci coś ważnego do powiedzenia. I byłoby ciekawe dowiedzieć się, co?

— Może znów będzie się dopytywał o ten film? Ale po co mu on, skoro ma już odbitki?

— Aby ktoś z konkurencji go nie przejął! — Białomski zaśmiał się cicho. — Pokój hotelowy i melina zostały już przeszukane. Chodziło mi o te odbitki, a nie film, bo ten ma milicja...

— Wątpię. W czasie przesłuchania parokrotnie poruszali tę sprawę. Wprawdzie bardzo oględnie i jakby mimochodem, bo głównie maglowali mnie o to alibi. Sądzę, że u Burskiej filmu nie znaleźli. Musiała go ukryć gdzieś poza domem.

— To możliwe — Białomski zamyślił się. — bo i biuro przetrząsnęli dokładnie. Ciekawe, gdzie go mogła schować?

— To była sprytna i pomysłowa dziewczyna. Nie przypuszczam więc, abyśmy na to wpadli — stwierdził Czepiga i zmienił temat: — Zatem jak pan uważa, iść na to spotkanie, czy nie?

— Oczywiście, że iść! Zresztą — Białomski zastanowił się przez chwilę — postaram się aby ktoś nad tobą czuwał. W samochodzie nic ci nie grozi, jeżeli już mamy brać i taką ewentualność pod uwagę. Od chwili zaś, gdy wysiądziesz, już będzie za późno, moja w tym głowa!

— Dobrze, dziękuję. Teraz czuję się pewniejszy.

— Po spotkaniu jedź do domu i czekaj na mój telefon. Muszę wiedzieć, o co mu chodziło. Zadzwoń oczywiście z automatu, bo twój aparat może być na podsłuchu. Zgłoszę się jako Zenon.

— Dobrze.

— Jesteśmy już na miejscu. Wsiądziemy razem,

bez żadnej konspiracji. Mam interes do sekretariatu, a ty zabierz się do normalnej pracy. Gdyby jednak ktoś pytał, to pamiętaj, że dostrzegłem cię na ulicy i podwoziłem, jak się to mówi, po znajomości.

Sierżant Głusza był człowiekiem stanowczym, charakter miał twardy i to, co zaczął, doprowadzał do końca. Te cechy usposobienia okazał również i w czasie wykonywania ostatnio otrzymanego zadania. Jemu mianowicie kapitan Molski polecił dowiedzieć się, co robił niejaki Dektura wieczorem i w nocy z dwudziestego drugiego na dwudziesty trzeci, czyli w ostatni poniedziałek. Było to zadanie niełatwe, gdyż należało sprawdzić już istniejące zeznania tegoż Dektury, a zatem działać ostrożnie i bardzo wnikliwie.

Podobne polecenia dostali jego koledzy — chodziło o pozostałych dwóch uczestników gry w karty, o czym mówiło zeznanie Dektury. Mało to jednak obchodziło sierżanta Głuszę, który wiedział, że dość będzie miał kłopotów ze swoim zadaniem, tym bardziej że kapitan Molski naglił do pośpiechu.

Sierżant porozumiał się przede wszystkim z komisarzatem dzielnicowym gdzie miał paru zaprzyjaźnionych kolegów. Okazało się, że jeden z nich był towarzyszem broni dozorca domu, w którym mieszkał Dektura, Głusza postanowił więc zacząć od niego.

Wybrali się we dwóch. Jak było do przewidzenia,

gospodarz, pan Ochopnia, przyjął ich jako swoich prywatnych gości i wyciągnął z lodówki butelki z piwem. Gdy wyjaśnili, co było przyczyną tych odwiedzin, dopił piwo i zaczął się zastanawiać:

— Czekaście... W poniedziałek, mówicie? Niech sobie przypomnę... Tak, ostatnio któregoś wieczoru spotkałem tego lokatora w sieni, wracał z miasta... I to z dziewczyną, kiedyś już ją widziałem, bywała u niego. Mówił do niej Kryśka... Ale kiedy to było?... Czy aby właśnie nie w poniedziałek?

Pan Ochopnia odsunął się nieco od stołu i spojrzał na swoich gości, którzy słuchali nie przerywając, by nie zakłócić toku jego myśli.

— Co ja tam wówczas robiłem? — mruknął wreszcie. — Spotkałem ich w sieni, jak wracałem z piwnicy... No tak, zszedłem na dół, bo zepsuło się światło w tym pionie... A kiedy to światło zgasło? Właśnie w poniedziałek!

— Jesteś pewny, że było to w poniedziałek? — spytał towarzysz Głuszy.

— Teraz już tak!

— Która to była godzina?

— Około dziewiątej. Było już ciemno, więc zaraz potem zapaliłem światło na schodach. Widziałem ich dobrze, bośmy się minęli.

— Jak wyglądała ta dziewczyna?

— Taka przy kości, nie można powiedzieć. Jasne włosy, no i miała co nieść przed sobą... — gospodarz uśmiechnął się.

— A nazwisko? Może pan słyszał?

— Nie, nazwiska nie znam. Słyszałem tylko, jak

mówił do niej Kryśka. Aha, jeszcze jedno... Kiedyś jak wychodziła od niego, Dektura mieszka na parterze i stał w otwartym oknie, usłyszałem, będąc na podwórzu, że zawołała na pożegnanie: Daj mi znać przez Danusię, numer „Ratuszowej” znajdziesz w spisie...

— Hm... — Sierżant Głusza zastanawiał się nad otrzymanymi informacjami. — Może coś jeszcze pan sobie przypomni?

Ochopnia pokręcił głową.

— Nie. To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Dziękuję. To już jest coś. Teraz miałbym tylko prośbę, by Dektura nie zorientował się, że nas interesuje.

— Może pan być spokojny — zapewnił gospodarz — nigdy nie miałem długiego języka.

Po tej rozmowie sierżant Głusza ruszył od razu do „Ratuszowej”. Domyślił się, że chodziło o kawiarnię. Musiał porozmawiać z ową Krystyną, gdyż fakt, że była u Dekтуры owego wieczoru, o niczym jeszcze nie świadczył. Mogła przecież wyjść po godzinie albo nawet i asystować przy grze, o czym Dektura wolał nie mówić.

Było jeszcze wcześniej i lokal świecił pustkami. Sierżant, ubrany po cywilnemu, podszedł do bufetowej krzątającej się za ladą i spytał:

— Czy zastałem Danusię?

Kobieta zmierzyła go lustrującym spojrzeniem i zawołała, obracając się w stronę wiszącej za nią portiery.

— Danusia! Chodź no, ktoś do ciebie!

Zza zasłony ukazała się ładna dziewczyna. Jej pełna

wdzięku sylwetka nie harmonizowała z ostrym, badawczym wzrokiem doświadczonej już kobiety.

— Przyszedłem do pani — oznajmił Głusza podchodząc do niej.

— W jakiej sprawie? — ton głosu nie wróżył nic dobrego.

— W sprawie Krysi.

Sierżant nie spodziewał się reakcji, jaką wywołały jego słowa.

— Nie chcę słyszeć o tej labiryndzie! Dość już mam jej sztosów! Wszyscy myślą, że będę za nią odpowiadać, bo jest moją siostrą! Cholerę w bok!

— Ale, proszę pani, ja żadnych pretensji do niej nie mam — pośpieszył z zapewnieniem sierżant. — Nawet jej nie znam, to mój przyjaciel prosił, abym z nią porozmawiał. Może sobie gdzieś przysiadziemy na boku, to pani powiem, o co chodzi...

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, ale usiadła na przeciw Głuszy, gdy ten zajął miejsce przy pobliskim stoliku.

— No, więc o co chodzi? Mów pan szybko, bo mam robotę!

— Chcę jej przekazać ważną wiadomość. Ponieważ przyjaciel nic nie znał adresu siostry, powiedział, że bym się zgłosił do pani. To wszystko.

— Co to za wiadomość?

Sierżant uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Jest pani tak wrogo usposobiona do siostry, że nie wiem, czy mam mówić...



— Więc niech pan nie mówi! — Wzruszyła ramionami. — Może tak będzie lepiej, bo na pewno znów szuka jej milicja.

Głusza jakby się jeszcze wahał.

— Chyba nie, bo miałem ją tylko ostrzec, aby chwilowo zniknęła niektórym z oczu, a zwłaszcza Chudemu. Ona podobno będzie wiedziała, o kogo chodzi.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

— Niewiele będę mogła pomóc, bo sama nie wiem, gdzie się obraca — oświadczyła wreszcie już spokojniejszym tonem.

— A mieszkanie? Nie bywa tam?

— Na Mikołaja Trąby? Już nie widzieli jej od kilku miesięcy!

— Czy to pani mieszkanie?

— Nie, ja mam pokój w śródmieściu. Tam mieszka matka z braćmi. No i ona, jeśli nie włości się z chłopakami.

— Pod którym na Trąby? Może bym jednak tam poszedł?

— Pod piątym, ale to szkoda czasu. Prędzej może będzie, coś o niej wiedzieć Józef Kwapień. Ma ogrodnictwo na Pustej pod dwudziestym. Wiem, że jakiś czas z nim żyła.

— No, to już jest coś. Bardzo dziękuję. — Głusza wstał. — Nie wiedziałem, że będę miał z tym aż tyle kłopotu, no ale trudno, skoro już obiecałem, muszę to załatwić. Aha, i jeszcze jedno. Gdybym niczego się nie dowiedział, chciałbym zatelefonować do pani. Może siostra tu zajdzie. O kogo mam pytać?

— Danuta Cwierteniówna. Ale nie przypuszczam, żeby przyszła. Nie tak dawno dostała ode mnie po pyśku...

— Nic nie wiadomo, proszę pani. Gdyby jednak się zjawiała, proszę jej powtórzyć ostrzeżenie — zakończył, dzielając jednak w duchu pogląd kelnerki.

Sierżant wyszedł z kawiarni raczej zadowolony. W ciągu kilku godzin dowiedział się tyle, że postać owej nieznanej dziewczyny zaczęła nabierać bardziej konkretnych kształtów. Znał już jej nazwisko i adres, pod którym była zameldowana, spodziewał się więc, że w krótkim czasie dotrze i do niej samej.

Zadzwoił do kapitana Molskiego, złożył krótki meldunek z dotychczasowych wyników i ruszył na Pustą.

Po półgodzinnej jeździe wysiadł na końcowym przystanku i zgodnie ze wskazówką motorniczego ruszył przed siebie.

Znajdował się na krańcu miasta. Wokół ciągnęło się już pole. Wkrótce dostrzegł słup z granatową tabliczką. Ulica Pusta była właściwie zwykłą, polną drogą z kilku widocznymi z dala domami. W słońcu połyskiwały przy nich skośne, szklane dachy cieplarni.

Sierżant ruszył w kierunku tych domów i już w pierwszym znalazł Kwapienia. Był to czterdziestoletni, krępy mężczyzna o kwadratowej twarzy z wysuniętym do przodu Czołem, rzucającym cień na głęboko osadzone oczy.

— Pan z milicji? — Było pierwszym pytaniem,

jakie zadał po przywitaniu i wyjaśnieniu celu wizyty.

— Z milicji? — zdziwił się sierżant. — Dlaczego pan tak sądzi?

— Dlatego, że pyta pan o tę lafiryndę. Pewno znów kogoś okradła...

— A więc okradła i pana?

Kwapien machnął ręką.

— Szkoda gadać!

— Dawno to było?

— Ze dwa tygodnie temu.

Głusza westchnął.

— Do diabła... Mam dla niej ważną wiadomość. Nie wie pan, gdzie jej szukać?

Kwapien wzruszył szerokimi barami.

— Sam chciałbym to wiedzieć. Dostałaby za swoje!

— Gdzie ją pan poznał?

— W barze „Piotruś”. To taka knajpa z orkiestrą przy Grójeckiej. Niech pan spyta szatniarza Antoniego. Coś mi się zdaje, że znali się bliżej.

Sierżant pożegnał ogrodnika i ruszył w drogę powrotną.

Szatniarza nie zastał, gdyż ten zaczynał pracę wieczorem. Głusza musiał więc przyjść powtórnie.

Pan Antoni sprawiał wrażenie statecznego mężczyzny. Mówił powoli, miał pełną, nalaną twarz, duży mięsy nos i ciemne, rzadkie włosy przylizane na łysiejącej głowie.

Tym razem sierżant okazał legitymację. Chciał, by szatniarz wiedział, kto zadaje mu pytania.

— Cwierteniówna? Krysia? Tak, przypominam sobie. Taka piersiasta blondynka, nawet niczego sobie. Ale ostatnio tu nie była. I wątpię, czy tak prędko przyjdzie.

— Dlaczego?

— Pożyczyła ode mnie parę złotych. Teraz będzie omijać ten lokal.

— Nie przewidział pan, że tak się to skończy?

— No cóż, człowiek ma miękkie serce. Te parę stów to nie majątek, a wiedziałem, że ma kłopoty.

— Gdzie mógłbym ją znaleźć? Nie przyjaźniła się z żadną z dziewcząt, które tu przychodzą?

— Diabli ją wiedzą. Gdzie zameldowana, mogę podać, bo jednak adres jej zanotowałem. Mikołaja Trąby pięć.

— Wątpię, czy tam ją znajdę. Proszę przepytać dziewczyny, może któraś będzie coś wiedziała. Oczywiście proszę nie mówić, że pytał o nią ktoś z milicji.

— To się wie, panie władzo. Spokojna głowa. Proszę zająć za kilka dni, może coś z tego będzie.

„Za kilka dni” to nie był jednak termin, który zadowolował sierżanta Głusza postanowił jeszcze tego samego wieczoru złożyć wizytę na ulicy Trąby.

Był to ten sam późny wieczór. Autobus do Piaseczna przez Konstancin nie był już o tej porze zatłoczony, więc Czepiga, opanowując podniecenie i niepokój, zajął miejsce i z pozorną obojętnością wyglądał przez okno, obserwując uliczny ruch, a potem, kiedy autobus

skręcił w Wilanowską, uciekające do tyłu drzewa i ukryte za nimi błyskające światłami okien wille.

Nurtowała go wątpliwość, czy Białomski dotrzyma słowa i da mu opiekuna na to spotkanie. Jak dotąd udzielał mu pomocy, bez której — o czym Czepiga dobrze wiedział — już siedziałby w areszcie, oskarżony o morderstwo.

Ale owa pomoc także go niepokoiła, bo nie mógł dociec, dlaczego mu jej udzielono. Co kryło się za przyjacielskim stosunkiem i pozorami życzliwości, jakie okazywał mu Białomski? Czym za to będzie musiał zapłacić, kiedy rachunek zostanie mu wystawiony?

Miał jednak nadzieję, że i tym razem dotrzyma słowa. Toteż był ciekaw, czy ów opiekun jedzie razem, czy też znajdzie go na miejscu.

Odwrócił głowę od okna i przesunął spojrzeniem po wnętrzu wozu. Lustracja ta jednak nie na wiele się zdała. Bo skąd mógł wiedzieć, czy to właśnie nie jest ten młody mężczyzna, który tak jak i on patrzy na pozór obojętnie przez okno, albo ów czytający gazetę, którego barczyste plecy widzi przed sobą? Lub ten drzemiący na ostatnim fotelu?

Kiedy jednak wysiadł na przystanku, żaden z nich nie podniósł się ze swego miejsca. Natomiast wysiadły wraz z nim jakieś dwie kobieciny i starszy pan z siatką pełną zakupów w ręku. Czepiga zatrzymał się i obserwował, jak kolejno znikali w ciemności. A więc nikt z nim nie jechał, ale też nikt go nie śledził.

Napięcie nerwowe wzmagało się. Usiłował je opanować i uważnie rozejrzał się dookoła.

Ulica była jednak pusta i ciemna. Gdzieś daleko paliła się uliczna latarnia. Wzdłuż chodnika ciągnęła się za siatką ogrodzenia ściana wysokich krzaków. Domy widoczne w głębi tu i ówdzie jaśniały oświetlonymi oknami, ale światło to nie docierało do ulicy. Naprzeciw stał ciemny las, groźny czernią swej głębi, tajemniczy i milczący. Tylko pnie skrajnych sosen połyskiwały w refleksach odległej latarni.

Nieco dalej, kilkadziesiąt metrów od przystanku, Czepiga ujrzał dwa czerwone światelka stojącego przy krawężniku samochodu.

A więc już na niego czekano. Z determinacją ruszył w jego kierunku, a kiedy zrównał się z wozem, usłyszał szept:

— Kowalski? Wsiadaj.

Jeszcze raz rozejrzał się dookoła, ale ulica nadal była pusta. Napięty wewnętrznie, mimo woli zaciskając zęby, otworzył drzwiczki i wsunął się do wnętrza.

— Czegoś tak się rozglądał? Czyżbyś się bał? — doszedł go z mroku wnętrza głos Marco.

— A ty się nie boisz? — odpowiedział ironicznie czując, że wraca mu równowaga wewnętrzna.

— Może... — rzucił Marco, zapuszczając silnik. — Mimo że mam mniej powodów do obaw.

— Jesteś tego pewny? — Czepiga obrócił ku niemu głowę.

— Tak, bo nie grozi mi oskarżenie o morderstwo. — Marco uśmiechnął się ironicznie.

Czepiga, mimo panującego w wozie mroku, dostrzegł ten uśmiech.

— Jesteś tego pewny? — powtórzył pytanie rozdrażnionym tonem i dorzucił: — I o współudział też nie?

— Chcesz mnie pociągnąć ze sobą? — spytał cicho Marco, nie odwracając głowy. Siedział nieruchomo patrząc na jezdnię oświetloną blaskiem reflektorów.

W tej chwili Czepiga ujrzał w lusterku dwa świetlne punkty migocące za nimi w czerni nocy. Mógł to być przypadkowo jadący w tym samym kierunku samochód, ale wołał wierzyć, że to Białoruski dotrzymuje obietnicy. Postanowił nadal obserwować światła i nie zdradzić się, z tym przed Marco Mimo braku pewności poczuł się jednak rażniej.

— Jak mnie przymkną, będzie mi już wszystko jedno — wzruszył nonszalancko ramionami.

— Liczysz się z taką możliwością? — Marco rzucił to pytanie zdawkowym tonem, jak gdyby nie przywiązywał większej wagi do odpowiedzi, i niemal jednocześnie skrzył w przecznicę.

Czepiga milczał chwilę czekając, czy ukażą się za nimi odległe światełka. Dopiero kiedy i one wyłoniły się zza narożnika, mruknął z celowym wahaniem, by jego kompan nie czuł się zbyt pewnie.

— Muszę się liczyć Już dość mnie wymalowali, ale j3k dotąd udawało mi się trzymać nerwy na wodzy.

Mimo to jego odpowiedź zdawała się nie wzbudzać

niepokojem u towarzysza. Spojrzał na Czepigę z uśmiechem i rzucił beztrąsko:

- Miejmy więc nadzieję, że i nadal je utrzymasz.
- Póki nie podważą mego alibi, nic mi nie zrobią.
- Dobre?
- W zupełności. Dlatego nie siedzę.
- A jeżeli podważą?
- Wówczas leżę, bo zbyt dużo poszlak mam przeciw sobie.

Czepiga w dalszym ciągu starał się tak formułować odpowiedzi, by i Marco nie pozbył się obaw. Miał nadzieję, że dzięki temu uzyska przynajmniej jaką taką rekompensatę. Jednocześnie zastanawiał się, czy nie poruszyć od razu tej sprawy, ale Marco nieoczekiwanie sam podjął ów temat. Po chwili bowiem spytał:

— Czy nie jesteś ciekaw, dlaczego wyznaczyłem ci spotkanie? Czas chyba przejść do rzeczy.

— Jak chcesz. — Czepiga wzruszył ramionami już coraz bardziej pewny siebie, bo dwa światła niby dwoje oczu wciąż połykiwały za nimi.

— Otóż muszę ci się przyznać — słowa Marco dochodziły z ciemności, jaka panowała wewnątrz wozu — że otrzymałem z Wiednia naganę za bezwzględność, z jaką cię potraktowałem. Sam zresztą doszedłem do wniosku, że nieco przesadziłem. Teraz chcę błąd ten naprawić, wprawdzie na polecenie moich zwierzchników, ale nie zmienia to postaci rzeczy.

— Jaki błąd masz na myśli?



— Ten, że odmówiłem ci jakiegokolwiek zapłaty. Wraz z naganą otrzymałem polecenie, aby cię zawiadomić, że pieniądze otrzymasz. Przyznano ci trzydzieści tysięcy.

Czepiga starał się nie okazywać radości, jaką mu sprawiła ta wiadomość. Teraz będzie mógł uciec i wydostać się wreszcie z tej sieci, w którą sam się wplątał.

— W jaki sposób je dostanę? Czy od ciebie?

— Nie, już nie ode mnie, bo za parę dni wyjeżdżam. Wysyłają właśnie innego człowieka. Będzie miał czek na bank w Wiedniu wystawiony na okaziciela. Po przybyciu, co nastąpi już w najbliższych dniach, nawiąże z tobą bezpośredni kontakt.

— Jak się poznamy?

— Otóż to. Będzie wiedział, gdzie cię szukać, ale to mało. Dostaniesz ode mnie pewien przedmiot. Taki sam będzie miał i on. To będzie wasz znak rozpoznawczy, więc go nie zgub ani nie dawaj nikomu do ręki. Oto on...

Marco sięgnął do kieszeni i wyjął niklowaną, sporą zapalniczkę.

— Możesz jej używać, ale przede wszystkim noś stale przy sobie, bo nie wiadomo, kiedy się spotkacie.

Czepiga wziął zapalniczkę i nacisnął górną część obudowy. Odskoczyła do góry i jednocześnie ukazał się języczek ognia. Marco obserwował go spod oka.

— Pali nieźle — mruknął Czepiga i dorzucił z goryczą: — No cóż, dobre i to, co dajesz...

— Teraz podwiozę cię bliżej przystanku i pożegniam. Powinieneś złapać jeszcze autobus.

Kiedy znalazł się na ulicy, jeszcze raz wyjął zapalniczkę z kieszeni i podrzucił na dłoni. Musiała być zrobiona solidnie, bo była dość ciężka, a kiedy ją nacisnął, znów zapaliła się równym, jasnym płomieniem.

Białomski wyszedł z lokalu po północy i powoli ruszył przed siebie. Upewniwszy się, że nikt za nim nie idzie, skręcił w boczną uliczkę i zaczął szukać budki telefonicznej.

Domyślał się, jaki będzie wynik spotkania w Konstancinie, ale mimo to, na wszelki wypadek, przed wykręceniem numeru, wziął do ust drażetkę. Przezorność okazała się na miejscu, bo istotnie ze zdziwieniem usłyszał w słuchawce głos Czepigi.

— Dawno wróciłeś? — spytał obojętnym tonem po podaniu umówionego imienia.

— Godzinę temu. Już zwątpiłem, że zadzwonisz.

— Niepotrzebnie. Jak poszło?

— Nadspodziewanie dobrze. I dziękuję ci, stary, za opiekę.

Białomski umiał panować nad sobą, toteż spytał spokojnie, nie okazując zdziwienia:

— A więc zauważyłeś?

— No tak! Jechali za nami cały czas!

— Twój towarzysz też coś zauważył?

— Raczej nie, bo nie okazał zaniepokojenia.

— No widzisz! — Białomski roześmiał się, choć daleko mu było do dobrego humoru. — Czego chciał od ciebie?

— Mam dostać nieco forsy.

— No, to przynajmniej coś — stwierdził dobrodusznie Białomski. — Kiedy, i jak ma ci ją wręczyć?

— On wyjeżdża za parę dni. Załatwi to ktoś inny.

— Wyjeżdża? — zdziwił się Białomski. — Jakże więc porozumiesz się z jego zastępcą?

— Ma mieć taką samą zapalniczkę, jaką właśnie dostałem.

— Ach tak... — Białomski zamilkł na chwilę, po czym zmienił temat. — Ciekawe, gdzie podział się film z tymi zdjęciami, które tak ci się udały?

— Myślałem o tym przez cały czas.

— I nic ci nie przyszło do głowy?

— Może i przyszło, sam nie wiem... Wątpię, czy Lena umiałaby się zdobyć na taką złośliwość. Być może ponosi mnie fantazja...

— Nie zaszkodzi, jak powiesz...

— Na parę dni przed śmiercią ofiarowała pannie Targoń zrobionego przez siebie pajacyka. Czy nie zaszła w nim filmu? Chodzi mi po głowie, że byłby to najlepszy schowek, jaki można sobie wyobrazić!

— Może to i nie taka fantazja — zastanowił się Białomski. — Pomyślę nad tym... — mruknął, po czym wrócił do poprzedniego tematu: — A co z tą zapalniczką? Działa przynajmniej?

— Zupełnie dobrze. Już ją wypróbowałem.

— Ile razy?  
— Ze trzy. Dlaczego o to pytasz?  
— Tak sobie. Chciałbym wiedzieć, czy dostatecznie zwraca uwagę.

— Jest bardzo ładna. Dość duża, niklowana, ze złotym ornamentem. Zatrzymam ją sobie na pamiątkę.

— Jeżeli masz ją pod ręką, spróbuj jeszcze raz. Lepiej, żeby nie zawodziła...

Białomski usłyszał krótki trzask i słowa Czepigi:

— Pali się dobrze.

— No to ją zgaś i zapal jeszcze raz.

— Dobrze, ale nie rozumiem...

W tej chwili ucho Białomskiego poraziła detonacja. Odsunął więc słuchawkę i chwilę przyglądał się jej z półuśmiechem na ustach, po czym zawiesił na widelkach, mrużąc do siebie:

— Zatem i ten kłopot mamy z głowy. I to dzięki panu Marco.

## Rozdział 9

Kiedy nocą zadzwonił telefon, Szeruda, przebudzony od razu, zapalił nocną lampkę i zanim podniósł słuchawkę, spojrzął na zegarek. Była druga piętnaście.

Telefonował oficer Centrali. Major wysłuchał krótkiego meldunku i spytał:

— Kto zgłosił?

— MO. Zostali powiadomieni przez funkcjonariusza, który opiekował się Czepigą. Potem telefonowali i lokatorzy.

— Wysyłajcie natychmiast samochód i zawiadomcie porucznika Łubę, że zajadę po drodze do niego.

Przed blokiem, w którym mieszkał Czepiga, stało już kilka samochodów, a wśród nich i karetka pogotowia. Na szóstym piętrze w długim oświetlonym korytarzu kręcili się na wpół ubrani wystraszeni lokatorzy pobliskich mieszkań. Drogę do drzwi mieszkania Czepigi zagradzało im dwóch milicjantów.

Weszli do przedpokoju. Szeruda przypomniał sobie podobną i niedawną sytuację. To mieszkanie również składało się z jednego pokoju i małej kuchni, przedpokoju, z którego kolejne drzwi prowadziły do łazienki. Tak jak i tam pełno tu było zajętych swoją pracą funkcjonariuszy i znowu powitał go kapitan Molski.

Czepiga leżał na podłodze, prawie na środku pokoju, z rozrzuconymi ramionami i głową nienaturalnie odchyloną do tyłu. Był ubrany w dżinsy i kolorową koszulę, porwaną nieomal na strzępy. Miał całą twarz we krwi, rozszarpane gardło i dwie małe ranki na piersiach. Nachylał się nad nim lekarz.

Pokój był stosunkowo mało zdemolowany. Poza rozbitymi szybami okna posypało się ze ściany parę obrazków, a stojąca na pobliskim stoliku lampa leżała w przeciwnym rogu pokoju. Znajdujący się na tym samym stoliku telefon oparł się o ścianę, tylko słuchawka

wisiła na sznurze, sięgającym niemal podłogi.

Szeruda przywitał się, z Molskim.

— Zginął od wybuchu?

— Tak. O pierwszej pięćdziesiąt pięć.

— Co wybuchło?

— Z całą pewnością jeszcze nie wiemy. Znaleźliśmy to wbite na dwa centymetry w stolik, na którym stoi telefon.

Kapitan podał Szerudzie kawałek wygiętego nieco metalu o kształcie wąskiego, wydłużonego liścia. Z jednej strony był niklowany z paru granatowymi smugami, które spowodowała zapewne detonacja. Pośrodku widniała główka zakrętki z głębokim nacięciem.

Porucznik Łuba wziął z ręki majora odłamek i jakiś czas obracał go w palcach, przyglądając mu się ze wszystkich stron, a wreszcie powąchał. Szeruda zbliżył się do stolika i obejrzał miejsce, z którego go wyrwano.

— No, jak sądzisz, co to może być?

— Diabli wiedzą — Łuba oddał Molskiemu odłamek — ale z czymś mi się to jednak kojarzy...

— Właśnie. — Molski skinął głową. — Wydaje mi się, że wiem, co to jest. Ale ciekaw jestem, co powie porucznik?

— Chyba to spód od zapalniczki, a ta zakrętka zamykała otwór do wciskania gazu.

— Albo udawała, że do tego celu służy. Natomiast i ja doszedłem do wniosku, że jest to część zapalniczki.

— Która rozerwała się denatowi w rękę — uzupełnił Szeruda. — Wiemy, że na Zachodzie robią takie filigranowe bomby o dużej sile rażenia i małym zasięgu. Stąd brak większych zniszczeń w mieszkaniu.

— Dlaczego ofiarodawca się nie bał, że zapalniczka zostanie użyta przy nim? — spytał lekarz, przysłuchujący się tej rozmowie.

— Mają one urządzenie pozwalające na regulowanie momentu wybuchu — zabrał głos Łuba. — Można je nastawiać na któreś z kolei użycie.

— Perfidna sztuczka! I jak tu znaleźć ofiarodawcę!

— Czy i w naszym wypadku trudno to będzie ustalić? — Molski spojrzał pytająco na Szerudę.

— Chyba nie — odpowiedział ten i dorzucił: — Macie tu kogoś z obstawy?

— Jest, ale jeszcze nie złożył mi meldunku. Zaraz go wysłuchamy.

Molski odszedł, a lekarz zabrał się do pakowania swojej torby. Po chwili wrócił kapitan w towarzystwie młodego człowieka w cywilnym ubraniu.

— O dwudziestej drugiej wsiadł do autobusu na Piaseczno — rozpoczął meldunek. — Wysiadł w Konstancinie na przystanku Królewska Góra. W pobliżu czekał na niego granatowy fiat, numer...

— Numer znamy — przerwał mu Szeruda. — Mówcie dalej.

— Jechał kwadrans samochodem i wrócił w pobliże tego samego przystanku. Kierowca pozostawał cały

czas w wozie, był więc niewidoczny. Z Puławskiej śledzony udał się tramwajem do domu, gdzie przybył czterdzieści osiem minut po północy. Dalszą obserwację nadal prowadziliśmy z samochodu. Zapalił u siebie światło i nie gasił go przez cały czas. O godzinie drugiej pięć z obserwowanego okna wyleciały szyby i rozległa się detonacja. Wówczas Zubowicz złożył meldunek przez krótkofalówkę, a ja pobiegłem na miejsce wybuchu.

— Jak dostaliście się do mieszkania?

— Drzwi były zamknięte, ale zaraz nadbiegł dozorca, który miał zapasowe klucze.

— Dopilnowaliście, by nic tu nie ruszano?

— Zgodnie z instrukcją, obywatelu kapitanie.

Molski zwolnił funkcjonariusza, a Szeruda zwrócił się do lekarza, który zbliżył się, by ich pożegnać.

— A co pan powie, doktorze? — spytał.

— Wolałbym po sekcji, ale wiem, że jak zwykle chcecie wszystko wiedzieć natychmiast. Rany, jakie denat otrzymał, pochodzą, jak mi się zdaje, od drobnych odłamków. Prześlę je po sekcji. Wydaje mi się, że te na twarzy i piersiach nie były śmiertelne. Natomiast gardło zostało przeorane dość głęboko i ta właśnie rana, jak i złamanie kręgow szyi, co zdaje się ma miejsce, spowodowało zgon. Wybuch nastąpił gdzieś na wysokości twarzy lub piersi, co by potwierdzało waszą wersję zapalniczki. Tyle na razie, ostateczną opinię otrzymacie po sekcji.

— Rozmawiał z kimś czy słuchawkę zdmuchnął



wybuch? — zastanowił się Łuba po odejściu lekarza, spoglądając na aparat telefoniczny.

— Szkoda, że nie mogliśmy tego usłyszeć... — mruknął Szeruda, zwracając się do Molskiego.

— Niestety, nie...

— No, trudno. Odpowiedź na pytanie porucznika bardzo ułatwiłaby nam zadanie, bo wiedzielibyśmy, jeżeli nie z kim, to przynajmniej o czym rozmawiał.

— O ile rzeczywiście miała miejsce rozmowa.

— Zastanawiam się, czy ta śmierć zwalnia denata od podejrzeń o zamordowanie dziewczyny? — odezwał się Molski spoglądając, jak sanitariusze układają zwłoki na noszach. — Zapewne jednak zginęli z tej samej ręki..

Szeruda uniósł na moment brwi, ale nic nie odpowiedział. Dopiero po chwili spytał:

— Czy ma pan już rozeznanie co do alibi Czepigi?

— Jeszcze nie, ale wkrótce spodziewam się wyników. Być może już w ciągu dnia.

— No cóż, wobec tego musimy poczekać. Jeżeli nie uda się podważyć zeznań jego świadków, pana przypuszczenie będzie chyba słuszne.

— Macie dla mnie jakieś polecenie?

— Tak, kapitanie. Proszę o bardzo dokładny przegląd mieszkania. Zmarły był fotografem, należy więc zwrócić uwagę przede wszystkim na odbitki fotograficzne, a zwłaszcza filmy. Głównie te, które zawierałyby jakikolwiek tekst maszynowy.

W pół godziny później Szeruda wraz z Łubą wyszli

na ulicę. Kiedy byli już sami, Szeruda mruknął z troską w głosie:

— To już drugi świadek, którego sprzątają nam sprzed nosa...

— Nie liczysz Burskiej?

— Tam była chyba inna przyczyna i coś mi się zdaje, że sprawca również był inny.

— Współczuję wam, obywatelu majorze — z przesadną służbistością rzucił Łuba. — Znów będzie gra do jednej bramki...

— Zdaje się, że nie wykręcę się od zrobienia ci tej przyjemności.

— A co z Marco? Nie pora już na niego?

— Nie, nie pora. Ktoś tu jeszcze bierze udział w tej zabawie. Najpierw musimy dowiedzieć się, kto to jest, a do tego Marco może się jeszcze przydać.

Dom pod piątym okazał się trzypiętrową kamienicą, pamiętającą jeszcze wiek dziewiętnasty. Sierżant minął brudne podwórko z rzędem przepelnionych śmieciami kubłów i zgodnie ze wskazówką spotkanej kobiety zszedł do superen, gdzie miała mieszkać pani Cwierteń.

Drewniane schody były ledwie oświetlone, tak jak i niski korytarz z szeregiem drzwi. Paliła się w nim mała, niczym nie osłonięta zakurzona żarówka.

Kiedy zastukał, usłyszał w odpowiedzi zrzędlive pytanie:

— A czego tam?

Sierżant uchylił drzwi.

— Szukam pani Marty Cwierteń, czy to tu?

Pomieszczenie było dość obszerne, ale niskie. Na wprost znajdowało się okno, spoza którego dochodziły odgłosy kroków idących chodnikiem przechodniów. Pod jedną ze ścian stały dwa łóżka, pod inną szafa z krzywymi drzwiami i zbita z desek skrzynia z rozrzuconą brudną pościelą. Stół pod oknem dopełniał umeblowania. Obok był zlew i kuchnia, a nad nią, na rozciągniętym sznurku, wisały jakieś szmaty.

W kącie, przy odwróconym do góry kołami rowerze, coś majstrował kilkunastoletni wyrostek.

Kobieta była tęga, jeszcze nie stara. Wyszargana spódnica i bluzka z wystrzępionymi rękawami nie zdradzały zamiłowania do schludności.

— No to pan znalazł! — odpowiedziała zaczepnie, odwracając się od kuchni. — I co z tego?!

Sierżant obrzucił wewnątrz spojrzeniem, wolno zamknął za sobą drzwi i podszedł do kobiety.

— Mam interes do Krysi. Pani jest zapewne jej matką? — spytał ugrzecznionym tonem.

— A jestem, niestety jestem. Abo co? Znowu coś zmalowała? — Pytania padały pospiesznie jak strzały z pistoletu.

— Żadne pretensje, proszę pani. Absolutnie nie... — pośpieszył z zapewnieniem sierżant. — Panna Krysia to miła dziewczyna, tylko że...

— No właśnie, chodzi o to „tylko”... — przerwała kobieta sierżantowi. — No więc?

— Pożyczyła u mnie parasolkę, własność mojej żony, która wyjechała na jakiś czas do rodziny. Zdarzyło

się, że panna Krysia odwiedziła mnie, a ponieważ zaczęło właśnie padać, więc wychodząc pożyczyla tę parasolkę. Miała ją zwrócić następnego dnia, ale widać zapomniała. Jeszcze się łudziłem, że sobie przypomni, ale żona wraca za kilka dni, więc nie mogę ryzykować i postanowiłem odszukać pannę Krysię. Bo widzi pani — sierżant nie zmieniał tonu zwierzeń — mam strasznie zazdrosną żonę i jeśli nie odzyskam tej parasolki, będę miał drakę nie z tej ziemi. Zaraz powie, że dałem ją jakiejś dziewczynie. Z moją żoną to żartów nie ma, proszę pani... A parasolkę kupiłem jej w komisie na imieniny, więc drugiej takiej już nie dostanę...

Sierżant całą historyjkę wymyślił sobie zawczasu i teraz recytował ją bez zająknięcia. To, co mówił, musiało trafić do wyobraźni pani Cwierteń, bo spojrzenie jej nie było już tak podejrzliwe, natomiast pojawiła się w nim wyraźna drwina.

— Oczywiście! Żona za próg, a pan zaraz przyprowadził dziwkę! Mówię, jak jest, choć to moja córka! Bo takie samo ladaco jak i inne! Ale z pana też niezły gagatek.

Pani Cwierteń szurnęła garnkiem na kuchennej płycie i znów obróciła się do swego gościa.

— Co mnie zresztą obchodzi jakaś tam pańska parasolka! Załatwiał pan to z Kryską!

— Właśnie dlatego tu przyszedłem. Gotów jestem nawet zapłacić, żeby odzyskać tę cholerną parasolkę.

Takie postawienie sprawy zdawało się skłaniać panią

Cwierteń do ugodowości, bo odezwała się już bardziej życzliwie:

— Krysia miała tu być wczoraj, ale nie przyszła. Wie, że wracamy dopiero na wieczór, więc może zjawি się dziś. Józek! — krzyknęła w stronę chłopca. — Co ci Kryśka mówiła?!

Chłopak uniósł głowę znad roweru i spojrzał na matkę.

— Spieszyła się, bo właśnie nadjeżdżał autobus, więc tylko krzyknęła z daleka, że będzie dziś albo jutro wieczór.

— Gdzieś ją spotkał?

— Zaraz za rogiem, jak szedłem po mleko.

— Pozwoli pani zatem, abym zaczekał? — z nutą prośby w głosie spytał sierżant.

Kobieta przez chwilę coś rozważała w myślach,

— A jak nie przyjdzie? — odezwała się wreszcie. — Albo nad ranem, bo i tak potrafi? Chce pan tyle czasu siedzieć na krześle?

— Będę musiał. Wolę to niż awanturę w domu.

— Dobrze, ale to będzie kosztować stówę — zdecydowała pani Cwierteń. — Światła darmo nie będę palić!

— Proszę, oto stowa. — Sierżant bez wahania wyjął banknot.

I tak rozpoczęła się dla sierżanta Głuszy długa, trudna noc, którą spędził na koślawym krześle ustawionym pod ścianą. Wprawdzie pani Cwierteń wsuwając się pod kołdrę zaproponowała mu, by skorzystał z wolnego pośłania, bo nie wiadomo, czy drugi jej syn w ogóle wróci na noc, ale na widok pościeli odmówił. Siedział

więc na swoim krześle, od czasu do czasu wpadając w drzemkę, walczył z wolno ciekącym czasem i czekał cierpliwie.

Okolo trzeciej otworzyły się gwałtownie szarpnięte drzwi i do izby wszedł młody mężczyzna. Ciemne włosy opadały mu pasmami na uszy. Oczy miał przekrwione i niezbyt przytomne, a niepewny krok nie pozostawiał wątpliwości co do jego stanu. Zbliżył się do sierżanta i zmierzył go wrogim spojrzeniem.

— Co ty tu robisz, frajerze?! Czekasz na pociąg? No jazda, wynocha!

— Kładź się i bez wygłupów! — rozległ się zaspawy głos pani Cwierteń. — Nie twój interes, gówniarzu!

Młody mężczyzna coś jeszcze mamrotał, ale odwrócił się od sierżanta i zwałił na posłanie.

Wlokły się minuty męczącego oczekiwania. Wreszcie o piątej sierżant wstał z krzesła i rozprostował zdrętwiałe od wielogodzinnego siedzenia ciało.

Młody mężczyzna chrapał głośno, rozwalony na swoim posłaniu tak jak na nie upadł, w ubraniu i butach. Sierżant pożegnał Cwierteniową, ustaliwszy z nią przedtem, że wieczorem wróci, bo niezrażony daremnym wysiłkiem mimo wszystko postanowił wykorzystać do końca nawet tę znikomą szansę, jaką udało mu się zdobyć.

O zmierzchu wrócił więc na ulicę Mikołaja Trąby, zdecydowany na ponowienie wysiłku całonocnego czuwania. Tym razem przyjęto go wprawdzie nadal niechętnie, ale już bez wrogości. O jedenastej wieczór

wrócił starszy syn Cwierteniowej — Henio. Tym razem obrzucił tylko Głuszę ironicznym spojrzeniem i warknął na matkę, by dała mu kolację. Potem ignorując zupełnie siedzącego na krześle sierżanta ułożył się do snu.

Tak jak poprzedniej nocy minuty wlokły się nieznośnie wolno, krzesło uwierało; kręgosłup drętwiał z bólu.. Walczył z ogarniającą go sennością, by nie zwalić się na podłogę. Czekał jednak uparcie.

Znów jednak zaczęło szarzeć, potem zrobiło się prawie widno, a dziewczyny nie było i tym razem.

O piątej Głusza podniósł się z krzesła, ziewnąwszy przeczesał palcami włosy i miał właśnie zamiar skierować się do wyjścia, kiedy od strony posłania brata Krysstyny rozległo się mruknięcie:

— Tee... czekaj. — Henio uniósł się na łokciu i spojrzał w stronę łóżka, gdzie spała matka, a potem rzucił: — Żał mi ciebie, frajerze... Nie siedź tu na próżno. Lepiej idź na Chełmską, w bazie transportowej spytaj o szofera Janka Oktawę i pogadaj z nim...

Udzieliwszy tej rady Henio odwrócił się do niego plecami i naciągnął koc na głowę, dając w ten sposób znać, że rozmowę uważa za skończoną.

Przed siódmą nie było po co jechać na Chełmską, więc sierżant wrócił do domu, ogolił się, wziął prysznic i nieco odświeżony znów wyruszył na miasto.

Bazę znalazł bez trudności. Szeroka, żelazna brama wjazdowa była otwarta, ale zagrodzona zwisającym

łańcuchem. Obok stała budka strażnika.

Głusza pokazał legitymację i wyjaśnił, kogo szuka.

— Oktawa? Owszem, znam go — powiedział strażnik. — Jest już w bazie, powinien zaraz wyjeżdżać.

— Pójdę go poszukać.

— Lepiej zostać tu. Będzie go pan szukał, a on wyjedzie za pańskimi plecami.

Rada była dobra, toteż sierżant postanowił jej posłuchać. Tym razem nie zanośiło się na zbyt długie czekanie. Istotnie już po kwadransie strażnik zamiast opuścić łańcuch skinął na sierżanta.

— Jest Oktawa... — Wskazał na stojącego przed bramą starsza. Kierowca wychylił głowę z szoferki i zawołał:

— Co jest z panem, panie Antoni?! Zasnął pan?!

— Chwileczkę, nie pali się. Jest tu ktoś, kto chce z tobą pogadać.

Sierżant podszedł do szoferki.

— Pan Oktawa?

— Tak. Czego pan chce?

— Porozmawiać. Jestem z milicji.

— Właśnie teraz? Przecież zagradzam drogę innym wozom!

— Podjedziemy kawałek razem. Chcę panu zadać kilka pytań.

— No to siadaj pan, panie władzo! Chyba na komisariat pan mnie nie weźmie?! — rzucił kierowca. Był to młody blondyn o nieco zadartym nosie i uśmiechniętej twarzy.



— Nie mam zamiaru — rzucił uspokajająco Głusza, wspinając się do szoferki. Kiedy zatrzasnął drzwiczki i wóz ruszył, spytał bez żadnych wstępów:

— Zna pan Krystynę Cwierteń?

Kierowca na moment obrócił ku niemu twarz, a potem, znów patrząc na jezdnię, odpowiedział:

— Znam. Przeskrobała coś, że pyta pan o nią?

— Nic o tym nie wiem. Jest mi potrzebna jako świadek.

— Nie buja pan?

— Gdyby było inaczej, nie gadałbym z panem w szoferce, tylko w komisariacie. Czy wie pan, gdzie mogę ją znaleźć?

Kierowca uśmiechnął się.

— Wiem.

To oświadczenie po tylu trudach i niepowodzeniach było tak nieoczekiwane, że wyraz twarzy sierżanta zdradzał raczej niedowierzenie niż radość.

— Taak? Gdzie zatem?

Kierowca klepnął się po kieszeni i oznajmił:

— Tu.

— Jak to?! Nie rozumiem...

— Siedzi zamknięta w mieszkaniu, a klucz mam w kieszeni!

— Co to za mieszkanie?

— Czyje, jak nie moje! Mam kawalerkę na Częstochowskiej. Chciała jeszcze pospać, więc ją zamknąłem, bo za mało się znamy.

Po tym wyjaśnieniu sierżant miał ochotę uściskać młodego kierowcę.

— Jedziemy zatem do pana! — zdecydował. — Muszę ją natychmiast przesłuchać!

— Klient się wścieknie, jak nie przyjadę na czas... — zawahał się kierowca.

— Jedźcie na moje polecenie. Kartę drogową ostemplujemy wam w komisariacie!

— Tak to co innego — zgodził się kierowca.

Mieszkanie Oktawy znajdowało się na trzecim piętrze. Ani chrobot klucza w zamku, ani ich kroki w małym przedpokoju nie wywołały żadnego oddźwięku. Dopiero kiedy weszli do pokoju, zaniepokojony ciszą sierżant ujrzał jasne pasmo kobiecych włosów na poduszce i zarys ciała przykrytego kołdrą wraz z głową.

Oktawa podszedł do tapczanu i bezceremonialnie potrząsnął śpiącą za ramię. Kiedy uniosła się, odurzona jeszcze snem, rzucił:

— Oprzytomnij, Kryśka, pan władza chce z tobą pogadać.

— Glina? Czego chce?! — Już rozbudzona zupełnie, siadła w pościeli, podciągając kołdrę pod brodę.

— Sam ci powie. Wstawaj!

— Jak mam wstawać...? — Podniosła na sierżanta duże, niebieskie oczy lalki. — Najpierw wyjdźcie...

— Chodźmy do kuchni, niech się ogarnie — zaproponował kierowca.

Ponieważ pokój miał tylko jedne drzwi, prowadzące do przedpokoju, a kuchnię była tuż obok, sierżant zgodził się na tę krótką zwłokę.

Po chwili ukazała się dziewczyna. Kolorowa sukienka

opinała jej zaokrągloną figurę i wydatny biust, który zapamiętał i szatniarz z „Piotrusia”, i dozorca w domu Dektery.

— Muszę pogadać z panienką na osobności — zwrócił się Głusza do gospodarza.

— To może w pokoju, a ja poczekam tutaj.

— Jak się obywatelka nazywa? — rozpoczął indagację sierżant, kiedy znalazł się sam z dziewczyną

— Musi pan wiedzieć, skoro mnie pan szukał! — odpowiedziała zaczepnie.

— Ostrożnie, sikoro — sierżant zmienił ton. — Odpowiadać, kiedy pytam!

— Krystyna Cwierteń — burknęła z aroganckim wzruszeniem ramion.

— Zamieszkała?

— Mikołaja Trąby pięć.

Głusza skinął głową, a potem przez chwilę patrzył w milczeniu na dziewczynę. Początkowa nonszalancja zaczęła ją wyraźnie opuszczać. Zerknęła raz i drugi na Głuszę, wreszcie mruknęła niepewnie:

— Co mi się pan tak przygląda?

— Bo ci się dziwię. Jeszcze jesteś młoda, a już próbujesz takich numerów...

— Jakich znów numerów? Że niby znalazł mnie pan u chłopaka w łóżku?

— Jeśli nie za forszę, to twoja sprawa. Tu chodzi o co innego. I dobrze wiesz, o co, więc powiedz, jak to było, lepiej na tym wyjdiesz.

— Ja wiem o co?! — Zdziwienie dziewczyny było szczerze, w co sierżant nie wątpił.

— No tak, na pewno wiesz. Mówię o tym włamaniu z poniedziałku na wtorek. Byli tacy, co zeznali, że stałaś na szpicie.

— O jakim włamaniu pan mówi?! O niczym nie wiem! Co za głupia gadka!

— Mówię o tym sklepie „Społem” na Górnośląskiej, coście go obrobili w poniedziałek w nocy.

— Ależ, panie władzo, ja naprawdę o niczym nie wiem! Dlaczego chce pan mnie w to zrobić?!

— Nie mam zamiaru cię wrabiać. Wystarczy, jeżeli powiesz, co robiłaś w nocy z poniedziałku na wtorek. Sprawdzimy to i jeżeli okaże się, że nie skłamałaś, damy ci spokój, a dobierzemy się do skóry temu, kto złożył fałszywe zeznanie.

— Z poniedziałku na wtorek? Zaraz... zaraz...

Milczała przez chwilę, a sierżant czekał z pozornym spokojem. Wreszcie twarz dziewczyny ożywił wyraz radości.

— Wiem! Już wiem! — Spojrzała na zamknięte do przedpokoju drzwi i ściszyła głos. — Byłam z jednym takim, tylko niech pan o tym nie mówi przy Janku...

Sierżant skinął głową i również zniżył głos:

— Z kim?

— Nazywa się Dektura, pracuje w jakimś tam instytucie...

— Długo u niego byłaś?

— Jak to: czy długo? Przez całą noc! Przyszliśmy do niego gdzieś koło dziewiątej, a wyszłam, jak z rana szedł do pracy.

— Kto jeszcze z wami był? Lepiej byłoby dla ciebie, żeby poza tym Dekturą ktoś to potwierdził.

Tym razem dziewczyna oburzyła się.

— Też mi wymagania! Czy pan myśli, że idę do łóżka z całym plutonem?!

— A więc przez całą noc byliście tylko we dwójkę?

— A jak pan chciał?! Franek panu potwierdzi, że na krok nie ruszałam się z mieszkania!

— No, zobaczymy. Musisz to zeznanie złożyć u nas na piśmie. Jeżeli okaże się, że nie zełgałaś, będziesz wolna.

— Możemy jechać — zgodziła się dziewczyna — nie mam się czego bać.

## Rozdział 10

Gościem, który przeprowadził się do pokoju trzysta piętnaście, o czym wspomniała jedna z hotelowych sprzątaczek, był istotnie dziennikarz z Wiednia, pan Levy.

Gdyby ktoś przebywał z nim razem w pokoju, zwłaszcza podczas pierwszej nocy, byłby zapewne bardzo zdziwiony wykonywanymi przez niego czynnościami...

Wydobył mianowicie z walizki słuchawki, złożona samochodową antenę i jakiś mały, centymetrowej średnicy aparacik zaopatrzony w gumową przyssawkę. Rozciągnął antenę na całą trzymetrową długość, na końcu, w misternie skonstruowanym rozwidleniu, umieścił aparacik, następnie otworzył okno i wychylił do

połowy wystawił antenę na zewnątrz. Przesunął ją wzdłuż muru, jakiś czas cierpliwie manipulował i wreszcie wciągnął z powrotem do pokoju, ale już bez aparatu. Ten bowiem został przyklejony do szyby w górnym narożniku sąsiedniego okna.

Po dokonaniu tej czynności pan Levy złożył antenę, schował ją do walizki i z kolei nałożył na uszy słuchawki. Usłyszał pochrapywanie. To go przekonało, że wszystko działa dobrze. Zdjął słuchawki i zaczął przygotowywać się do snu.

Około piątej Szeruda wrócił do siebie. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że był to poranek niedzielny i wobec tego może odespać stracone godziny.

Ale sen nie nadchodził. Nowe niepowodzenie, a nawet porażka, jakiej doznał — bo tak oceniał śmierć Czepigi — wprowadziły go w rozdrażnienie silniejsze od potrzeby snu. Usiłował zmienić tok myśli i usunąć z nich nurtujące go problemy, ale były to usiłowania daremne.

Usnął dopiero po godzinie, ale po obudzeniu nie czuł się wypoczęty. Ubrał się i postanowił zająć do biura, by przejrzeć ostatnie raporty.

Ranek okazał się wyraźnie niepomysłny, bo na korytarzu spotkał pułkownika, który zapewne również chciał popracować w spokoju niedzielного dnia. Był już powiadomiony o nowym morderstwie, toteż wezwał go od razu do siebie.

Najbliższe parę kwadransów nie należały do najprzyjemniejszych. Jedynym i to nieco wątpliwym pocieszeniem był fakt, że jednak analiza sytuacji, jakiej dokonał, i wyprowadzone stąd wnioski zostały przyjęte z milczącą aprobatą.

Potem zabrał się do roboty, ale po pewnym czasie odłożył papiery i spojrzął przez okno, za którym pławiła się w słońcu zieleń drzew. Przypomniał sobie obietnicę daną pannie Targoń i sięgnął po słuchawkę.

— Zgłaszam się zgodnie z poleceniem — powiedział, kiedy usłyszał jej głos.

— Nie mogłeś wcześniej?

— Niestety. I tak urywam się z biura.

— Więc nie telefonujesz z domu?

— Taki już mój los — westchnął. — A ty co robisz?

— Wykańczam projekty przed wyjazdem.

— Co z naszą umową? Pogoda wspaniała, po prostu wygania z miasta.

— Będę gotowa za dwie godziny... — W jej głosie wyczuł pewne wahanie, ale dalsze słowa zaprzeczyły temu wrażeniu. — Dobrze. Przyjedź po mnie o trzeciej — rzuciła już zdecydowanie.

Wyjechali samochodem majora. Chciał dziewczynie pokazać teren walk na przyczółku magnuszewskim, ale wspaniała widok z mostu pod Górą Kalwarią kazał mu zatrzymać wóz.

Nisko, dołem, malował się szeroko nurt Wisły obramowany wstążkami żółtego piasku. Dalej ciągnął się gąszcz nadbrzeżnych zarośli. Fale zieleni szły ku wysokiej skarpie z domami miasteczka i białą wieżą kościoła

u szczytu. Górą sklepiała się niebieska, kopuła, po której tu i ówdzie ciągnęły wielkie obłoki.

Zostawili wóz przy moście i zeszli w dół, ku rzece. Ciągnęła się nad nią łąka porośnięta gęstymi krzakami wikliny.

Szeruda rozłożył koc i wyciągnęli się na nim, mając niemal u stóp wolno sunącą wodę, a świergot ukrytego w łozinie ptactwa tuż nad głowami.

Przez dłuższy czas oboje milczeli, Szeruda spojrział na dziewczynę. Leżała z ramionami założonymi pod głowę i zamkniętymi oczyma.

— O czym myślisz? — spytał półgłosem.

— O tobie — odpowiedziała nie otwierając oczu.

— Nie masz ciekawszego tematu?

— Kiedy nie mogę się pozbyć tego... Ani sobie z nim poradzić...

— Niestety, nie mogę ci pomóc.

— Możesz, ale nie wydaje mi się, aby moje sugestie dały pożądaną rezultat.

— Wolisz radzić sobie sama?

— Muszę.

— Miałas mi dać odpowiedź — przypomniał jej.

— Pamiętam, nie obawiaj się. Ale może najpierw powiesz, dlaczego ta sprawa tak cię interesuje?

— Tylko tak ci się zdaje! Dawno bym o niej zapomniawszy, gdybyś sama nie kontynuowała tego tematu!

— Po prostu zdawało mi się, że kwestia: byłam czy nie byłam kochanką Białomskiego, dość żywo cię obchodzi.



— Już raz ci nie zaprzeczyłem.  
— Ale wyjaśnienie odłożyłeś na później, ograniczając się do dość mętnej aluzji.

— Najpierw chciałem usłyszeć twoją odpowiedź.  
— Zastanawiałam się, co cię inspiruje. Gdybyś żywił dla mnie jakieś cieplejsze uczucia, wszystko byłoby zrozumiałe, ale niestety tak nie jest. Więc gdzie tkwi powód?

Szeruda zamilkł, szukając odpowiedzi, która nie zdradzając istotnej przyczyny, nie byłaby również zupełnym kłamstwem.

— Ustaliliśmy inny porządek — rzekł po chwili, unosząc się na łokciu i spoglądając na jej twarz oświetloną słońcem. Oczy przysłaniały powieki, koniec noska błyszczał od potu, a uniesione pod głową ramiona sprawiały, że jej piersi rysowały się ostro pod plażowym strojem.

— A poza tym — ciągnął — są mężczyźni, którzy nie chcą być spadkobiercami... Być może taki pogląd jest przestarzały, ale tylko tam, gdzie chodzi o przeszłość, zatartą przez czas lub zmianę otoczenia. W tym wypadku ani jedno, ani drugie nie ma miejsca.

— A więc dobrze, odpowiem ci...

— Zdecydowałaś się jednak?

— Właśnie. A wiesz dlaczego? — wyjęła ramiona spod głowy i wolno otoczyła jego szyję. — Bo cię Kocham...

Potem leżeli obok siebie, odzywając się z rzadka, i to krótkimi zdaniem, każde inaczej odczuwając przeżyte chwile i obecny nastrój, którego akcentem była cicho sunąca woda, skaczące po niej skry słońecznego blasku

i pisk krążących nad nią mew.

Wkrótce cienie zaczęły wydłużać się, a światło słoneczne nabrało ciepłej, pomarańczowej tonacji.

Wstali i w zupełnym już milczeniu ruszyli do samochodu, wspinając się po stromym stoku. Kiedy już ruszyli, Ama spytała:

— Wiesz już, byłam czy nie byłam kochanką Białomskiego?

— Wiem — rzucił krótko, nie odwracając głowy, wpatrzony w szary pas asfaltu przed samochodem.

Dziewczyna zerknęła na niego raz, potem drugi i raptem roześmiała się.

Dopiero teraz, zaskoczony, spojrział na nią.

— Cóż za uroczysta mina! — rzuciła wesoło. — Nik, uśmiechnij się!

Szeruda znów patrzył tylko na szosę. Dopiero po pewnej chwili mruknął na w pół do siebie:

— Zupełna wariatka...

Do zasadniczego tematu rozmowy wrócił wówczas, gdy żegnali się przed willą Wierzby.

— Teraz ja z kolei jestem ci winien wyjaśnienie — powiedział, ujmując jej dłoń. — Ale mogę to zrobić dopiero po zakończeniu sprawy. Do tego czasu nie będę mógł z tobą się zobaczyć. Nie dzwoń więc, tylko czekaj na mój telefon.

Obrzuciła go spojrzeniem pełnym zawodu.

— Jeżeli tak trzeba... — Odwróciła się i już bez słowa ruszyła ścieżką wśród żywopłotu.

Następnego dnia rano, kiedy jak zwykle porucznik wszedł do pokoju majora, zastał go nad teczką z aktami. Zajął więc krzesło po drugiej stronie biurka i w milczeniu czekał, aż szef przerwie pracę i sam zagai rozmowę. Nie trwało to zbyt długo.

W pewnej chwili Szeruda odsunął akta i spojrzał na Łubę.

— Przeglądałem niektóre raporty ze stycznia i lutego — powiedział wyjaśniająco — dotyczące naszych początkowych obserwacji otoczenia Wierzby.

— W tym czasie nie działo się jeszcze nic godnego uwagi — zauważył Łuba.

— W tym czasie — Szeruda powtórzył słowa porucznika — Wierzba osiągnął właśnie pierwszy sukces, potwierdzający słuszność jego koncepcji, co skłoniło nas do udzielenia mu ochrony.

— Dlaczego jednak zainteresowałeś się tymi dawnymi raportami?

— Chodziło mi o stwierdzenie, skąd się wzięło nasze mniemanie co do panny Targoń. Pamiętam, że pierwszą informację otrzymałem od ciebie, ale nie było wówczas powodów, aby ją głębiej analizować. Obecnie jednak chciałem stwierdzić, na jakiej podstawie ustalono, że była ona kochanką Białomskiego?

— Znalazłeś źródło?

— Tak, dwa raporty naszych ludzi dotyczące dziewczyny. Jeden z dziewiętnastego stycznia, drugi z trzeciego lutego. Oba mówią o jej bytności w mieszkaniu Białomskiego. Styczniowy — od godziny

siedemnastej do dwudziestej, lutowy od siedemnastej do osiemnastej.

— Zatem ustalenie było słuszne, bo biblii chyba nie czytali...

— Zgoda. Ale czy porównywałeś pierwszy meldunek z raportem dotyczącym Białomskiego? Jest w nim mowa o tym, że właśnie tego samego dnia, w tym czasie, było u niego kilka osób.

— Już nie pamiętam. Może daty wpływów obu raportów były różne... — W głosie porucznika nie było już takiej pewności.

— Jak Białomski ma na imię? — Zdawało się, że Szeruda zmienił temat.

— Henryk.

— A więc przyjmij do wiadomości, że imieniny obchodzi dziewiętnastego stycznia.

— To mógł być tylko pierwszy kontakt...

— I sądzisz, że Białomskiemu udałoby się uwieść taką dziewczynę jak panna Targoń już w czasie drugiej wizyty?

— Jest tam jeszcze i trzeci raport...

— Wiem, czytałem go, również. W tym wypadku dziewczyna wyszła już po dziesięciu minutach.

— Sądzisz więc, że nasze podejrzenia były niesłuszne? Być może, masz rację. Ale co cię skłoniło do sprawdzania tych raportów?

Szeruda milczał przez chwilę, spoglądając przez okno, wreszcie przeniósł wzrok na porucznika.

— Bowiem w wyniku dotychczasowych kontaktów z panną Targoń doszedłem do wniosku, że istotnie nasza opinia była błędna.

— Taak? No, to ten wątek mamy z głowy! — rzu-  
cił z zadowoleniem Łuba. — Zrób notatkę z odpowied-  
nim uzasadnieniem i cześć!

— Notatkę zrobię, ale bez uzasadnienia. Jeśli bę-  
dzie trzeba, uzasadnienie takie złożę staremu ustnie —  
oświadczył chłodno Szeruda.

Łuba uniósł na moment brwi do góry, a potem wzru-  
szy! ramionami.

— To już twoja sprawa...

— Teraz to moja sprawa, co? — mruknął z roz-  
drażnieniem Szeruda. — Ale przez twoje niedopatrzenie  
traciłem niepotrzebnie czas na bezcelową gadaninę!

— Nie była taka bezcelowa, skoro ostatecznie wy-  
jaśniłeś ten bądź co bądź ważny aspekt — stwierdził  
Łuba i dorzucił z uśmiechem: — Zresztą wydaje mi się,  
że owa gadanina nie była znów tak przykra...

— Niech to diabli! — wybuchnął nagle Szeruda.  
— Wpakowałeś mnie w nieprawdopodobny pasztet!

— A może tyś sam się wpakował? — spytał Łuba.

Szeruda opanował się.

— Przestań się wygłupiać — powiedział już spo-  
kojnie. — Przejdźmy teraz do spraw bieżących. Mam tu  
ostatni raport Szczygła, który mnie nieco zastanowił.

— Coś ciekawego?

— Wygląda na zupełnie błahą wzmiankę, ale nie  
daje mi spokoju. Dziewczyna ma bystre oko, więc coś  
musi w tym być...

— Może dowiem się, o co chodzi? Jeżeli to ostatni raport, to jeszcze go nie czytałem.

— Ja zrobiłem to wczoraj. À propos, spotkałem tu starego. Naurągał mi nieco, ale zdaje się, że podziela nasze poglądy. A teraz słuchaj, co pisze Szczygieł. Chodzi mi o ten jeden ustęp. — Szeruda zaczął czytać:

„(...) różnica w kolorze jest prawie niedostrzegalna, ale jestem pewna, że istnieje. Poprzedni był o odcień ciemniejszy, ten jest bardziej szarawy. Również i pokrętko ma inne ślady używania niż poprzednie. Różnice są minimalne, ale jednak są. Stąd podejrzewam, że wałek przy maszynie został wymieniony, i to bez mojej wiedzy, co wzbudza podejrzenie. Nie mogę dociec celu zamiany, ale uważam za wskazane podać to do wiadomości...”

Szeruda skończył czytanie i spojrzął na porucznika.

— Co o tym sądzisz?

— Inny wałek przy maszynie? — Łuba skrzywił się, wzruszając ramionami. — Czy to może mieć jakieś znaczenie? A nawet jeżeli, to jakie? Może się mylić, bo pracuje przecież niedawno i coś się dziewczynie przewidziało. Zresztą dlaczego właśnie teraz został wymieniony? Mogło to stać się na prośbę jej poprzedniczki z powodu jakichś usterek.

Szeruda popatrzył przed siebie w zamyśleniu.

— Tak przypuszczasz? Dlaczego w takim razie wymieniono go bez jej wiedzy? Może to ostatecznie i nie ma znaczenia, ale trzeba to wyjaśnić — odłożył

raport na bok. — Kiedy masz się, z nią widzieć?

— Jutro. Razem ze Skibą.

— Tym lepiej. O której?

— O piętnastej.

— Ja też przyjdę. Czy Molski miał jakieś nowiny?

— Nie. Sądzisz, że może coś znaleźć?

— Dużych nadziei nie mam, ale śmierć Czepigi dowodzi, że moje podejrzenia są słuszne.

— To oczywiście, że był zamieszany w tę sprawę. On i Burska.

— Zamieszany? — prychnął ironicznie Szeruda.

— Siedział w niej po uszy! Czy to dla ciebie jeszcze nie jest dostatecznie jasne? Gdybyś podsumował fakty, pozbyłbyś się wątpliwości.

— Na przykład?

— A więc pierwszy. Wierzba, przeciążony pracą, nie zawsze przestrzegał naszych instrukcji. Drugi: jego sekretarką jest Burska i zostaje zamordowana. Trzeci: jej kochanek, który uprzednio był w Wiedniu, również.

Łuba w zamyśleniu skinął głową.

— Tak, może i masz rację. Mogli zdobyć opracowanie Wierzby i chcieli je sprzedać. Ten osobnik na filmie to był zapewne Czepiga...

— Wiąże się też z tym zanik pamięci, który stwierdziliśmy u Biernata. Widocznie nasz przeciwnik poczuł się tak poważnie zagrożony, że musiał działać z całą bezwzględnością.

— Dlaczego zagrożony? Przecież nie zrobiliśmy żadnego błędu.

— Zatem musiał go nastraszyć ktoś inny. Ktoś, kto również bierze udział w tej grze, i to dobrze ukryty. Niestety, zbyt dużo uwagi poświęciliśmy panu Marco, co pozwoliło tamtemu na względnie swobodne działanie.

— Masz jakieś podejrzenia? Musi to być ktoś, kto również bierze udział w sympozjum.

— Tak, to wchodzi w rachubę. W każdym razie jest to człowiek z otoczenia Wierzby.

— Wróćmy jednak do tamtej pary. O ile można przyjąć, że Biernata i Czepigę ma na sumieniu Marco, to co z Burską? Nie rozumiem, po co miałby ją zabijać?

— Wątpię, czy to on. Sądzę, że Burską zamordował Czepiga, ale na pewno będzie to można stwierdzić dopiero po sprawdzeniu jego alibi. To był jeden z powodów, dla których poleciłem Molskiemu przeprowadzenie wywiadu.

— Jeden z powodów?

— Bo zachodzi możliwość, że to nie Czepiga zorganizował alibi. Jest zbyt mało doświadczony, by zapewnić sobie zgodne zeznanie aż trojga ludzi. A jednocześnie nie zapominaj, że jest ktoś, kto zdołał do tego stopnia nastraszyć Marco, że ten nie zawahał się przed morderstwem! To jakiś przebiegły lis.

— Czy nie czas zatem wyłączyć Marco z akcji?

— Już raz mnie o to pytałeś. Zapominasz chyba, że najprawdopodobniej to on przejął materiały zdobyte przez Burską. Trzeba więc przede wszystkim je odebrać. A teraz inna strona zagadnienia. Ten, który go



przepłoszył, nie zrobił tego bez powodu. Albo Marco mu przeszkadzał, albo chciał mu wyrwać zdobycz. A może stało się to z innej, nie znanej nam przyczyny? Tak czy inaczej będzie nadal krążył koło niego, nie możemy więc usuwać tej przynęty. Jest jeszcze trzeci powód, dla którego chwilowo musimy zostawić Marco w spokoju. Po prostu dlatego, że nie mamy przeciw niemu dowodów. Czym chciałbyś uzasadnić wniosek do prokuratora o zatrzymanie? Jego jazdą po mieście czy własnym poglądem na sprawę?

— Tak, masz rację... — westchnął Łuba. — Musimy go przyłapać razem z tym materiałem.

— Wątpię, czy ci się to uda, ale próbuj. W każdym razie pamiętaj, że odpowiadasz za nadzór nad nim.

— Niepotrzebnie mi to przypominasz — burknął Łuba. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przeszkodził mu terkot telefonu.

Szeruda podjął słuchawkę, a po skończonej rozmowie rzucił z uśmiechem:

— Rozchmurz się, stary. Są dobre wiadomości. Telefonował Molski. Wysłał nam odpis protokołu z zeznań świadka w sprawie tego Dektury. Nie wdawał się w szczegóły, ale zapowiedział bombę. Zaraz sprawdzimy, czy nie przesadził.

Istotnie wkrótce podoficer z holu zameldował, że przybył funkcjonariusz milicji z pismem do majora, które ma rozkaz doręczyć osobiście Szeruda kazał go skierować do siebie i po chwili kwitował odbiór opieczętowanej koperty z nadrukiem „tajne”.

Kiedy zostali sami, rozerwał ją i wyjął gęsto zapisany formularz z przesłuchania świadka. Przeczytał go uważnie i podał Łubie.

— Molski spisał się na medal.

Porucznik przebiegł pismo wzrokiem, spojrzął z uśmiechem na majora.

— Sierżantowi Głuszy warto by dać nagrodę, a tobie wiesz nóż! A więc opinia co do Czepigi była słuszna! To fałszywe alibi potwierdza jego winę.

— Ale dlaczego zamordował dziewczynę?

— Teraz bardziej interesuje mnie Dektura. Pracuje u Białomskiego, tego, który znalazł Burską... Coś w tym musi być. No, teraz dobierzemy mu się do skóry!

— Wprost przeciwnie, niczym nie możemy się zdradzić, że coś o nim wiemy. Ten protokół na razie będzie leżał spokojnie w teczce. Zadzwonię do Molskiego, by zrobił tak samo — zdecydował Szeruda. — Nie wolno nam spłoszyć zwierzyny. Nawet zaniechamy chwilowo obserwacji, bo mamy do czynienia z kimś bardzo przebiegłym i byстрыm. Gdyby się spostrzegł, położylibyśmy całą robotę.

Łuba spojrzął ze zdziwieniem na majora, ale nic nie powiedział.

## Rozdział 11

Miejsce za biurkiem w sekretariacie profesora Wierzby zajmowała obecnie panna Natalia Imak (niekiedy nazywana też Szczygłem), szczupła osóbką z delikatnymi rysami twarzy i parą dużych, szarych oczu.

Przeglądała właśnie ostatni biuletyn z kończącego się już sympozjum, kiedy rozległo się dyskretne pukanie do drzwi, a w chwilę potem, zanim zdążyła się odezwać, ukazała się głowa młodego bruneta.

— Cześć,. Józef, jesteś nareszcie! — powitała go, unosząc oczy znad lektury.

Przybyły zamiast odpowiedzi skinął głową w stronę drzwi prowadzących do gabinetu profesora.

— Nie ma — odpowiedziała dziewczyna. — I chyba nie będzie, więc możemy pogadać spokojnie.

— A jest o czym — mruknął młody człowiek, zajmując jeden z foteli po drugiej stronie biurka panny Natalii.

— Właśnie. Zadanie niełatwe i jeśli nas nakryją...

— Nas? — prychnął Skiba. — Chyba mnie!

— Co jest możliwe, bo zostaniesz bez mojej opieki — nie bez złośliwości uzupełniła panna Natalia. — Postaraj się jednak nie doprowadzać do tego, bo strażnicy, mimo że cała akcja została uzgodniona z dyrekcją Instytutu, nie będą o niczym wiedzieli. Obecnie dwóch ludzi z rzekomego Pogotowia Elektrycznego szuka

równie rzekomego uszkodzenia, co potrwa dłuższy czas. Pomogą ci w robocie, bo sam nie skończyłbyś do rana. Musimy znaleźć ten wałek!

— Bo jesteś pewna, że ci go zamieniono! — prze-rwał z rozdrażnieniem Skiba. — Czysta bzdura! Po co komu taki kawałek śmiecia? Narobiłaś tylko zamieszania i dołożyłaś mi roboty! Trzydzieści osiem pomiesz-czeń, a do tego jeszcze piwnice! I to wszystko odwalić w ciągu nocy, nawet jeśli będziemy we trzech? W do-datku na próżno!

— Nie wiadomo, czy na próżno, bo mam pewność, że coś w tym jest. A major doszedł do wniosku, że sprawca nie wyniósł na zewnątrz tej części. Po co miał się narażać. Na pewno chowa ją tu.

— Oczywiście! — Skiba upierał się przy swoim. — Skoro major mówi, to dla ciebie święte! Generałowie też się mylą!

— Ostatecznie wałek do maszyny, to nie szpilka. Sam jego rozmiar ułatwia poszukiwania.

— Też mi pocieszenie! Pewnie ci się przywidziało, a nawet jeśli nie, to zamiany mógł dokonać ktoś spoza Instytutu.

— Major nie podejmowałby takiej akcji bez uza-sadnienia. Musimy więc ten wałek znaleźć i już! — oświadczyła stanowczo dziewczyna.

— Dobrze, miłe dziewczę! niech ci będzie... Ale jak to mamy zrobić? Plan budynku otrzymałem, więc nie o tego rodzaju wskazówki mi chodzi. Pracę kończy-cie o piętnastej. Jak wygląda sytuacja potem?

— Do rana Instytut jest właściwie pusty. Czasami jednak laboratoria pracują dłużej, ale i one kończą nie później jak o ósmej, najdalej dziewiątej wieczór.

— Laboratoria i pracownie znajdują się na parterze. Chcąc do rana odmachać taki kawałek roboty, muszę zacząć wcześniej, czyli od piętra. Całe szczęście, że ta buda nie ma strychu. A jak ze strażą?

— Służbę pełni jeden człowiek. Siedzi przeważnie w dyżurce przy wejściu. Czasami, ale rzadko, robi przegląd korytarzy. Do pokoi raczej nie zagląda.

— A jak ze światłem?

— Latarki musicie mieć, ale światło w pokojach możecie zapalać. Drzwi nie są oszklone, a z ulicy nikt nie zwróci uwagi, że to czy tamto okno będzie oświetlone. Oczywiście, gamoni, stale musisz nasłuchiwać, czy nie idzie strażnik. Byłaby niezła zabawa, gdyby cię nakrył...

— Takie rady możesz dawać dorastającej młodzieży. A więc przyjdę tu krótko przed trzecią. Zostawisz mi klucze od tego pokoju i gabinetu Wierzby. Po akcji twoje drzwi zostawię otwarte, a zamknę się w gabinecie. Otworzę tylko na pukanie: dwa razy wolno, dwa szybko. Przyjdź jak najwcześniej, powiedzmy o siódmej.

— Będziesz miał fachowca od zamków, bo nie wszystkie klucze dostaliśmy z dyrekcji. Skiba machnął ręką.

— O to się nie martw.

— Zatem bądź przed trzecią.

— Czekaj mnie urocza noc — mruknął Skiba, wstając z fotela.

— Może nie cała. To zależy od szczęścia.

Mówiąc to dziewczyna nie wiedziała, jaka niespodzianka ich czeka.

Podzielili pomiędzy sobą pomieszczenia i pracowali spokojnie i bez gorączkowego pośpiechu. Najpierw sprawdzili pokoje, potem pracownie, biurko za biurkiem, szafa za szafą — wszystkie miejsca, gdzie mógł zostać schowany przedmiot tej wielkości.

Budynek pogrążony był w, ciszy nocy. Oni zaś krążyli po nim bezszelestnie jak duchy. Tylko dwa razy w ciągu nocy Skiba musiał gasić światło i szukać schronienia na wypadek, gdyby strażnik, którego kroki usłyszał na korytarzu, chciał zajrzeć do pokoju.

W miarę jednak upływu czasu dochodził do przekonania, że jego wysiłek jest daremny. Mimo to, a może właśnie dlatego, tym skrupulatniej sprawdzał kolejne pomieszczenia, aby być pewnym, że ma rację.

Była piąta rano, kiedy już z całą pewnością mógł powiedzieć, że stracili noc na próżno.

Jego dwaj pomocnicy ukryli się w jednym z pomieszczeń gospodarczych, by opuścić gmach, jak tylko zacznie się w nim codzienny ruch, on zaś wrócił do sekretariatu. Tak jak umówił się z Natalią, drzwi pozostawił otwarte, a sam zamknął się w gabinecie profesora.

W rogu stały dwa wygodne fotele. Zagłębił się w jeden z nich i wyciągnąwszy nogi od razu zasnął. Zdawało mu się, że upłynęła zaledwie chwila, kiedy jeszcze niemal w półśnie postyszał natarczywe pukanie. Zerwał się na nogi, spoglądając ze zdziwieniem na zegarek. Istotnie było już po siódmej.

Otworzył drzwi. Nata z wyrazu jego twarzy odczytała od razu, że spotkało ich niepowodzenie.

— Nie znalazłeś?

Zaprzeczył głową bez słowa.

Usiadła w drugim fotelu, a on wrócił na swoje miejsce.

— Sprawdziłeś dokładnie?

— Na pewno. Od piętra po piwnice. Mogę przyjąć, że tego cholernego wałka nigdzie nie ma.

— Czyżby major się mylił? Pracuję z nim już parę lat i nie zdarzyło się to jeszcze nigdy. Mówią o nim, że ma wyjątkowego nosa, ale to nie tylko intuicja. Po raz pierwszy zdarza się coś takiego.

— Kiedyś musiało się zdarzyć — rzekł Skiba i ziewnął. — Na szczęście impreza odbyła się bez zakłóceń. Teraz idę spać i nie chcę o niczym wiedzieć!

— Zaczekaj, nie możesz się stąd ruszyć przed ósmą, dopóki nie zacznie się zwykły ruch. — Spojrzała na zegarek. — Mamy więc trochę czasu, by się zastanowić.

Skiba wyprostował się w fotelu.

— Nad czym chcesz się zastanawiać — spytał ze zdziwieniem. — Co za uparta baba!

— Przecież wałek nie jest ten sam, a zatem został zamieniony. Coś więc musiało się stać z tym starym. A skoro major twierdzi...

— Major! Major! — powtórzył już z rozdrażnieniem przerywając jej w pół słowa. — Jeżeli chcesz, to połóż się z tym swoim bóstwem do łóżka, a mnie daj wreszcie spokój!

Nata jednak znów wróciła do tematu.

— Szukałeś wszędzie? W toaletach i komórkach gospodarczych?

— Nata, jeśli nie przestaniesz mnie dręczyć, wyrzucę cię za okno! Nie ty zaprzętałaś sobie tym głowę przez całą noc, boś spała w ciepłym łóżeczku! — Skiba rozżłościł się na dobre.

Dziewczyna milczała, z opuszczoną głową. Dopiero po dłuższej chwili uniosła ją i rzuciła z przejęciem:

— Słuchaj! A czy sprawdziłeś i te pokoje?

Skiba spojrział na nią ze zdumieniem.

— Nie... — zająknął się, a potem zerwał na nogi. — Do diabła, nie! A przecież to możliwe... — zastanowił się. — Byłby to bardzo sprytny pomysł!

Już we dwoje zabrali się do poszukiwań.

Kawałek tekturowej tuby, używanej przez architektów i kreślarzy do przechowywania kalek z rysunkami, znaleźli w pierwszej szufladzie biurka samej pani sekretarki. Była przymocowana pod blatem biurka uchwyta-  
mi z drutu, co pozwalało na normalne wysuwanie szuflady. Kiedy jednak Skiba chciał ją wyjąć zupełnie, napotkał na opór. W tym właśnie kawałku tekturowej rury tkwił wsunięty wałek od maszyny.



Skiba opadł na fotel i wybuchnął śmiechem. Wreszcie zwrócił się do dziewczyny:

— Moje uznanie! Nie jesteś taka głupia, jak sądziłem! Za to ze mnie kompletny bałwan! Przecież gdybym zaczął od tego pokoju, nie potrzebowalbym męczyć się przez całą noc! Ale swoją drogą to musi być nielichy cwaniak! Użyć twego biurka jako schowka... No... no... — Skiba z podziwem pokręcił głową.

Pokój trzysta sześćdziesiąty ósmy leżał prawie naprzeciw numeru trzysta szesnastego. Tego dnia po południu zajął go niejaki pan Chwaścik przybyły z Mierkocina.

Rozpakował podręczną walizeczkę, rozłożył przybory toaletowe w łazience, a piżamę rzucił na tapczan.

Wkrótce potem wyszedł na miasto.

Do hotelu wrócił dopiero wieczorem w towarzystwie barczystego mężczyzny w marynarce jakby nieco przyciasnej. Wrażenie to powodowały mięśnie ramion, które nieomal rozsadały szwy jej rękawów i pleców.

Nie przerywając z nim rozmowy poprosił portiera o klucz, po czym obaj zajęci w dalszym ciągu ożywioną dyskusją — właściwie to perorował jedynie pan Chwaścik, a jego towarzysz słuchał, kiwając głową — poszli razem na górę. Zachowywali się tak swobodnie i naturalnie, że nikt, nawet portier, który podał klucz, nie zwrócił na nich uwagi.

Kiedy znaleźli się już w pokoju, pan Chwaścik zwrócił się do swego towarzysza:

— Jest u siebie. Klucza u portiera nie było...

Potem zabrał się do zbierania swoich rzeczy i układania ich na powrót w walizce.

W kilka minut później Filip Marco usłyszał pukanie. Po zezwalającym „entree” drzwi otworzyły się i zaskoczony Marco ujrzał przed sobą nieznanego mężczyznę w kapeluszu na głowie, ubranego w gabardynowy płaszcz. Był w towarzystwie barczystego mężczyzny o twarzy nieco podstarzałego, zawodowego boksera i oczach połyskujących ponuro pod niskim czołem pozbawionym brwi.

Przybyły zsunął kapelusz na tył głowy i spytał:

— Czy pan Filip Marco?

— Tak. Czego... czego panowie sobie życzą? — Marco obrzucił obu mężczyzn podejrzliwym spojrzeniem.

Człowiek w kapeluszu podszedł do stołu i bezceremonialnie usiadł na krześle, drugie wskazując gospodarzowi. Gdy ten ociągał się z zajęciem miejsca, warknął krótko:

— Siadać!

Jednocześnie barczysty mężczyzna przekręcił w zamku klucz i bez słowa stanął za wskazanym krzesłem, niby dobrze wyszkolony kelner gotowy do usług.

Marco wykonał polecenie i nie mogąc opanować drżenia głosu, powtórzył pytanie:

— Czego panowie chcą?

— Nicco pogawędzić, panie Marco.

— Nie znam panów i nie wiem, o czym mamy rozmawiać!

— O czym? — przybyły nieco przeciągnął słowo.  
— Właśnie o panu.

— O mnie? Chyba to niezbyt ciekawy temat — Marco próbował uśmiechnąć się, ale sam ocenił, że nie była to udana próba.

— Dosyć tego gadania! — przerwał mu opryskliwe przybysz. — Przyszedłem po materiały, które otrzymałeś od Czepigi, a jeśli mi powiesz, że go nie znasz, to ci go, draniu, przypomnę! To ten, któremuś podarował piękną zapalniczkę!

W oczach Marco pojawiło się przerażenie. Skąd ten typ wie aż tyle... Czego oni chcą? Podnieść alarm — ale jak? Jak wybrnąć z tej sytuacji? Kina są — przecież to nie ta ich milicja? Nie umiał jednak znaleźć odpowiedzi na żadne z cisnących się do głowy pytań. Postanowił więc grać na zwłokę i przeczyć wszystkiemu.

— Co mi pan tu opowiada! — udał oburzenie. — Nie znam żadnego Czepigi!

— Wozileś go samochodem. Ostatnio po Konstancinie, więc na nic takie gadki!

Przerażenie Marco wzrastało. A więc wiedzą i to? Ale skąd, u diabła?!

— Ależ ja naprawdę nie wiem o niczym!

— Możesz gadać, co chcesz, ale jeśli nie oddasz Łych odbitek, milicja przywróci ci pamięć!

— Nie ma pan co straszyć milicją — Marco wiedział już, o co chodzi, ale jeszcze próbował zdobyć się na ironię — bo bez dowodów to pusta gadanina!

Przybysz przechylił się do przodu.

— Pustą gadaninę prowadzimy teraz! A więc krótko! Oddasz czy nie?

Po tym ostatnim rzuconym półgłosem pytaniu Marco poczuł, że zasycha mu w gardle.

— Mówilem przecież... Nie wiem, o co panu chodzi... — wyjąkał, wciąż zaprzeczając.

— O pięć fotograficznych odbitek! Teraz już wiesz, ty partaczu?!

— A pan? Kim właściwie pan jest?

— Adres mam ci też podać? Wystarczy, że wiem, coś tu robił! Burska zginęła przez ciebie, a Czepigę sam załatwiłeś, boś zaczął robić w portki! Dość tej paplani. Ostatni raz pytam: oddajesz dobrowolnie, czy też...

Przybysz wolno wstał z miejsca, ale Marco, który chciał pójść za jego przykładem, został przyciśnięty do krzesła z niedźwiedzią siłą. Poczuł, że opasuje go ramię podobne żelaznej obręczy.

— Oddajesz?

Ostatnim wysiłkiem, opanowując strach, odpowiedział ledwie dosłyszalnie:

— Nie mam co...

W następnej chwili wielka łapa opadła na jego usta, a człowiek w kapeluszu bez pośpiechu zbliżył się do niego. Wyciągnął z kieszeni płaszcz zwykle, długie sznurowadła, którymi związał mu z tyłu ręce. Dłoń przykrywająca usta cofnęła się, ale zanim zdołał wydobyc głos, szeroki kawał plastra przepasał mu wargi od policzka do policzka.

Przybysz stał pochylony nad nim i uśmiechał się ironicznie. Zdjął kapelusz, ukazując gołą, bez jednego

włosa czaszkę. W jego rękę błysnął nikiel czązków, jakich używają manikiurzystki do obcinania paznokci.

Marco nie spuszczał pełnego przerażenia wzroku z tego narzędzia.

— Jak będziesz chciał mówić, kiwnij głową, bo stracisz powieki... A na razie...

Potężne łapy przytrzymały uwięzionego, a rozwarte ostrza zbliżyły się do jego twarzy. Ciszy pokoju nie zamacał żaden dźwięk poza zwykłym szumem miasta dochodzącym spoza okiennych szyb. Marco raz i drugi poderwał ciało, a potem zaczął gwałtownie kiwać głową. Dwie strużki krwi spływały mu po policzkach.

— No, twardy to ty nie jesteś... — mruknął człowiek o łysej głowie i skinął na towarzysza. Ten ujął gardło jeńca w kleszcze palców, a drugą ręką brutalnie szarpnął za plaster.

Marco przez chwilę dyszał szybko, spazmatycznie łapiąc powietrze, zanim wyjąkał:

— W... w telefonie...

Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale widać zmienił zamiar, bo z determinacją zacisnął usta.

— W telefonie, mówisz? No, zobaczymy...

Białomski, który po pewnych zabiegach kosmetycznych posłużył się tym razem dowodem na nazwisko „Chwaścik”, wyjął scyzoryk, otworzył go i sięgnawszy po aparat ujął dłoń tak, by słuchawka nie spadła z widełek Obrócił go dnem do góry i odkręcił śrubki umacniające dolną pokrywę.

Już rozumiał, dlaczego przystana przez niego kobieta

nie odkryła tej kryjówki. Po prostu zabrakło jej wyobraźni, by wziąć pod uwagę taki właśnie schowek.

Dokoła wewnętrznej aparatury tkwiły przyklejone do ścianek obudowy paski papieru kilkucentymetrowej szerokości. Z jednego ich końca wystawał ledwie widoczny skrawek nylonowej nitki, na który Białomski, zadowolony, że w końcu znalazł cenny materiał, nie zwrócił uwagi.

— Pociąłeś odbitki, aby łatwiej było je ukryć? — Odwrócił na chwilę głowę ku obserwującemu go Marco, a następnie wsunął palec i pociągnął za paski. Nie stawiały zbytniego oporu, toteż wkrótce trzymał je w ręku. Kiedy zaś przyjrzał się im dokładniej, zauważył strużki jakiejś cieczy, szybko spływającej po papierze. Jednocześnie paski zaczęły żółknąć, a następnie ciemnieć, z kolei zrobiły się brązowe i po chwili rozsypały mu się w rękę na czarny popiół.

Białomski nie okazała jednak złości, a jedynie zdziwienie.

— No proszę... — rzekł z odcieniem podziwu. — Jednak masz trochę oleju we łbie...

Zbliżył się do więźnia i ponownie nalepił mu zerwany plaster.

— Nie myśl, że ci się tak bardzo udał ten chemiczny kawał... — rzucił kpiąco — właśnie chodziło mi o to, aby zniszczyć zbędny materiał, bo konkurencji nie lubię. Teraz posiedź tu sobie, dopóki cię nie znajdą. No i przyjmij przeprosiny za tę niewygodę, ale muszę mieć czas na opuszczenie hotelu!

Wziął ze stołu kapelusz, rozejrzał się uważnie po pokoju i skinął na towarzysza.

Levy zatrzymał magnetofon i zdjął z uszu słuchawki. Rozmowa, którą usłyszał, i scena, którą sobie odtworzył w wyobraźni, zrobiły na nim takie wrażenie, że siedział jakiś czas bez ruchu, przejęty i wystraszony.

Czy iść do Marco i uwolnić go z więzów? W pierwszej chwili chciał to zrobić, ale przyszło mu na myśl, że w ten sposób stanie się jasne, że wszystko wie... Nie miał dostatecznie wiarygodnego pretekstu, pod którym, mógłby się zjawie w jego pokoju, tym bardziej że dotąd jeszcze tego nie robił. Jednocześnie pomyślał, że nic się tema draniowi nie stanie, nawet jeśli posiedzi jakiś czas skrepowany. Litować się nie było nad kim. Postanowił więc oczekiwać biernie na rozwój sytuacji. Zamknął magnetofon i schował go na spód szafy, a potem opadł na fotel i podparłszy głowę dłonią, zapatrzył się we wzór na dywanie pod stopami.

Wiedział teraz prawie wszystko — w każdym razie tyle, by orientować się w przebiegu sprawy. Ale kiedy osiągnął już swój cel, nie czuł triumfu dziennikarza, a zwykły, pospolity strach. Teraz musiał zastanowić się nad sytuacją.

Znał już prawdziwą twarz Marco, wiedział, że nie kierowała nim żyłka dziennikarska. Miał do spełnienia zadanie o zupełnie innym charakterze, co było dla Levy'ego po prostu przerażające. Ale oprócz lęku

nurtowała go także ciekawość. Kim był ten drugi — jego oprawca? Kim był ten człowiek, który w tak bezwzględny sposób wyrwał przeciwnikowi zdobycz? Usuwał konkurenta, to sam przyznał. A więc była to rywalizacja dwóch, przemysłowych wywiadów?

To, co wiedział o Marco, pozwalało przypuszczać, że reprezentuje on jakiś dziennik, być może finansowany przez sfery arabskie. Ale na czyje zlecenie działał ten drugi? A jeżeli CIA?

Levy poczuł przykry ucisk w żołądku, bo wyobraził sobie, co by się stało, gdyby wyszła na jaw jego dziennikarska ciekawość, która kazała mu pchać nosa w te ciemne sprawy. O sposobach działania ludzi z CIA słyszał sporo, wołał więc nie myśleć, jakie byłyby konsekwencje jego postępowania. Jednocześnie przyszło mu na myśl, że cały jego dotychczasowy wysiłek i całe ryzyko, jakie ponosił, poszły na marne, a poniesione wydatki może spisać na straty, gdyż jego redakcja z pewnością nie zaryzykuje opublikowania tego rodzaju materiałów.

Levy poprawił się w fotelu, wyciągnął nogi daleko przed siebie i nadal snuł swoje gorzkie rozważania.

W całej tej grze — i to na pewno — brał udział trzeci partner, kto wie, czy nie najważniejszy — miejscowa Służba Bezpieczeństwa. Słyszał o niej sporo, było więc oczywiste, że Marco czy ów drugi, nie znany mu osobnik, nie mogli tu grasować bezkarnie i niezauważenie. Zatem trzeba niestety zrezygnować z dalszego zajmowania się tą sprawą, gdyż w przeciwnym razie



niechybnie i on znajdzie się w kręgu podejrzanych, a nawet może zostać aresztowany przynajmniej do czasu wyjaśnienia roli, jaką odegrał w całej tej historii.

Przypomniała mu się wyprawa do domku przy korytarzach, która już wtedy omal nie skończyła się katastrofą. Bo kim mogli być ci dwaj, których wówczas spotkał wracając, jak właśnie nie funkcjonariuszami tej służby, skoro próbowali go ująć?

Zatem co robić? Po zastanowieniu Levy doszedł do wniosku, że ma do wyboru trzy drogi. Może iść dalej uchwyconym śladem bez względu na skutki, co jednakże byłoby szaleństwem. Pozostaje tylko alternatywa: albo zgłosić się do miejscowych władz i powiadomić je o rezultatach swojej akcji, albo poniechać dalszych dociekań, nabrać wody w usta i jakby nigdy nic wrócić do zwykłych dziennikarskich zainteresowań i czynności.

Zgłosić się do władz? Rozpoczną się wówczas dociekliwe przesłuchania, trzeba będzie gęsto się tłumaczyć, na przykład z umieszczenia tego mikrofonu za szybą przyległego pokoju... A gdyby przy okazji śledztwa, czego też nie można wykluczyć, Marco albo ten nieznajomy, znacznie od niego groźniejszy, dowiedział się, jak dalece jest zorientowany w całej sprawie? O tym Levy wolał już nie myśleć.

Zatem wycofać się po cichu z akcji, w miarę możliwości zacierając ślady dotychczasowego działania. Tak, to jest chyba jedyne wyjście...

Levy westchnął, gdyż była to gorzka decyzja, ale rozumiał, że nic innego mu nie pozostaje. I dobrze będzie,

jeśli okaże się, że nie jest to krok spóźniony...

Jak dalece obawa ta była słuszna, miał się przekonać już wkrótce.

Nagle zza ściany obok doszły go odgłosy głuchych uderzeń w drzwi. Levy nasłuchiwał przez chwilę, a potem wstał, by udać się na pomoc. Teraz mógł to zrobić bez ryzyka zdekonspirowania siebie.

Po uwolnieniu przez sąsiada zza ściany Marco nie był w najlepszym stanie psychicznym. Najpierw przeżył przyływ bezsilnej wściekłości, potem zaś popadł w rozdrażnienie, nie pozwalające mu na sen. Do rana nie zmrużył oka.

W ciągu pół godziny stracił przecież zdobycz, zapewniającą mu znaczne korzyści materialne, ale nie tylko — stracił również opinię agenta, któremu można poruczać samodzielne zadania, a wiedział, że taka degradacja jest bezpowrotna. Miał więc dość powodów, by pałać żądzą zemsty na nie znanym przeciwniku. Ale wciąż wracało pytanie — jak go odszukać? W ciszy nocy obmyślał drogi i sposoby, aby go znaleźć, ale wszystkie po głębszym rozważeniu okazywały się nie-realne, a nawet wręcz naiwne.

Wreszcie przyszło mu na myśli, że właściwie najlepszym, a nawet i jedynym sposobem będzie pomoc milicji. Należy zatem złożyć meldunek o dokonanym napadzie, ale oczywiście w celu rabunkowym... Będzie śledztwo, które chyba powinno dać rezultat, a wówczas

powstanie szansa, by zdobyć potrzebne nazwisko, no i adres... O innym rozwiązaniu nie ma co myśleć, bo za mało jest czasu na wyrobienie sobie odpowiednich kontaktów. W rezultacie ten sposób wyjścia z impasu niemal go rozbawił. Nie zaszkodzi też głośno ponarzekać na brak należytej opieki nad cudzoziemcami. To powinno zdopingować kogo trzeba i przyspieszyć działanie...

Z samego rana włożył więc do aparatu fotograficznego siedem studolarowych banknotów — prawie cały ogłoszony na granicy zasób waluty, aparat zaś z kolei starannie zapakował i udał się z nim na pocztę, by nadać paczkę pod własnym adresem.

Paczka powinna iść dwa dni, potem postara się, by nie zastała go w hotelu, a z pozostawionym awizem zgłosi się dopiero po tygodniu. W ten sposób pozbędzie się wartości zgłoszonych jako zrabowane, co dla zachowania ostrożności należało uczynić.

Po nadaniu paczki pierwszym autokarem udał się do Instytutu i w sekretariacie złożył meldunek o napadzie.

Wywołał nim poruszenie i konsternację. Złożono mu wyrazy ubolewania, natychmiast poszły w ruch telefony, a zaraz potem poproszono go, by wrócił do hotelu w celu dokonania formalnego zgłoszenia specjalnym wysłannikom władz śledczych, którzy do niego przybędą.

Wiadomość o złożonej skardze dotarła natychmiast do kapitana Molskiego, a ten z kolei porozumiał się z

majorem Szerudą. Ustalono, że kapitan, jadąc do Marco, zabierze po drodze porucznika Łubę, który weźmie udział w przesłuchaniu.

Zniszczenie odbitek za pomocą środków chemicznych, do czego sam się przyczynił własną nieuwagą, zbytnio Białomskiego nie zmartwiło. Celem bowiem jego wizyty było nie tyle uzyskanie ich dla siebie, ile wyeliminowanie z gry konkurenta. W ten sposób odzyskał pełną wartość — już teraz jedyny — tekst zdobyty przez niego. Ten był ukryty w wałku maszyny do pisania sekretarki Wierzby. Znajdowała się tam bowiem czuła, elektronowa aparatura, która na cienkiej jak bibułka taśmie rejestrowała specjalnymi znakami, wystukiwane słowa.

Był więc z siebie zadowolony. Teraz będzie mógł odpocząć; na jego konto w zagranicznym banku wpłynie znaczna wpłata, a kiedy jego szefowie z CIA pozwolą na opuszczenie kraju, będzie mógł korzystać z owoców dotychczasowego trudu.

Sięgając myślą wstecz, przypomniał sobie ten dzień i tego człowieka, którego ujrzał wtedy pierwszy raz. Już nigdy więcej zresztą go nie spotkał.

Człowiek ów zgłosił się do niego w najczarniejszej chwili, kiedy nadużycia, których dokonał, mogły wyjść na jaw lada dzień. I wówczas stanął przed alternatywą: albo zadeklarowanie gotowości do współpracy w zamian za pomoc finansową, albo aresztowanie i więzienie. Żądania nieznajomego były początkowo minimalne,

jedynie deklaracja, którą miał podpisać, niedwuznacznie określała rodzaj jego usług. Nie zawahał się jednak przed złożeniem podpisu, gdyż groźba więzienia wydawała mu się o wiele bardziej przerażająca.

W miarę upływu czasu rosły wymagania mocodawców, ale rosło też jego doświadczenie. Wreszcie zlecono mu to ostatnie zadanie i teraz, kiedy je wykonał, pozostawało tylko czekać na specjalnego wysłannika, któremu miał przekazać materiał.

Termin przybycia owego człowieka już się zbliżał i należało spodziewać się, że da on o sobie znać lada dzień.

Tego popołudnia Białomski został więc w biurze po godzinach urzędowania, skarżąc się na nadmiar pracy. Kiedy gmach opustoszał, odczekał jeszcze jakiś czas, a potem wstał zza biurka. Minęła już czwarta i wszędzie panowała cisza. Chwilę nasłuchiwał, wreszcie wyszedł na korytarz i skierował się ku schodom prowadzącym na pierwsze piętro, gdzie znajdował się gabinet profesora Wierzby.

Jak przypuszczał, drzwi były zamknięte, ale własny klucz od tego pokoju miał już od dawna. Otworzył więc drzwi, potem zamknął je za sobą, również na klucz, i ruszył w stronę biurka Burskiej, przy którym teraz siedziała jej następczyni. Przyszło mu w tej chwili na myśl, że dotąd nie nawiązał z nią bliższego kontaktu, postanowił więc błęd ten naprawić w najbliższej przyszłości.

Siadł w fotelu, bez pośpiechu wyciągnął górną szufladę i wsunął rękę pod blat. Jakiś czas, szukał palcami

ukrytej tam zdobyczy, ale palce natrafiły tylko na odgięte druty. Tekturowej tuby nie było.

Zaskoczony, zaczął szukać już nerwowo, potem schylił się, obejrzał odgięte zaczepy i jeszcze raz sprawdził zawartość szuflady z nikłą nadzieją, że może wałek sam spadł i leży gdzieś na jej dnie. Ale i tu tekturowej tuby nie było.

Nie ulegało wątpliwości — została zabrana. Z czołem zroszonym potem i drgającymi nerwowo wargami odchylił się na oparcie fotela i zapatrzył przed siebie.

Wstrząs był silny i załamał go zupełnie. Tyle wysiłku, kosztów, ryzyka! Ale najważniejsze w tym wszystkim: co stało się z wałkiem? Kto go zabrał? Czy był to przypadek, czy celowe działanie?

Jeśli znalazca był nieświadomy wagi odkrycia, to jeszcze pół biedy. Strata była wielka, ale przynajmniej istniała nadzieja odzyskania zguby. Ale jeśli wałka szukano specjalnie? Co wtedy? Znaczyłoby to, że zawisła nad nim groźba zdemaskowania, zaś strata była bezpowrotna. Dowodziłoby to również...

Białomski zaczął szczegółowo analizować sytuację. Wnioski zaś, do których doszedł, nie były wesołe. Należało przewidywać najgorsze i działać natychmiast. Wsunął szufladę na miejsca i wstał zza biurka.

A więc tu siedziała Burska? I już nie żyje. I Czepiga też. Swoją drogą to dziwnie pechowa sprawa... Kosztowała dwa ludzkie istnienia, a kto wie, co teraz czeka jego. W chwili gdy myślał o Czepidze, przypomniały

mu się jego ostatnie słowa. Zaskoczony, znieruchomiał na chwilę. To byłaby jednak jakaś szansa... Ostatnia już, ale zupełnie prawdopodobna... Panna Targoń wprowadzie wyjechała, to raczej powinno ułatwić zadanie, ale też i zdawał sobie sprawę, jak pogorszyły się warunki dalszego działania z chwilą, kiedy jego rola została zdekonspirowana i cel zamierzeń ujawniony. Nie miał jednak wyboru — bał się aresztowania, ale silniejszy był strach przed odległymi mocodawcami. Jeśli nie wykona zadania, nie ma co myśleć o ucieczce i wydostaniu się za granicę. W najlepszym razie zostanie pozostawiony sam sobie, a to już oznaczało nędzę i groźbę ekstradycji.

Że też dopuścił do zniszczenia tamtych odbitek! Ale kto mógł przewidzieć, że i on utraci swą zdobycz? Cholerny pech, a może zbytnia beztroska,...

Białomski nie należał jednak do ludzi tracących czas na roztrząsanie tego, co minęło.

Należało przede wszystkim ostrzec Dekturę. Korciło go jeszcze, by wy badać tę pannę Imak, ale po namyśle doszedł do wniosku, że jest to zbyt niebezpieczne, a rozmowa wiele mu nie da. Zresztą były do załatwienia sprawy pilniejsze.

Zamknął drzwi sekretariatu, wrócił do siebie, zabrał osobiste rzeczy, sprawdził szuflady biurka, czy nie zostały jakieś notatki lub numery telefonów, i wyszedł z Instytutu.

Zbliżając się do mieszkania Dekтуры, jak zwykle od strony podwórza, dostrzegł, że stojący w oknie biały świecznik został przesunięty na lewą, stronę co

ostrzegało przed niebezpieczeństwem. A więc Dekurę zapewne już zatrzymano i należało przypuszczać, że w mieszkaniu ktoś czuwa. Białomski zawrócił. Teraz wiedział, że i do siebie pójść nie może. Ale miał inne mieszkanie, przygotowane na wypadek takiej właśnie sytuacji.

## Rozdział 12

Zaraz po powrocie z hotelu porucznik Łuba zgłosił się do majora.

— Siadaj i mów! — Szeruda wskazał mu jego zwykłe miejsce po drugiej stronie biurka.

— Relacja Marco wygląda następująco — rozpoczął porucznik. — Było około dwudziestej drugiej, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Weszło dwóch mężczyzn. Jeden zbudowany atletycznie i, jak się okazało, obdarzony dużą siłą fizyczną, drugi raczej szczupły, średniego wzrostu, ubrany w szarozielony płaszcz i kapelusz, którego nie zdejmował przez cały czas rozmowy. Kiedy go jednak w pewnej chwili zdjął, okazało się, że jest zupełnie łysy.

— Jakież inne cechy ich wyglądu?

— Ten pierwszy miał według określenia Marco twarz buldoga, drugi zaś rysy raczej regularne, zdradzające inteligencję, ale bez cech charakterystycznych...

— Dobrze, jedź dalej.



— Zażądali po prostu, aby opróżnił kieszenie. Próbował protestować, a nawet doszło do szarpaniny. Napastnicy mieli przewagę fizyczną, szybko więc został obezwładniony, skrępowany, a na usta nalepiono mu plaster. Potem zaczęli się nad nim znęcać, żądając wydania schowanych pieniędzy, bo przy nim znaleźli tylko nieznaczną kwotę.

— Znęcać się? W jaki sposób?

— Podobno przy pomocy cążków do paznokci. Istotnie miał dwie rany w pobliżu oka. To go załamało i wskazał, gdzie ma ukryte pieniądze.

— Dużo mu zabrano?

— Siedemset dolarów i aparat fotograficzny za dwieście.

— A potem?

— Przywiązali go do krzesła i wyszli.

— Jak się uwolnił?

— Podsunął się z krzesłem do drzwi i kołysząc, uderzał o nie oparciem. W ten sposób ściągnął po pewnym czasie pomoc.

— Kto go znalazł?

— Sąsiad z położonego obok pokoju, dziennikarz z Wiednia. Nazywa się Levy, przyjechał również na symposium. Gdy usłyszał uderzenia, poszedł przekonać się, kto tak hałasuje.

— Przypominam sobie to nazwisko. Hm... Ciekawy zbieg okoliczności... Mam na myśli ten zjazd. A więc to nie służba hotelowa zjawiała się u Marco?

— Nie. W tym czasie korytarze są puste.

— Czy Molski nie orientuje się, kto o takim wygładzie mógł dokonać napadu?

— Nie, ale zabrał Marco ze sobą, aby pokazać mu albumy.

— To ciekawe... Coś mi tu nie gra. Wiemy, kim jest, Marco, i akurat jemu zdarza się taka przygoda?

— W zasadzie taka możliwość nie jest wykluczona, ale i mnie się zdaje, że coś się za tym kryje... Ale co?

— Właśnie: co? Taki napad wymaga przygotowań, na i rutyny. Kto z zawodowców poniósłby ryzyko bez uprzedniego rozeznania?

— A jednak byt skрэpowany i okaleczony...

— Odłóźmy teraz na bok te wątpliwości. Są jeszcze jakieś ważne szczegóły?

— Niczego więcej się nie dowiedziałem. Reszta to były utyskiwania i wyrazy oburzenia, że w naszym — jak powiedział — rzekomo cywilizowanym kraju mogło dojść do napadu, i to w pokoju hotelowym! Temat ten rozwinął szeroko, narzekając na brak opieki nad zagranicznymi gośćmi...

— Tupet to on ma — pokiwał głową Szeruda i zadał kolejne pytanie: — A co mówi portier? Czy nic nie zauważył?

— Tego z nocnej zmiany nie było. Molski ma go jeszcze przesłuchać. Ustaliliśmy też, że zbada, kto zameldował się względnie wymeldował w okresie napadu.

— A Levy? Czy jego też nie było w hotelu?

— Był. I tu mam parę ciekawostek, które zostawiłem na deser. Pamiętasz tego ptaszka, którego ścigałem owego wieczoru przy tenisowych kortach?

— Chcesz powiedzieć, że to był on? Jesteś pewny?  
— Poznałem go od razu. Przez moment widziałem wówczas jego profil oświetlony latarnią. No i takie same okulary...

— Mam nadzieję, że nie zorientował się, żeś go, poznał?

— A jak sądzisz? — Łuba odpowiedział pytaniem, wyraźnie urażony.

— Co zeznał?

— Tak jak mówiłem. Usłyszał stukanie, poszedł do sąsiada i znalazł go obok drzwi przywiązanego do krzesła. Ale nie koniec na tym, bo zauważyłem w pokoju Marco coś ciekawszego...

Szeruda spojrzawszy wyczekująco na porucznika, bo ten przerwał na chwilę.

— Pierwsze, to nieco czarnego popiołu przy stoliku z telefonem — ciągnął porucznik. — Molski po otrzymaniu meldunku porozumiał się telefonicznie z hotelem i od razu zakazał ruszania czegokolwiek u Marco, więc sprzątaczkę ominęły jego pokój. Była to zatem pozostałość z poprzedniego dnia... albo wieczoru. Wygląda na to, że coś spalono.

— Zauważyłeś na stoliku jakąś zapalniczkę?

— Nie, ale mógł posłużyć się zapalniczką. Popiół oczywiście zebrałem, wziął go Molski do zbadania.

— Jak to wyjaśniał Marco?

— Oświadczył, że nie ma pojęcia, skąd się to wzięło.

— Dziwna odpowiedź. Zatem kto? Pokojówka?

No dobrze, co jeszcze, skoro to jest „pierwsze”?

— Kręciłem się trochę po pokoju, bo kazaliśmy Marco dokładnie odtworzyć sytuację. Przy tej okazji zobaczyłem za szybą okna mały mikrofon przymocowany gumową przyssawką.

Szeruda cicho gwizdnął.

— Jak to się stało, że sam go nie zauważył?

— Przyssawka została umieszczona w górnym rogu i jest widoczna dopiero po całkowitym odsunięciu zasłony okna. Jeśli tego nie zrobił i nie spojrzął jednocześnie w górę tak jak ja, zresztą przyznając, że zupełnie przypadkowo, mikrofonu nie mógł zobaczyć.

— Nie zorientowałeś się, w jaki sposób został tam umieszczony?

— Nie dałem po sobie poznać, że w ogóle coś zauważyłem, ale wychodząc przejrzałem książki meldunkowe. Otóż we wszystkich przyległych pokojach, to znaczy tych bocznych, jak i na piętrach, lokatorzy zmieniali się co jeden, dwa dni. Z jednym wyjątkiem: pokojem zajęтым przez naszego dziennikarza. Tylko on mieszka tam już blisko tydzień, a co ciekawsze, przeprowadził się, na swoje życzenie, z chwilą gdy zwolnił się pokój obok Marco.

— Hm... To istotnie ciekawe...

— Bardziej jak ciekawe, jeśli zestawimy fakty. Facet kręci się na podejrzanym terenie, mam na myśli mieszkanie Biernata, przeprowadza się do numeru w pobliżu naszego klienta, a u tego znajdujemy przyklejony mikrofon! Chyba dość?

— Istotnie dość! I moje uznanie, poruczniku. Trzeba

będzie pogadać z panem Levy, ale to załatwię już sam. Nie na próżno zakładał mikrofon. Musi wiedzieć, co naprawdę zdarzyło się w pokoju Marco. Wy natomiast zajmijcie się Białomskim, bo po znalezieniu tego wąłka nie możemy go spuszczać z oczu.

Dzwonek u drzwi rozległ się o dziewiątej rano. Pani Tomanek, wyrzekając pod nosem na intruza, poszła otworzyć.

Ujrzała na progu młodą dziewczynę o wydatnym biuście i niebieskich oczach, nie zdradzających jednak inteligencji, a raczej przebiegłość. Ale tak wnikliwych rozróżnień pani Tomanek nie zwykła czynić, natomiast dziewczyna na pierwszy rzut oka podobała się jej, bo nie była umalowana i mówiąc skromnie spuszczała oczy. W rękach trzymała plastikową torbę, z której wystawało parę kolorowych szmatek i końce nożyczek.

— Przyszedłam do panny Amelii — dygnęła lekko.  
— Przyszyła mnie mamusia.

— Panny Amelii nie ma, wyjechała — oświadczyła gospodyni, ale nie usiłowała zamknąć drzwi, trochę zaciekawiona celem wizyty.

— Och, mój Boże! — zawołała z żalem dziewczyna. — A więc spóźniłam się!

— A z czymże to panienka się spóźniła?

— No, ze swoim przyjściem... Bo widzi pani, kiedy panna Amelia przerabiała ostatnio u nas sukienki, bo mamusia jest krawcową, zamówiła kostiumik dla swego pajacyka. Obiecałam więc, że zajdę, by wziąć miarę.

Wprawdzie miałam być w zeszłym tygodniu, ale tak się złożyło, że mogłam się wybrać dopiero dziś!

— Cóż ja na to poradzę... — pani Tomanek wzruszyła ramionami.

Dziewczyna zawahała się.

— A może jednak... Może pani pozwoli, skoro już tu jestem, że zrobię przymiarkę bez panny Amelii? Miałabym wyrzuty sumienia, że przez spóźnianie zrobiłam jej przykrość. Tak chciała mieć ten strój dla swojej ulubionej lalki...

Pani Tomanek uśmiechnęła się wyrozumiale.

— Tak, ona czasami jest bardzo dziecinna. Ale niestety, moja droga... Wzięła swego pajacyka ze sobą.

— Wzięła ze sobą? — powtórzyła dziewczyna z wyraźnym rozczarowaniem. — No trudno, nic już na to nie poradzę... — Chciała odejść od drzwi, ale jeszcze się zatrzymała. — W takim razie może bym napisała do niej parę słów z przeprosinami, jak pani sądzi? — Uniosła niebieskie oczy na gospodynię, patrząc pytająco.

— Jeśli chcesz, to napisz, dlaczego nie — zgodziła się pani Tomanek.

— A jaki jest jej adres?

— Wyjechała do Oliwy. Leśna osiem, u Złudów.

— Bardzo pani dziękuję — dziewczyna dygnęła grzecznie i zawróciła. Gospodyni zaś zamknęła za nią drzwi i skierowała się do kuchni, zapominając wkrótce o tej wizycie.

Szeruda postanowił rozmowę z dziennikarzem — przynajmniej tę pierwszą — odbyć nie w biurze, ale u niego w hotelu, między innymi i dlatego, by na miejscu zorientować się w sytuacji. Natychmiast po meldunku, że Levy wrócił do siebie, wybrał się do hotelu.

Jadąc obserwował uliczny ruch i zastanawiał się jednocześnie, w jaki sposób przeprowadzić tę rozmowę, która z wielu względów nie była łatwa. Należało bowiem skłonić partnera do szczerości, a jako dziennikarz będzie zapewne ostrożny w swych wypowiedziach i zaprzeczy wszystkiemu, co wciągałoby go w sprawę...

Witając się z gospodarzem już w numerze hotelowym Szeruda okazał mu legitymację służbową. Fakt ten w sposób widoczny zdeprymował Levy'ego. Jego zmieszanie tak rzuciło się w oczy, że major z pewnym trudem udawał, że tego nie dostrzega.

— Proszę... proszę... niech pan siada... — Ręka wskazująca jeden z foteli drżała wyraźnie.

— Skorzystam z pana propozycji, gdyż przypuszczam, że rozmowa zajmie nam nieco czasu — rzucił lekko Szeruda. Usiadł i przez chwilę przyglądał się, jak Levy nieco bezradnie kręci się po pokoju.

— Dlaczego pan nie siada? — spytał przyjacielsko. Czy łatwiej się panu rozmawia na stojąco?

— Nie, skąd... Drzemałem i po prostu nie mogę tak od razu przyjść do siebie...

Dziennikarz zdał sobie widocznie sprawę z zachowania

i usiłował je usprawiedliwić. Wreszcie opanował się jednak i z wymuszonym uśmiechem zajął drugi fotel.

— A więc, słucham pana... Co pana majora skłoniło do zainteresowania się moją osobą?

Szeruda jakiś czas przyglądał się mu ostentacyjnie i bez słowa. Odezwał się dopiero w chwili, kiedy Levy odwrócił wzrok, i powtórzył pytanie już mniej swobodnym tonem.

— Czym zatem mogę służyć?

— Zastanawiałem się — major podjął rozmowę — czy wezwać pana do siebie, czy też pogawędzić tutaj, raczej na pół prywatnie. Jak pan widzi, wybrałem tę drugą ewentualność. Oczywiście na razie.

Levy obrzucił majora badawczym spojrzeniem spoza szkieł okularów i milczał wyczekująco.

— Ale warunkiem utrzymania tej decyzji musi być pana szczerość, panie Levy Zupełna, całkowita szczerość, oparta na przeświadczeniu, że to, co pan powie, pozostanie wyłącznie między nami.

— Przyjmuję to do wiadomości, ale jak dotąd nie wiem, czego ma ta szczerość dotyczyć? — Levy już się opanował i w jego głosie pojawił się akcent ironii.

Szeruda jednak mówił dalej, jakby nie słyszał tego pytania:

— Równie konieczne jest, by i pan zatrzymał przy sobie treść naszej rozmowy, a zwłaszcza nazwisko człowieka, którego będzie dotyczyła. Wymienię panu to nazwisko, bo tego uniknąć się nie da, ale radzę je potem jak najprędzej zapomnieć. Chodzi mi o pańskiego



sąsiada, pana Marco. Jest mi wiadomo, że interesował się pan jego osobą. Dlaczego?

Wyraz twarzy pana Levy nie zdradzał niczego poza szczerym zdziwieniem.

— Panem Marco?! Ależ interesowałem się nim nie bardziej niż jakimkolwiek innym uczestnikiem narad!

— Zły start, panie Levy — stwierdził zimno Szeruda. — Ta taktyka może przysporzyć panu dużo kłopotów.

— Nie stosuję żadnej taktyki! — dziennikarz znów zaczął tracić panowanie nad sobą — Nic o tym człowieku nie wiem, nic nie mogę o nim powiedzieć!

— Wprawdzie przed złożeniem panu wizyty upewniłem się, że obecnie w obu przyległych pokojach nikogo nie ma, ale mimo to poproszę, by nie podnosił pan głosu. W przeciwnym razie skończymy rozmowę u mnie, a to będzie już wymagało protokołowania...

Levy obrzucił Szerudę wystraszoną spojrzeniem i zacisnął usta. Po chwili jednak odezwał się usprawiedliwiająco:

— Zdenerwowałem się, gdyż Marco nic, zupełnie nic mnie nie obchodzi...

— Widzę, że pan uparcie wypiera się tej znajomości, a to błąd, gdyż tylko potwierdza pan moje podejrzenia.

— Ależ ja nie...

— Dajmy spokój tym naiwnym zaprzeczeniem, panie Levy — przerwał mu Szeruda. — Pan koniecznie

chce się pogрузić, nie biorąc pod uwagę mojej... powiedzmy, wyrozumiałości...

— Oceniam to, panie majorze. I dlatego jest mi tym bardziej przykro, że nie mam nic do powiedzenia...

— Czego się pan boi? A może kogo? Zleceniodawców Marco?

Levy nachylił się raptownie do przodu, jakby chcąc się zerwać na nogi, ale po chwili zrezygnowany opadł na oparcie fotela

— Nie... nie boję się... Nikogo się nie boję — urwał, a potem dorzucił z determinacją: — Dlaczego miałbym się bać? O ile wiem, był on swego czasu dziennikarzem, a więc kolegą po fachu!

— Zatem coś jednak pan o nim wie? — Major przyłapał spłoszone spojrzenie Levy'ego, a kiedy ten szybko odwrócił je w bok, rzucił ugodowo: — Dajmy więc temu spokój. W zamian jednak miałbym małą prośbę. Jej spełnienie być może przemówi na pana korzyść.

— Ależ proszę! O co chodzi?

— Ż pewnych względów pragnę rozejrzeć się w tym pokoju. Chwilowo nie mam na to sankcji, więc muszę mieć pana zgodę.

— Rozejrzeć się tutaj? — Levy obrzucił Szerudę nieufnym spojrzeniem.

— Oczywiście może pan odmówić zezwolenia. Opóźni to nieco sprawę, a jednocześnie potwierdzi moje podejrzenia.

— Po takim oświadczeniu nie pozostaje mi oczywiście nic, innego, jak wyrazić zgodę! — prychnął ironicznie dziennikarz, — Proszę, niech się pan rozgląda,

nie mam nic do ukrywania! — Levy szerokim ruchem dłoni uczynił zapraszający gest.

Szeruda skinął głową i wstał z fotela, zastanawiając się, czym mógł posłużyć się Levy przy zakładaniu przyssawki?

By nie zdradzać jednak swego zainteresowania, obrzucił spojrzeniem ściany, zajrzał do łazienki, a następnie podszedł do stolika i przerzucił leżące na nim czasopisma. Potem zbliżył się do tapczanu i nachylił nad nocną szafką. Stała na niej butelka wody kolońskiej, zasobnik z gazem do zapalniczki, popielniczka, a obok nocnej lampki rozpoczęta paczka papierosów.

Z kolei wysunął szufladkę. Dostrzegł w niej aparat fotograficzny, parę kartoników zapasowych filmów, kilka kolorowych pocztówek, w głębi zaś połyskującą niklowaną rurkę.

Wyjął ją i jakiś czas obracał w palcach. Potępi zaczepił paznokciem o jeden z końców i po chwili z rurki zaczęły ukazywać się coraz węższe segmenty metalowego pręta podobnego do samochodowej anteny. — Samochodowa antena? — rzucił pytająco.

— Ehm... Coś w tym rodzaju...

— Przyjechał pan do nas samochodem?

— Nie... Ale zaplątała mi się pomiędzy innymi drobiazgami...

Szeruda zbliżył się do okna, otworzył je i wysunął pręt na zewnątrz, potem wychylony prowadził go wzdłuż muru, w stronę okna pokoju Marco.

Bez trudu dosięgnął miejsca, gdzie tkwiła mała

przyssawka ze śladami kurzu i deszczu. Ściągnął pręt i obrócił się ku dziennikarzowi.

— Gdzie magnetofon? — spytał prawie obojętnie, jakby otrzymanie wskazówki uważał za z góry przesądzone.

— A więc pan wiedział? Pan wiedział? — już zupełnie zgnębionym głosem wymamrotał dziennikarz.

— Gdzie magnetofon? — powtórzył pytanie Szeruda, nie zmieniając intonacji głosu.

Levy pełnym rezygnacji gestem wskazał szafę.

Istotnie, pod kilku brudnymi koszulami znalazł na dnie nieduże czarne pudełko. Postawił je na stole, podłączył do kontaktu i czekał cierpliwie, by obracające się szpule przewinęły taśmę. Potem nacisnął kolejny klawisz i wkrótce rozległy się wyraźne słowa: „Czy pan Filip Marco? Tak, czego... Czego panowie sobie życzą?” A potem, po krótkiej pauzie, rzucony ostro rozkaz: „Siadać!”

Szeruda z pochyloną głową przysłuchiwał się przebiegowi dialogu. Levy podniósł się z fotela i stanął przy nim, wpatrując się ponurym wzrokiem w obracające się krążki,

Kiedy dialog się skończył, major wyłączył aparat, zamknął pokrywę i rzucił krótko:

— I co teraz, panie Levy? Nadal pan nie wie, co porabia Marco?

Już wyrażenie zgody na penetrację pokoju dowodziło, że dziennikarz zorientował się na tyle w sytuacji, by dostrzec brak szans w upieraniu się przy obranej wersji. Toteż na pytanie majora westchnął tylko i mruknął z rezygnacją:

— Istotnie, to było głupie... Ale miałem cień nadziei, że może mi się uda wycofać po cichu...

— Wycofać? Z czego?

— Ze sprawy, w którą się wpakowałem. Właśnie ta rozmowa uprzytomniła mi, co naprawdę robi tu Marco.

— Po prostu wycofać się, i to po cichu?

— Uważałem, że tak będzie najlepiej. Wolałem nie narażać się na podejrzenia z waszej strony.

— I sądził pan, że to się uda? — spytał ironicznie Szeruda. — Na czyje zlecenie pan działał?

— Jak to: na czyje? — Levy okazał szczerze zdziwienie — Czy dziennikarz musi czekać na czyjeś zlecenie, jeśli wpada na trop jakiejś ciekawej sprawy?

— A pan wpadł na taki trop?

— Wszystko na to wskazywało.

— Jak to się stało? Proszę o bliższe szczegóły.

Levy wyciągnął z marynarki chusteczkę, zdjął okulary i zaczął nerwowo przecierać szkła. Potem nałożył je, znów zdjął i jakby zmęczony tymi czynnościami opadł na fotel.

— Włóczę się nieco po świecie — rozpoczął wyjaśnienia — bo ostatnio temat nafty stał się bardzo aktualny, a właśnie ta dziedzina stanowi moją specjalność. W czasie ostatniego pobytu w Rijadzie poznałem pewnego jegomościa o nazwisku Orsten. Potem spotkałem go w jakimś lokalu wiedeńskim, znajomość jednak była tak przelotna, że jeszcze wówczas nie wiedziałem, jak się nazywa.

W Wiedniu zaś tak się złożyło że był ze mną kolega z bejruckiego „El Hadaf”, który zwrócił na niego moją

uwagę jako dziennikarza o wyjątkowym nosie do sensacyjnych spraw. Ale kiedy spotkałem Orstena tutaj, wyraźnie mnie nie pamiętał. Uznałem za wskazane nie przypominać mu tego przelotnego spotkania, bo stwierdziłem, że występuje pod innym nazwiskiem. Ale ja pamiętałem usłyszaną o nim opinię, więc postanowiłem nie spuszczać go z oczu w nadziei, że może mnie naprowadzić na ślad jakiejś ciekawej sprawy. Dlatego starałem się utrzymywać z nim kontakt, a w rezultacie udało mi się podsłuchać i nagrać rozmowę, którą przed chwilą pan słyszał. Jednak nie spodziewałem się, co z naciskiem podkreślałem, że ciekawość doprowadzi mnie aż tak daleko. Uświadomiłem sobie raptem, że wpłatałem się w jakąś poważną aferę... Postanowiłem więc wycofać się.

— I nie uznał pan za konieczne, by powiadomić o tym odpowiednie władze?

Levy uśmiechnął się z zażenowaniem.

— Uznaję swój błąd... Chciałem siedzieć cicho, aby nie narażać się na przesłuchania, no i podejrzenia, czy aby mówię prawdę.

— Istotnie, decyzja godna uznania — mruknął Szeruda — wieszuję panu. A teraz będą przykrości, i to spore przykrości, z powodu zatajenia ujawnionego przestępstwa.

— Liczę na pana wyrozumiałość, panie majorze. Proszę zrozumieć moje położenie jako cudzoziemca...

— Które nie przeszkadzało panu jednak w zorganizowaniu podsłuchu i innych poczynaniach. Zresztą

nie ja będę o tym decydował. A tę szpulę zabieram.

— Czy mogę jednak liczyć na dyskrecję?

— To wręcz śmieszna obawa, biorąc pod uwagę charakter sprawy. Ze swej strony radzę panu, aby trzymał się pan powziętej decyzji i siedział cicho. Przede wszystkim we własnym interesie...

## Rozdział 13

Wizyta dziewczyny w domu profesora nie dała spodziewanego rezultatu. Było to już drugie niepowodzenie, może nie tak dramatyczne jak zniknięcie tekturowej tuby z wałkiem od maszyny, ale równie dotkliwe.

Zdobycz, na którą polował, wymknęła się z terenu jego dotychczasowego działania, ale i teren ten stał się zbyt niebezpieczny. Poruszanie się po ulicach groziło każdej chwili ujęciem, bo nie wątpił, że po zatrzymaniu Dektury i on będzie poszukiwany. Opuszczenie miasta stawało się więc i tak sprawą konieczną.

Jeśli jest poszukiwany, jego rysopis mają wszyscy wywiadowcy. Na to była ostatecznie rada, bo został wyposażony w najnowsze środki do charakteryzacji. Natomiast musiał zrezygnować z jazdy własnym samochodem, gdyż jego numer rejestracyjny łatwo było ustalić

Na szczęście dla Białomskiego garaż, w którym

trzymał swego fiata, znajdował się w pobliżu warsztatu samochodowego, gdzie zwykle dokonywał bieżących napraw. Postanowił więc podjąć ryzyko krótkiego przejazdu, tym bardziej że trasa wiodła mało uczęszczanymi ulicami.

Wziął ze sobą dość mocno wypakowaną teczkę i szczęśliwie dotarł do garażu. Tu dokonał szczegółowego przeglądu samochodu, usuwając z niego wszystko, co nie stanowiło zwykłego wyposażenia, sprawdził schowki, wytrząsając z nich zwłaszcza wszelkie skrawki papieru, mapę samochodową schował do kieszeni i następny kwadrans poświęcił na manipulowanie przy motorze.

Właściciela warsztatu, pana Guzę, Białomski szczęśliwie zastał na miejscu. Kiedy wysiadł z wozu, ten podszedł do niego z wyciągniętą na powitanie ręką.

— Jak się mamy, panie Białomski? Znowu coś nie w porządku?

— Chyba z zapłonem, a może tylko prądnica. Cholera wie! Niech pan sprawdzi.

— Dobrze, zrobi się. Proszę go postawić przy tym żuku.

— To nie na poczekaniu, mistrzu? — zafrasował się Białomski. — Za godzinę muszę być w Pruszkowie.

— Na poczekaniu pracują tylko fryzjerzy... Nawet ustalenie, co mu jest, może potrwać dłużej. Przecież ma pan pociągi. W tym kierunku chodzą często.

— Pewnie, że mam! Ale kiedy będę na miejscu?! A sprawę mam pilną jak diabli!



— Cóż ja panu poradzę? — Guza podrapał się w tył głowy, zsuwając czapkę na czoło.

— Niech mi pan pożyczy swoją syrenę. Za dwie godziny odstawię ją panu na miejsce. Trzy stówy, zgoda? — Białomski nie czekając na odpowiedź wyjął portfel i podał banknoty.

— Za te pieniądze może pan mieć taksówkę...

— I czekać w kolejce, zanim nadjedzie? Nie, na to nie mam nerwów! — oświadczył stanowczo Białomski.

— No dobra, bierz pan — Guza wziął pieniądze. — Ale nie na długo, bo musiałbym do domu wracać pieszo!

— Zrób pan mój wóz, a będzie czym! — zażartował Białomski, ale Guza nie mógł zrozumieć ukrytego sensu tej rady.

— Karta jest w kieszeni lewych drzwiczek — poinformował go Guza, wręczając kluczyki.

Białomski wrzucił teczkę do samochodu i wyciągnął rękę na pożegnanie.

Jadąc zastanawiał się, jak długo będzie mógł względnie bezpiecznie korzystać z syreny. Guza nie otrzyma auta na czas, ale na pewno będzie cierpliwie czekał do wieczora, może nawet do rana, i dopiero potem zamelduje o uprowadzeniu samochodu. Nie będą wprawdzie wiedzieli, w jakim kierunku pojechał, ale numer wozu zostanie przekazany wszystkim posterunkom. Nie mógł więc korzystać z niego dłużej jak do końca dnia.

Minęła już pierwsza w południe. Postanowił, że syreną będzie jechał do szóstej, a więc porzuci ją już gdzieś w okolicach Gdańska.

Jazda odbywała się bez zakłóceń. Był piękny, słoneczny dzień schyłku lata. Zamglony horyzont znaczyła nieco ciemniejsza tasiemka lasu, po obu stronach asfaltowego pasa szosy ciągnęły się pola, a wśród nich między kępami zielonych drzew białe ściany domów. Szyby ich okien lśniły refleksami słonecznego blasku. Na przyżółkłych już nieco pastwiskach schylały łby czarno-białe krowy.

Białomski, zatopiony w myślach, nie zwracał uwagi na piękno krajobrazu. Zastanawiał się nad dalszą drogą, przypominając sobie kolejne miasta, które znajdowały się na jego trasie.

Po minięciu Brodnicy skierował się na Kwidzyn, by skryć się w lasach znajdujących się przed Malborkiem. Istotnie za, Sztumem znalazł to, co mu było obecnie potrzebne: obie strony szosy otaczał gęsty, piękny las.

Skręcił w pierwszą napotkaną boczną drogę i jechał nią jeszcze przez pewien czas, z wyciem silnika pokonując liczne dziury i błotniste kałuże. Wreszcie, wykorzystując naturalny spadek terenu, wjechał możliwie najdalej między drzewa i gęste zarośla.

Nie opuszczał jednak wozu. Sięgnął po leżącą obok teczkę, wyjął z niej parę słoików oraz inne przybory i zabrał się do roboty. Kiedy ją wreszcie skończył, przez dłuższy czas przyglądał się w lusterku swojej twarzy, badając dokładnie każdy szczegół dokonanych w niej zmian. Ale peruka, przystrzyżone na sposób angielski wąsy i inne drobniejsze szczegóły nie wzbudzały najmniejszych podejrzeń. Na kilka dni miał teraz

zapewnioną nową twarz.

Następnie wyjął inny dowód osobisty i porównał zdjęcie z własną twarzą po charakteryzacji. Zadowolony zapakował teczkę z powrotem, a nowy dowód włożył do portfela. Przejrzał potem jego zawartość, wyjął parę nie zużytych warszawskich biletów tramwajowych, a po zrewidowaniu kieszeni wyjął z nich wszystkie notatki i papiery. Złożył to razem ze starym dowodem i dopiero teraz wysiadł z samochodu.

Wszedł pomiędzy drzewa, zebrał nieco suchych liści i szyszek na małą kupkę i na jej wierzch położył dowód i papiery. Potem przytknął do liści zapalniczkę i czekał, aż rozpalilo się małe ognisko. Kiedy pozostała już tylko żarząca się kupka popiołu, rozrzucił nogą resztki i ruszył z powrotem ku szosie.

Do Malborka dotarł autostopem, skierował się na dworzec i kupił bilet do Gdańska.

Białomski znikł, jakby go pochłonęła ziemia. Do mieszkania nie wracał, do pracy nie stawiał się, a zasadzka u Dektury nie dawała rezultatu. Szeruda nie wątpił, że był to skutek zabrania z kryjówki wałka od maszyny. Bezpośrednie następstwo tych dwóch faktów dowodziło tego jasno. Dowodziło równocześnie czegoś bardziej ważnego — udziału poszukiwanego w sprawie Wierzby. Major zadawał sobie pytanie, czy to właśnie nie Białomski przetrząsnął mieszkanie Burskiej.

Trudno było to rozstrzygnąć, gdyż i zatrzymany Dektura, poza przyznaniem, się do zorganizowania Czepidze fałszywego alibi, wypierał się stanowczo bliższego kontaktu z Białomskim. I to tak stanowczo, jakby uważał, to za swój słaby punkt, którego trzeba bronić najmocniej. Przyznając się do udzielenia fałszywego alibi wyjaśniał, że zrobił to ulegając błaganiu Czepigi, z którym się przyjaźnił, zaś dwaj pozostali uczestnicy rzekomej gry w pokera zrobili to za jego z kolei namową. O innych sprawach nie wiedział, udziału w nich nie brał. Owszem, był z listą u Marco, rozmawiali o tym i owym, ale rozmowę tę prowadził bez żadnych ubocznych intencji. Nie było to więc dużo, pozwalało jedynie na zatrzymanie Dekтуры pod zarzutem fabrykowania fałszywego alibi dla Czepigi.

Ogłoszono stan wzmożonej czujności, poszły teleksy do wszystkich placówek MO, wzmocniono obserwację portów morskich, lotniczych, kolejowych i autobusowych, za zgodą prokuratora pod dano szczegółowej rewizji dotychczasowe mieszkanie Białomskiego, jednak bez rezultatu. Nie znaleziono nic, co pomogłoby ustalić jego obecną kryjówkę.

Równie bezskuteczne były dziesiątki przesłuchań ludzi, z którymi stykał się w ostatnim czasie. Jednocześnie Szeruda szukał gorączkowo dodatkowych informacji, co robił lub z kim widywał się zbiegły bezpośrednio przed swoim zniknięciem.

Pozostawała jeszcze taśma magnetofonowa Levy'ego. Badania spektrograficzne wykazały, że jeden z

głosów był głosem Marco. Ale kim byli dwaj pozostali? Jeden z nich nie odezwał się ani razu, a porównać drugiego głosu z głosem Białomskiego nie było można z braku materiału do takiego porównania.

Natomiast Łuba i panna Imak, tak samo zresztą Skiba, z którymi Szeruda kolejno przesłuchiwał taśmą, stwierdzali stanowczo, że był to bez wątpienia głos Białomskiego.

A więc przeciwnik był już znany, ale gdzie się ukrył?

Ta zagadka została częściowo wyjaśniona. Wpłynął bowiem meldunek od niejakiego Guzy, właściciela warsztatu samochodowego, że Białomski poprzedniego dnia wypożyczył od niego syrenę, którą miał odstawić po dwóch godzinach. Nie wrócił jednak do chwili obecnej, to znaczy do ranka następnego dnia. Jednocześnie Guza meldował, że u niego w warsztacie stoi fiat pozostawiony do reperacji przez tegoż Białomskiego.

Wysłani wywiadowcy zabrali fiata, ale szczegółowa jego rewizja nic nie dała. W wozie nie było niczego, nawet najmniejszego skrawka papieru.

Tego samego dnia wieczorem dowiedziano się, co stało się z syrenką. Komenda MO ze Sztumu zawiadomiła Komendę Główną o znalezieniu wozu w lesie.

Białomskiego nie było więc w Warszawie, wszystko wskazywało na to, że podąża ku wybrzeżu. A więc tą drogą chce uciec?

Jednak niestety mało było widoków na ujęcie go,

jeśli zachowa dotychczasową ostrożność. A major obawiał się, że ją zachowa.

I tu nieoczekiwanie nadeszła pomoc. Kiedy o siemdemnastej zaszedł jeszcze do biura, dowiedział się, że był do niego telefon. Niejaka Tomanek twierdziła, że major ją zna, i prosiła, by do niej zadzwonił. Połączył się natychmiast.

— No tak, dzwoniłam — potwierdziła gospodyni profesora Wierzby — bo wpadła mi w ręce ta kartka, co mi ją pami major pozostawił. — Mówiła rozwlekłe, ale Szeruda słuchał cierpliwie. — Więc przyszło mi do głowy, że jak obiecałam, to muszę dotrzymać...

— Zaszło coś ciekawego? — przerwał jej wreszcie.

— Bo ja wiem... Sama nie wiem, czy to takie ciekawe... Ale była tu u mnie dziewczyna i pytała o panienkę...

— O co jej chodziło? — zainteresował się Szeruda.

— Mówiła, że panna Ama zamówiła ubranie dla swego pajacyka, więc przyszła zrobić przymiarę...

— Pajacyka? — Szeruda przypomniał sobie nagle. — Tej maskotki?.

— Tak, co go dostała od Burskiej...

— Od Burskiej? — W umyśle majora zapaliło się czerwone światełko. — Przypominam już sobie! Jak ta dziewczyna wyglądała?

— Blondynka z niebieskimi oczami, a cycki, z przeproszeniem, to miała jak kufle do piwa.

To już nie było czerwone światełko, a alarmowy

dzwonek, toteż Szeruda rzucił ze źle maskowanym podnieceniem:

— Zadzwońię do pani jeszcze raz. Proszę czekać na mój telefon!

Odłożył słuchawkę i sięgnął po teczkę Krystyny Cwierteń. Poza jej zeznaniem znalazł tam raport środowiskowy i odpis meldunku sierżanta Głuszy. Istotnie, tak jak sobie przypominał, był w nim rysopis dziewczyny zgodny z opisem pani Tomanek.

Z kolei połączył się z kapitanem Molskim,

— Czy wiecie, gdzie obraca się ta dziewczyna, którą znalazł Głusza? — rzucił bez wstępów po zgłoszeniu się kapitana.

— Melduje się u nas co dzień o siedemnastej.

Szeruda spojrział na zegarek.

— Jest już blisko pół do szóstej. Czy da się ją osiągnąć natychmiast?

— Sądzę, że tak. Jest wam potrzebna?

— I to pilnie. Będę czekał u siebie albo na nią, albo na wiadomość.

Następnie połączył się ponownie z panią Tomanek i uprzedził, że wysyła po nią samochód. Gospodyni wyraziła gotowość przybycia, wyraźnie dumna z zainteresowania jej osobą.

Wkrótce też zajęła fotel w gabinecie Szerudy i w milczeniu, ale z godnością oczekiwała na wyjaśnienie powodu wezwania.

Po dziesięciu minutach rozległo się pukanie, do drzwi i ze zdziwieniem ujrzała w towarzystwie milicjanta dziewczynę, którą widziała parę dni temu.

— Czy to z tą panienką pani rozmawiała? Proszę się dobrze przyjrzeć.

— Nie potrzebuję się przyglądać. Oczywiście, że z nią!

— Na pewno?

— No chyba ślepa jeszcze nie jestem! — obliczyła się pani Tomanek.

— Jaki był powód odwiedzin?

— Powiedziała, że jest córką krawcowej, u której panna Targoń szyje sukienki. Ponieważ zamówiła również ubranko dla swego pajacyka, więc przysłała, by wziąć miarę. Istotnie miała ze sobą torbę z materiałem i przyborami.

Po odejściu zaintrygowanej tym spotkaniem gospodyni major zwrócił się do asystującej przy rozmowie Cwierteniówny.

— Proszę, niech pani siada. — Wskazał jej krzesło przy swoim biurku. — Słyszała pani, co zeznała ta kobieta. Proszę zatem o odpowiedź na kilka pytań.

Dziewczyna zajęła wskazane miejsce i wyraźnie speszona spojrzała wyczekująco na majora. Ten przyglądał się jej przez chwilę, a potem rzucił ostro:

— Proszę opowiedzieć, jak to było z tą wizytą. Uprzedzam, że za fałszywe zeznanie grozi więzienie.

— Ależ ja nie mam zamiaru niczego ukrywać! Nie myślałam, że robię coś złego. Ten facet przyszedł do naszego mieszkania, a tak się złożyło, że byłam właśnie w domu i zaprosił mnie na kawę mówiąc, że chce pogadać. Powołał się na mego znajomego, pana Dekturę,



więc się zgodziłam i poszliśmy. Przy kawie zapytał, czy chciałabym zarobić parę tysiączków. Kto by nie chciał, ale powiadam, zależy w jaki sposób? Wyjaśnił, że nie chce niczego złego, tylko trzeba pójść pod adres, który wskaże, i mówić, jak nauczy.

— O co mu chodziło?

— Miałam powiedzieć, że jestem od krawcowej, że mam uszyć ubranko dla tej kukły. Zresztą pan już wie, bo ta stara mówiła. Poza tym kazał mi, żebym biorąc miarę rozpruła tego pajacyka, ale tak, by nikt tego nie dostrzegł.

— Rozpruć pajacyka? A po co?

— Żeby wyjąć to, co jest zaszyte w środku. Za przyniesienie tego miałam dostać dwa tysiące.

— Co pani miała wydostać?

— Rolkę filmu.

Szeruda zachował obojętność.

— Tylko tyle? Cóż to był za film? Czy wyjaśnił pani, o co chodzi?

— Mówił, że to są jego prywatne zdjęcia z kochanką. Ta schowała je przed nim, zaszywając w lalkę, więc chce je odzyskać, bo jest żonaty i boi się szantażu.

— Hm... I pani uwierzyła? Nie wydało się to pani zbyt naciągnięte?

Cwierteniówna wzruszyła ramionami.

— Prawdę powiedziawszy, nie bardzo się zastanawiałam. Mogło przecież tak być.

— Chodziło pani raczej o te dwa tysiące niż o cel tej, bądź co bądź, kradzieży...

— Kradzieży? — dziewczyna spojrzała ze zdziwieniem na majora. — Przecież chciał odzyskać tylko swoją własność!

— No, mniejsza z tym. — Szeruda wysunął szufladę biurka i wyjął fotografię, którą podał dziewczynie.

— Czy to ten?

— Tak. To panowie go znacie?

— Czy podał jakieś nazwisko?

— Nie. Dał mi torbę z przyborami i powiedział, że będzie czekał. A kiedy wróciłam z niczym, był na tyle honorowy, że odpałił mi sto złotych za fatygę.

— Dlaczego zwrócił się z tym do pani? Czy znaliście się przedtem?

— Nie. Widziałam go pierwszy raz. Ale, jak powiedziałam, powołał się na Dekturę. Tego co to... Wie pan?

— Tak, wiem. Z pani zeznania będzie sporządzony protokół, który trzeba dokładnie przeczytać, a potem podpisać. — Wyłączył dyskretnie magnetofon.

Po wyjściu dziewczyny Szeruda przez chwilę siedział zamyślony. Znał już kierunek i cel podróży Białomskiego i ogarnął go niepokój. Opanował się jednak, czekała go przecież rozmowa z pułkownikiem. Rozmowa trwała dziesięć minut. W jej wyniku kazał połączyć się najpierw z milicją w Oliwie, a potem z własną placówką w Gdańsku. Następnie zlecił porucznikowi Łubie zastępstwo i udał się na lotnisko wojskowe, gdzie czekał już na niego samolot.

## Rozdział 14

Doktor Złuda zajmował wraz z rodziną obszerne mieszkanie na parterze starego, jednopiętrowego domu. Miał dwoje dzieci — czternastoletniego syna Wojtka i dorosłą już córkę Ewę, która studiowała wspólnie z Targoniówną. Do niej właśnie przyjechała Ama na parotygodniowy pobyt nad morzem, by wykorzystać pogodny schyłek lata.

Istotnie dnie były wciąż słoneczne, bezwietrzne, a morze wprawiało w zachwyty bezkresem dali, białymi grzywami piany na uporczywie i daremnie goniących się falach, ogromem przestrzeni pod błękitnym kloszem nieba, skąd dochodziły pokrzykiwania krążących gdzieś wysoko mew.

Obie dziewczyny spędzały przedpołudnie na plaży, natomiast po obiedzie czasami wyjeżdżały do Gdańska, Sopotu czy Gdyni albo leżakowały z książkami w ręku na trawniku ogrodu okalającego dom.

Ewa szybko zorientowała się, że przyjaciółkę trapi jakaś uporczywa troska, bo zniknął jej zwykły, pogodny nastrój, nieraz urywała prowadzoną; rozmowę, wpadając w zamyślenie, a zdarzało się, że w czasie takich chwil milczenia w oczach jej pojawiały się łzy. Starła się jednak być dyskretna, nie zadawała żadnych pytań w nadziei, że być może przyjdzie odpowiednia chwila i sama zwierzy jej się z przyczyny tego nastroju.

Tego popołudnia, kiedy siedząc w leżakach ustawionych w cieniu drzew prowadziły leniwą rozmowę, a

ogród wypełniony cichym brzęczeniem niewidocznych pszczoł pławił się w słońcu, Ewa zerknęła raz i drugi na przyjaciółkę, bo ta, jak to niejednokrotnie się zdarzało, przestała się odzywać nie słysząc chyba nawet jej ostatnich słów.

Postanowiła więc zrezygnować z dotychczasowej dyskrecji i zapytać o powód jej przygnębienia. Właśnie zastanawiała się, jak sformułować pytanie, kiedy przez otwarte na taras drzwi doleciał z wnętrza domu dzwonek telefonu.

Ama wyraźnie drgnęła i odwróciła głowę. Ewa ujrziała w jej wzroku napięcie, i oczekiwanie. Za chwilę na tarasie ukazała się doktorowa, wzywając pannę Targoń do aparatu. Ta zerwała się gwałtownie i pobiegła do domu.

Była niemal pewna, że za chwilę usłyszy dobrze znany, ukochany głos.

Głos był istotnie męski, ale nie ten, za którym tęskniła. Toteż rozczarowanie było tak silne, że zanim odezwała się, musiała najpierw opanować chęć płaczu.

— Słucham...

— Czy panna Targoń? — pytanie padło po raz drugi.

— Tak, to ja...

— To dobrze, że panią zastałem! Bałem się, że może nie być pani w domu!

— Kto mówi?

— Czapliski, kierowca z Instytutu. Przyjechałem samochodem przed półgodziną na zlecenie profesora Wierzby w pilnej sprawie!

— Czy coś się wujowi stało? — zaniepokoiła się.

— Nie, chyba nic złego, ale pan profesor dał mi dla pani zlecenie. Szczegóły i wyjaśnienia nie na telefon. Powiem dokładnie, jak się zobaczymy.

— Co za zlecenie? O co chodzi?

— Proszę słuchać uważnie. Otóż jak najprędzej, bo mam natychmiast wracać do Warszawy, musimy się spotkać. Mam od pani odebrać jakiegoś pajacyka Tego pajacyka trzeba zabrać tak, by nikt nie widział. Nikomu też nie wolno pani mówić o naszej rozmowie. To wszystko, co mi kazał powiedzieć profesor.

— Pajacyka? Po co wujowi pajacyk?

— Wyjaśnienia nie teraz, proszę pani. Profesor zabronił mi podawania przez telefon jakichkolwiek szczegółów.

— No dobrze... — Ama była zaniepokojona, ale i ciekawa przyczyn tego dziwnego polecenia wuja. — Gdzie się zatem spotkamy?

— Proponuję jakąś boczną alejkę w parku, w pobliżu szpaleru. Znam panią z widzenia, więc to ja panią odzyskam. Proszę wyjść zaraz, bo muszę wracać natychmiast.

— Dobrze. Już wychodzę.

— Tylko proszę pamiętać: nikomu ani słowa, profesor podkreślał to parokrotnie.

Słuchawka została odłożona. Ama ruszyła do pokoju, który zajmowała wraz z Ewą, by zapakować pajacyka. Kiedy była już w holu z torbą w rękę, spotkała Ewę, wracającą z ogrodu.

— Co to, wychodzisz? — zdziwiła się przyjaciółka.

— Tak, mam spotkanie.

— To poczekaj chwilę, wyjdziemy razem. Muszę wpaść do znajomej po obiecanie zumale.

— Dobrze, ale pośpiesz się, bo nie mam czasu.

— Czy to coś ważnego?

— Nie, chcę zobaczyć się ze znajomym, który przyjechał z Warszawy.

Kiedy były już na ulicy, Ewa spytała odruchowo:

— Gdzie macie się, spotkać?

Ama zawahała się tak wyraźnie, że Ewa obrzuciła ją zdziwionym spojrzeniem.

— Cóż to za tajemnica? Zresztą jeśli nie chcesz, to nie mów.

Ama zdała sobie sprawę, że zbytnia tajemniczość może okazać się gorsza niż zdawkowa odpowiedź, toteż rzuciła lekko:

— Ależ to żadna tajemnica! Mamy zobaczyć się w parku.

— Tylko nie siedź długo — upomniała ją przed pożegnaniem Ewa. — Już siódma, więc postaraj się zdążyć na kolację.

Nie tyle to upomnienie, co niepokój i zaciekawienie kazały Amie przyśpieszać kroku. Dlaczego właśnie pajacyk? I co takiego zdarzyło się w domu, że wuj przysłał specjalnego człowieka, i to samochodem?

Weszła do parku, ogarnięta wzrastającym niepokojem. Jakiś czas szła główną aleją, potem skręciła i zwalniając kroku zaczęła rozglądać się dookoła.

Wieczór był ciepły, toteż w parku przebywało jeszcze sporo ludzi. Tu i ówdzie siedziały na ławkach młode

pary lub starsi czytelnicy popołudniowej prasy. Brakowało jedynie tak licznych w ciągu dnia wózków dziecięcych, ale ich pasażerowie w tym czasie parali się zapewne kaszką, do której namawiały je zniecierpliwione mamusie. Ama mijała spacerujących i szła już zupełnie wolno, niosąc w ręku swoją torbę.

Powietrze przesycił pomarańczowy blask zachodzącego słońca, długie cienie kładły się na trawniki, a zieleń drzew i krzewów nabrała rdzawych odcieni.

Posłyszała za plecami głos i odwróciła się gwałtownie.

— Dobry wieczór, panno Targoń! Nie poznaje mnie pani? Nazywam się Czaplicki.

Witający ją człowiek był średniego wzrostu, raczej szczupły, o twarzy młodej, ale włosach i przystrzyżonych wąsach przyprószonych już siwizną. Był ubrany w szary garnitur, zamiast koszuli miał pod marynarką wiśniowy golf. Z uśmiechem wyciągnął do dziewczyny rękę.

— Nie poznaję... Po wuja przyjeżdżał zwykle inny kierowca.

— Tak. Woźniak, ja jeżdżę żukiem. Józef wczoraj zachorował, więc go zastępuję.

— Co się stało?! Po co wujowi mój pajacyk?

— Zaraz wszystko wyjaśnię, tylko gdzieś sobie usiądźmy. I to nieco z boku, bo sprawa jest dyskretna. Przyniosła pani tę lalkę?

— Tak. Mam ją w torbie, zgodnie z pana życzeniem.

— Nie moim, a pani wuja — sprostował kierowca.

— Chodźmy jednak, o, tędy... Tą alejką. — Propozycja zabrzmiała jednak prawie jak polecenie.

Szli obok siebie, przy czym to raczej kierowca prowadził rozmowę, okazując umiejętność swobodnego wypowiedzania się. Skręcili raz, potem drugi, aż znaleźli się w pustym zakątku. Był tu mały placzyk, na w pół porośnięty trawą, z jedną tylko ławką. W pobliżu ciągnęło się pasmo zarośli, do których prowadziła wydeptana na trawniku ścieżka, ginąca w ich gąszczu. Zapewne stanowiła jakiś skrót, znany tylko mieszkańcom pobliskich domów, których dachy widać było w głębi, spoza szeregu drzew.

Mężczyzna wskazał ławkę, a kiedy usiedli, rzucił z widocznym podnieceniem:

— Teraz poproszę o tego pajaca!

— Obiecał mi pan wyjaśnienie! Co się stało?! — powtórzyła Ama, odpinając torbę. Wyjęła lalkę i podała ją Czaplickiemu.

— Jeszcze chwila, zaraz powiem... — Kierowca zdradzał z trudem hamowane zniecierpliwienie. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk, otworzył go i jednym cięciem rozpruł zielony materiał bluzki pajaca. Potem sięgnął do wnętrza, przez chwałę szukał czegoś palcami, wreszcie szybko wyciągnął Mały rulonik owinięty w zwykły szary papier. Ama ujrzała rolkę filmu.

— Film? — rzuciła ze zdumieniem. — Skąd się tam wziął?

Czaplicki nie udzielając odpowiedzi wyjął z kolejki małą ebonitową tubkę, wsunął w nią rolkę. Zakręcił



wieczko, a następnie schował wszystko do wewnętrznej kieszeni marynarki.

— Może wreszcie dowiem się, co to wszystko ma znaczyć?! — już ze zniecierpliwieniem rzuciła dziewczyna.

— Ależ oczywiście! — Czaplicki przerzucił jedno ramię przez oparcie ławki, obracając się ku niej. Miała przed sobą jego twarz z parą szaro-niebieskich oczu o badawczym spojrzeniu, w którym grały teraz wesołe błyski. Spojrzał na zegarek, a Ama mimo woli, przypominając sobie upomnienie Ewy, spytała:

— Która?

— Za dziesięć ósma. A więc powtórzę pani teraz to, co profesor mi polecił, bo chcę aby pani zrozumiała, dlaczego nie wolno o tym nikomu powiedzieć ani słowa. Inaczej grożą mu poważne przykrości.

— Przykrości? Z racji tego filmu?

— Tak, właśnie z powodu tego filmu. — Mężczyzna patrzył jej w oczy. — A oto dlaczego...

Ama miała przed sobą twarz Czaplickiego z parą oczu, które zdawały się przenikać ją do głębi. I raptem doznała przelotnego wrażenia, że już zna to spojrzenie. Trwało to jednak mgnienie, gdyż uwagę jej pochłaniała relacja kierowcy.

— Zacznę od początku, by nie gmatwać sytuacji. Otóż badania profesora odbywały się, jak pani zapewne wie, pod nadzorem naszej Służby Bezpieczeństwa. Kiedy profesor już skompletował swoje notatki, otrzymał polecenie, by przepisano je tylko w trzech egzemplarzach. Uważał, że było to za mało, ale protest nic nie

pomógł. Przy jakiejś okazji wyraził swoje niezadowolenie Burskiej, ta zaś zaproponowała, żeby po prostu prze-fotografował napisany na czysto materiał, a jednocześnie obiecała znaleźć kogoś godnego zaufania, kto to zrobi. Pani wuj zgodził się pod warunkiem, że fotografowanie odbędzie się u niego w gabinecie, a film utrwalony natychmiast i wręczony mu od razu. Film ten następnie, co było również pomysłem sekretarki profesora, został zaszyty do tego oto pajacyka, który został pani ofiarowany jako upominek.

— Ach, więc to dlatego otrzymałam ten prezent!

— Tak, gdyż w ten sposób pani wuj miał go pod ręką.

Ama wpatrzona w swego rozmówcę znów pomyślała, że gdzieś już widziała takie same oczy. Teraz starała sobie przypomnieć, kto miał to samo badawcze, dociekliwe spojrzenie i podobnie na nią patrzył.

— No dobrze, ale dlaczego mam to zachować w tajemnicy?

— Bo z powodu śmierci Burskiej władze natrafiły na jakiś ślad tej sprawy. Profesor był już pytany, czy nic nie wie o rolce filmu, ale obawiając się konsekwencji stanowczo zaprzeczył. Dlatego prosi panią o milczenie i chce mieć ten film w ręku, aby go samemu zniszczyć.

— I stąd ta pana nagła misja?

— Właśnie. Profesorowi na myśl nie przyszło, że pani może wziąć ze sobą tę lalkę. Kiedy gospodyni

powiedziała mu o tym, był po prostu przerażony.

Białomski zdawaj sobie sprawę ze słabych punktów swojej relacji, miał jednak nadzieję, że zaabsorbowana sprawą dziewczyna nie będzie głębiej analizowała tego, co mówi. Jej milczenie było mu potrzebne tylko na najbliższą dobę, później mogła wyciągnąć dowolne wnioski, a nawet i poznać prawdę, bo wówczas jego rysopis nie będzie już stanowił niebezpieczeństwa.

Ama istotnie nie wdawała się w krytyczną ocenę tego wyjaśnienia, zmartwiona raczej przykrościami, jakie groziły jej wujowi, a poza tym ciągle myślała o tych oczach... Ich kolor, wyraz, oprawa... Skąd je zna? Ale przecież tego Czaplickiego widzi po raz pierwszy.

Przesunęła po nim wzrokiem i raptem coś sobie przypomniała. Ale to nie oczy wywołały z zakamarków pamięci pewien drobny szczegół. Oto wpięty w klapę marynarki tkwił przed nią kolorowy znaczek PTTK. W jednym z jego rogów widniał odprysk emalii. A przecież znaczek z takim uszkodzeniem już widziała, wtedy w mieszkaniu Białomskiego, na jego imieninach, kiedy ktoś z grona zebranych nastawił płytę z muzyką taneczną.

Wówczas tańczyła właśnie z nim i miała przed sobą ten znaczek i te same oczy szukały jej wzroku...

Jest zaskoczona, a potem zdumienie jej rośnie, nie może zrozumieć, co to wszystko znaczy. Obcy, inny człowiek, ale szczegóły te same...

I raptem przychodzi nagłe olśnienie, a z nim obezwładniające przerażenie. A więc to Białomski, inny, ale Białomski! Skąd, w jaki sposób taka zmiana? Dlaczego? Czy cała historia, o której mówił, jest prawdziwa?

Siedzi nieruchomo, niezdolna nawet do uniesienia ręki, i wpatruje się uporczywie w siedzącego przed nią mężczyznę.

Widzi wyraźnie, jak wokół jego ust pojawiają się raptem dwie bruzdy, a powieki zwierają się z wolna, tworząc dwie szczeliny, w których błyszczą jedynie czarne punkty źrenic. Jej twarz i wzrok musiały zdradzić mu wszystko, bo usłyszała rzucone półgłosem pytanie:

— A więc poznałaś? To niedobrze, moja mała, współczuję ci, bo nie miałem tego zamiaru... Ale sama zmieniłaś sytuację i nic na to nie poradzę...

Jedna z jego dłoni powędrowała do kieszeni marynarki.

— Wstań i idź spokojnie tą ścieżką. Jeden szybszy ruch, a strzelę przez kieszeń. No, jazda! — Ruchem głowy wskazał ścieżkę ginącą wśród krzaków.

W nagłym przeczuciu uświadomiła sobie, co czeka ją z chwilą, kiedy skryją ich zarośla. Wśród rwących się myśli instynkt narzucał jedną, coraz bardziej przemożną: jak się uratować? Co robić?

Odpowiedzi nie było, toteż zebrała siły i zrezygnowana uniosła się na nogi z nikłą nadzieją, że może tam, za tymi krzakami, uda się uciec.

Na ławce pozostała samotnie czerwono-biała torba.

Ruszyła wolno przed siebie ze wzrokiem utkwionym w zarośla. Wiedziała, że idzie za nią morderca. Wokoło było pusto i cicho, słyszała jedynie szczebiot ptaków w gałęziach.

I raptem tę ciszę zakłócił nagły hałas. Ujrzała wypadających z zarośli dwóch mężczyzn, a potem posłyszała okrzyki:

— Stój! Ręce do góry! Padać na ziemię!

Podświadomie usłuchała tego ostatniego rozkazu. Leżąc na trawie nie widziała już nic, do jej uszu doszły jedynie dwa szybkie wystrzały, za chwilę jeszcze jeden, tupot biegnących nóg i raptownie znów wróciła cisza.

Orzepując sukienkę stanęła na nogi. W tej chwili doszedł ją gdzieś z bliska warkot motocykla, a z zarośli wybiegł młody mężczyzna ubrany w dżinsy i sportową bluzę.

— Nic się pani nie stało?

— Dzięki panom nic. — Ama już się opanowała.

— Mieliśmy was na oku. Czekaliśmy, aż się pożegnacie, bo nie spodziewaliśmy się, że będzie pani zagrożać osobiste bezpieczeństwo.

— Mieliście nas na oku? — zdziwiła się. — Kim panowie są?

— Milicja, proszę pani. No i co? — zwrócił się do towarzysza, który z kolei ukazał się na ścieżce.

— Zwiął drań, po tamtej stronie siatki miał motocykl. Meldunek już nadałem. Kazali zaczekać tu z panią. Zaraz będą, chcą mieć szczegółowy rysopis.

## Rozdział 15

Było dziesięć po siódmej, kiedy przed domem Złudów, gwałtownie zahamowany, zatrzymał się samochód. Wskoczył z niego mężczyzna i pobiegł do wejścia. Drzwi otworzyła mu pani Złudowa, za jej plecami stał Wojtek.

— Czy zastałem pannę Targoń? — spytał przybyły. Był to młody człowiek lat dwadzieścia kilka, ubrany w dżinsy i wiatrówkę.

— Wyszła przed chwilą.

— Dawno?

— Jakieś dziesięć minut temu.

— Dokąd poszła?

— Przepraszam, ale z kim mówię? — natarczywość pytań zaniepokoiła panią doktorową.

— Z milicją, proszę pani. Oto moja legitymacja, porucznik Palski.

— Co się stało? Dlaczego panowie jej szukają?

— Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Dokąd poszła? — porucznik powtórzył pytanie.

— Nie wiem. Był jakiś telefon z miasta i zaraz wyszła.

— Kto dzwonił? Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna. Zapewne wyszła, aby się z nim spotkać.

— Gdzie miało nastąpić spotkanie? Czy mówiła coś na ten temat?

— Nie, ale wyszła z córką, może ta będzie coś wiedziała. Ewa miała odebrać od znajomej zurnale.

— Daleko mieszka ta znajoma?

— Ja wiem gdzie! — wyrwał się Wojtek. — To zupełnie blisko!

— Dobrze, pojedziesz z nami, bo możemy ją mi-  
nać na ulicy. Jak była ubrana panna Targoń?

— Miała szarą sukienkę w różowe kwiaty z białym kołnierzykiem. Wzięła też ze sobą biało-czerwoną torbę w paski.

— Dziękuję, to wystarczy. Pozwoli pani, że zabiorę chłopca?

— Dobrze, niech jedzie, ale proszę, żeby wrócił z moją córką!

Porucznik poprzedzony przez chłopca ruszył do samochodu. Dobrze się stało, że zabrali Wojtka, bo chłopiec już po paru minutach jazdy zawołał:

— O, idzie Ewa, ale sama!

Wóz stanął przy krawężniku i porucznik zatrzymał dziewczynę. Dowiedziawszy się o miejscu spotkania zostawił chłopca z siostrą i mając nadzieję, że informacja Ewy okaże się prawdziwa, pożegnał ją. Potem zdołał wprawdzie uratować pannę Targoń, ale nie zdołał ująć poszukiwanego człowieka. Pocieszał się jednak, że po jego meldunku krótkofalówką pościg już się rozpoczął.

Szeruda wydał odpowiednie rozkazy placówce SB w Gdańsku i zaraz potem, o godzinie osiemnastej trzydzieści pięć, został postawiony w stan pogotowia alarmowego komisariat MO w Oliwie. W niespełna kwadrans potem oficer z trzema funkcjonariuszami wyruszył w teren. Porucznik Palski, dowódca pogotowia, otrzymał szczegółową instrukcję.: nawiązać kontakt z

Amelią Targoń, lat dwadzieścia trzy — tu następował rysopis i adres — i w razie potrzeby udzielić jej opieki, zabezpieczyć posiadaną przez nią lalkę-pajaca w zielonym ubiorze (rozkaz ten wywołał tylko przelotny wyraz zdziwienia na twarzy porucznika, bo w trakcie dotychczasowej służby zetknął się już niejednokrotnie z równie zaskakującymi szczegółami) oraz zatrzymać osobnika, który będzie usiłował nawiązać z nią kontakt, a w najgorszym razie ustalić jego rysopis. Należy liczyć się, że osobnik ów użyje pistoletu.

Natomiast placówka gdańska SB otrzymała w trybie alarmowym następujące zadanie: zorganizować ekipę operacyjną w składzie trzech funkcjonariuszy, postawić w stan pogotowia dwa śmigłowce i dwa kutry patrolowe, wyposażone w radiolokatory, reflektory i noktowizory, a także wzmóc czujność na dworcach, lotnisku i w portach, nie wyłączając dalszego wybrzeża, a więc Władysławowa, Łeby, Ustki, Darłowa.

Celem operacji jest ujęcie przestępcy występującego dotąd pod nazwiskiem Białomski — tu następował szczegółowy rysopis, ale i zastrzeżenie: należy przypuszczać, że już w czasie ucieczki zmienił zarówno wygląd zewnętrzny, jak i nazwisko.

Dla wykonania tego zadania zorganizować ekipy pościgowe w składzie czterech ludzi na samochód z przewidzianym wyposażeniem. Obsadzić wszystkie szosy wylotowe w dwóch pasach. Jeden w pobliżu miasta, drugi dwadzieścia kilometrów dalej na wypadek, jeśli



przestępca wydostałby się na szosę drogą boczną.

Major Szeruda przyleciał około dwudziestej trzydzieści. Kiedy w dziesięć minut potem (obejmował dowodzenie nad ekipą operacyjną, zastał następującą sytuację: przestępca ubiegł pogotowie błyskawiczne, zdołał nawiązać kontakt z Targoniówną i przejąć od niej lalkę, a potem uciec... Stwierdzono jednak jego dokładny obecny rysopis, ubiór, jak i środek lokomocji, a mianowicie że dysponuje czarnym motocyklem o silniku 350 lub 500 ccm. Do bagażnika motocykla przymocowana jest teczka.

Na szosę wydostał się boczną drogą, już za pierwszym posterunkiem. Ucieka trasą zachodnią na Chwaszczyno, ale podąża za nim następna grupa pościgowa numer cztery porucznika Płużycy. Zbieg co prawda przełamał jej blokadę, z dużą szybkością pokonując płytki w tym miejscu rów, ale mimo zapadającego zmroku nie tracą go z oczu dzięki noktowizorom.

Do chwili przybycia Szerudy szefem grupy operacyjnej był kapitan Stor. Po otrzymaniu szczegółowego meldunku o sytuacji major od razu wysłał śmigłowiec dla wsparcia porucznika Płużycy, a następnie ściągnął do bazy jako już zbędne pozostałe grupy pościgowe. Teraz pozostawało tylko utrzymywać stały kontakt i Płużycą oraz załogą śmigłowca i czekać na wynik pościgu. Stało się też oczywiste, że przestępca ucieka w kierunku północnym lub północno-zachodnim, a więc w stronę morza.

Sytuacja nie rozwijała się jednak pomyślnie. Z Lisic, osady znajdującej się sześć kilometrów przed Wejherowem, nadszedł meldunek o utracie łączności wzrokowej z uciekającym na motocyklu przestępcą.

W miejscu gdzie szosa skręca krótkim łukiem, domy na pewien czas zasłoniły uciekającego, a kiedy samochód grupy pościgowej minął ten zakręt, porucznik ujrzał przed sobą pustą szosę. Ponieważ śmigłowiec jeszcze wówczas nie wszedł do akcji, Płużycy pozostawił wóz na szosie, polecając kierowcy zatrzymywać nadjeżdżające z przeciwka samochody i pytać o motocykl. Istniała bowiem możliwość, że gdzieś dalej zbieg wrócił na szosę. Sam z resztą grupy przystąpił do penetracji terenu i zdobywania informacji pozwalających ustalić kierunek dalszej ucieczki Białomskiego.

Następny meldunek, nadany w kilkanaście minut potem, już wyjaśnił sytuację. Przede wszystkim nadleciał śmigłowiec, natomiast porucznik stwierdził, że z osiedla prowadziły dwie boczne drogi, w lewo i prawo od szosy, obie za zakrętem. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli motocykl skręcający w prawe odgałężenie. Droga ta prowadzi do osady Gniewowo, w głąb Puszczy Wierchucińskiej. Po tym meldunku porucznik ruszył w dalszy pościg.

Następnie Szeruda nawiązał łączność ze śmigłowcem, ale Białomskiemu udało się skręcić z szosy, zanim został wykryty przez obserwatora.

Po kolejnym meldunku Płużycy Szeruda spojrzął na kapitana Stora i rzucił z rozdrażnieniem:

— No cóż, wesoło nie jest... Chodźmy do mapy,

Porucznik Płużycy zameldował bowiem, że musi zaniechać dalszej akcji, gdyż rozjeżdżona przez traktory droga nie może być wykorzystana przez samochód. Mógł nią jechać jedynie motocykl, wykorzystując stosunkowo równe, ale wąskie pobocza. W tej sytuacji czwartej grupie pościgowej polecono czekać na miejscu aż do otrzymania dalszych rozkazów.

Obaj oficerowie zbliżyli się do szczegółowej mapy terenu. Szeruda przyglądał się jej w milczeniu. Odezwwał się dopiero po pewnym czasie:

— W tej chwili znajduje się na terenie pokrytym lasem, ograniczonym od wschodu autostradą Gdynia-Reda, od północy Reda-Wejherowo, a od zachodu szosą, po której dotąd uciekał. Południowy skraj tego obszaru raczej nie wchodzi w rachubę, gdyż jest mało prawdopodobne, by zawrócił. Teren nie jest duży, wszystkiego jakieś sto kilometrów kwadratowych, więc chyba bez trudu można go patrolować przy użyciu samochodów.

— Niestety, właśnie z powodu małego obszaru tego terenu posiadacz motocykla zdoła go prędzej opuścić, niż my obsadzimy szosy.

— Mimo wszystko musimy to zrobić. Istnieje możliwość defektu maszyny, a może uciekający zechce odpocząć. Wydajcie zatem polecenie, by grupa pierwsza i druga patrolowały szosy na odcinku Nowy Dwór-Wejherowo, grupa trzecia: Rumia-Reda, a Płużycy na wszelki wypadek niech pilnuje odcinka południowego:

Rumia-skrzyżowanie z szosą na Wejherowo. Zarządźcie też alarm dla Wejherowa z zadaniem strzeżenia północnego odcinka Wejherowo-Reda. To kierunek najważniejszy, toteż należy wysłać na te siedem kilometrów co najmniej dwa wozy. Szybkość patrolowania sześćdziesiąt, światła tylko postojowe. Objęcie odcinków z maksymalną, ale bezpieczną szybkością.

W czasie kiedy kapitan wykonywał otrzymane rozkazy, Szeruda nawiązał łączność ze śmigłowcami. Numer drugi został skierowany do akcji z zadaniem patrolowania wschodniego skraju lasów na północ od szosy Reda-Połczyno-Krokowa, numer pierwszy zaś na linii zachodniej Bolszewo-południowy skraj Jeziora Żarnowieckiego-Krokowa z poleceniem użycia reflektorów. Major chciał w ten sposób zniechęcić zbiega do opuszczenia lasu. Dawał on wprawdzie doraźne schronienie, ale utrudniał dłuższe w nim przebywanie z powodu braku możliwości zaopatrzenia w żywność. Ponadto ograniczał swobodę ruchów przestępcy, co dawało czas na organizowanie dalszej akcji pościgowej.

Za oknem rozległ się warkot motorów wyjeżdżających grup pościgowych. Kapitan zbliżył się do Szerudy.

— Są dalsze rozkazy?

— Są. Trzeba wysiać dwóch motocyklistów do tego Gniewowa. Niech przepytają ludzi. Może coś dostrzegli, blaski reflektora lub sam motocykl. Warkot silnika w nocy dobrze słyhać. Taka wiadomość potwierdziłaby nasze przypuszczenie co do kierunku

ucieczki, a również wskazała w dużym przybliżeniu miejsce jego obecności.

— Rozumiem. Ale zanim penetracja da jakieś wyniki, zapewne już go nie będzie w tym terenie, bo jeśli dąży na północ, wkrótce przekroczy, albo już przekroczył, szosę i tor kolejowy Reda-Wejherowo. Sądzę, że wozy patrolowe także nie zdążą już wykonać swego zadania.

— Liczę się z tym, ale teraz nic więcej nie możemy zrobić. Dalszą akcję trzeba dokładnie przemyśleć.

Szeruda podsunął sobie krzesło, a kapitan ujął za słuchawkę, by wykonać ostatnie polecenie. Jeden z sierżantów prowadził rozmowę ze śmigłowcem, odbierając kolejny meldunek. Potem zaczęły nadchodzić pierwsze zgłoszenia poszczególnych grup pościgowych z zawiadomieniem o przystąpieniu do wykonywania zadania.

Major, słuchając prowadzonych za pomocą krótkofalówek rozmów, starał się opanować podniecenie, jakie nie opuszczało go przez ostatnie godziny. Był już co prawda trochę spokojniejszy, gdyż wiedział, że dziewczynie nic się nie stało, ale dalszy ciąg akcji nie był, wbrew oczekiwaniu, w pełni pomyślny. Białomskiemu udało się ująć, a potem oderwać od pościgu. Nie wiadomo było, dokąd i w jaki sposób zamierza uciekać, na co liczy i jak ocenia swój? szanse. Czy kierowała nim tylko krańcowa determinacja, czy też wiedział, że ma minimalne choćby możliwości wymknięcia się z sieci? Ale jakie?

Co zrobiłby on, Szeruda, na jego miejscu? Trzymałby

się lasu? Tak, ale jak długo jest to możliwe bez dachu nad głową i pożywienia? Zatem Białomski musi szukać kontaktu z ludźmi, a zatem zapewne porzuci motocykl; przecież wie, że znamy jego kolor, a może i numer... Postanowi więc dalszą drogę odbywać pieszo. Do wybrzeża pozostaje jeszcze w linii prostej około trzydziestu kilometrów, a w rzeczywistości chyba ze czterdzieści, bo będzie musiał kluczyć i szukać drogi przez las... Powinien więc korzystać z motocykla, dopóki jest w lesie i panują ciemności, a potem zostawić maszynę gdzieś na północnym skraju puszczy i szukać jakiejś chłopskiej furmanki, a być może i wierzchniego ubrania... Stamtąd do wybrzeża pozostanie mu najwyżej dziesięć kilometrów. Punkt, do którego zdąży, był zapewne ustalony zawczasu. Jeśli ucieczka mu się uda, ukryje się tam jakiś czas i będzie czekał na właściwy moment, by opuścić kraj. Jednak nocna pora nie jest odpowiednia do szukania furmanki... Gdzie może znaleźć się o świcie?

Szeruda wstał i znów zbliżył się do mapy, a kapitan poszedł za jego przykładem.

— Chcę zobaczyć, w których wsiach nasz turysta może próbować przesiąść się z motocykla na konika — objaśnił towarzysza major.

— Nocą nie wyjdzie z lasu ze względu na śmigłowce...

— Ale rano dokona tej próby, bojąc się obławy. A ponieważ zdaje sobie sprawę, że szukamy człowieka na motocyklu, zakładam, że maszynę zostawi w lesie.

— To chyba słuszne założenie. Postarajmy się zatem ustalić, gdzie się to może zdarzyć.

— Na wschodnim krańcu lasu mamy Sławutowo, Darzubie, Mechowo, Werbunie, na zachodnim zaś Orle, Warszkowo, Tyłowo, Kartoszyño.

— Tak. A północny skraj, chyba najprawdopodobniejszy, to Żarnowiec, Krokowa, Starzyno, Karlikowo, Świecino...

— Czeka nas sporo roboty, ale na szczęście mamy trochę czasu.

— Trzeba zamknąć ten teren samochodowymi patrolami, ale z tym poczekamy na meldunek motocyklistów. Jeśli stwierdzimy, że Białomski posuwa się nadal na północ, przerzucimy nasze grupy pościgowe na drugą stronę trasy Wejherowo-Reda. Być może ze względu na większe odległości trzeba będzie prosić o pomoc wojsko. Roztoczymy wówczas nadzór nad szosą począwszy od Redy przez Połczyno, Krokowa, a potem od Wierzchucina do Bolszewa. Razem osiemdziesiąt kilka kilometrów. No i nie można poniechać nadzoru nad szosą wiodącą środkiem lasów z Wejherowa do szczytu pętli, mianowicie Krokowa.

— Szmat drogi... — mruknął Stor.

— Ale to nie wszystko. Zmianę i ustalenie patrolowanych odcinków odłożymy do czasu uzyskania jakiegoś rozeznania. Teraz natomiast trzeba kapitanie, nawiązać telefoniczną łączność z sołtysami tych wszystkich wsi przez posterunki MO lub bezpośrednio i nakazać zorganizowani lokalnych punktów obserwacji na całą noc. Niech wyznaczą ochotników z organizacji

młodzieżowych z nakazem meldowania, jeśli pojawi się we wsi ktoś nie znany.

— To nie będzie takie proste, bo urzędy pocztowe w terenie są czynne tylko do szesnastej. Nie będzie komu dokonywać połączeń, bo mają stare wtyczkowe centralki.

— Zatem zażądajcie od tutejszego dyrektora poczty zarządzenia stanu alarmowego dla tego terenu. Niech kierownicy urzędów pocztowych obejmą dyżury. Oni są osiągalni telefonicznie?

— Chyba tak.

Szeruda zastanowił się przez chwilę i dorzucił:

— I jeszcze jedna sprawa, kapitanie. Trzeba ustalić, jakie leśniczówki mają tam telefony, ich numery i położenie. Włączcie do akcji i nadleśnictwo.

O godzinie dwudziestej drugiej pięćdziesiąt dyrekcja poczt zameldowała, że polecenie zostało wykonane i urzędy lokalne będą czuwać przez całą noc. Kapitan zaczął kolejno łączyć się z sołtysami, a Szeruda nawiązał kontakt z trzema leśniczówkami, które znajdowały się na przypuszczalnym szlaku uciekającego.

Leśniczowie otrzymali szczegółowe pouczenia, między innymi nakaz palenia w jednym z pokoiów światła przy nie zastąpionym oknie, polecenie zatajenia przed ewentualnym przybyciem faktu posiadania telefonu oraz meldowania się co kwadrans pod któryś z dwóch podanych numerów, ale tylko do chwili przybycia kogokolwiek obcego.

W dziesięć minut po zakończeniu tych rozmów zgłosił się patrol motocyklowy. W Gniewowie około



dwudziestej pierwszej widziano człowieka na motorze. Przejechał przez osiedle drogą prowadzącą do Redy. Szeruda i Stor przystąpili do przerzucenia grup pościgowych na ustalone już, położone bardziej na północ trasy.

## Rozdział 16

Już po przejechaniu pierwszych stu metrów Białomski zorientował się, że drogą, której poboczem jechał, samochód nie może się poruszać. Uśmiechnął się z zadowoleniem, bo dawało mu to nadzieję na urwanie kontaktu z goniącym go wozem, który widział dotąd w lusterku. Pierwszą udaną próbę miał za sobą dzięki temu, że mapę terenu dokładnie wbił sobie w pamięć i wiedział, gdzie będzie skręt

Kiedy już znalazł się na drodze wiodącej przez las, zmniejszył szybkość, ale na powolną jazdę nie pozwalały mu napięte nerwy. Aby je opanować, zatrzymał się, zgasił motor i podparty nogą jakiś czas nasłuchiwał.

Po obu stronach, niby strażnicy panującej ciemności, stały nieruchome, ciemne drzewa. Jedyne ich wierzchołki rysowały się wyraźnie na tle nieba, szklącego się resztkami światła. Żaden odgłos nie mącił panującej ciszy.

Uspokojony, że nie słyszy śmigłowca — bo zdawał sobie sprawę, że obserwator będzie wyposażony w

noktowizor — zapuścił motor i włączył światło reflektora. Teraz mógł jechać szybciej, przynajmniej do pobliskiego Gniewowa.

Wreszcie ujrzał pierwsze punkty oświetlonych okien. Wygasił reflektor i opanowując podniecenie zmniejszył szybkość. Wolno przejechał osiedle, nie spotykając na szczęście nikogo. Zapewne jego mieszkańcy już układali się do snu. Mimo to poczuł ulgę, kiedy otoczył go las i znów mógł włączyć światło.

Pamiętał, że droga, którą jechał, prowadzi do Redy, ale nie miał zamiaru dojeżdżać aż tam. Po kwadransie jazdy dostrzegł rozwidlenie prowadzące w lewo. Zmienił więc kierunek wiedząc, że wkrótce powinien dotrzeć do toru, a zaraz za nim do autostrady Reda-Wejherowo.

Trzeba było zawczasu wygasić reflektor i jechać po ciemku. Wkrótce też ujrzał przed sobą równą linię kolejowego nasypu. Droga wspinała się pod górę, a potem, po ułożonym z okrągłaków przejeździe, opadała znów w dół, by po kilkuset metrach połączyć się z autostradą.

Za torem ciągnęły się zarośla. Ukrył się w nich i obserwował leżący przed nim pas asfaltu. Był pusty i cichy. Włączył więc silnik i ruszył na pełnym gazie. Tylnie koło wyrwało spod siebie strzępy darni, motocykl skoczył do przodu i wkrótce Białomski był po drugiej stronie autostrady, wśród gęstego podszycia lasu. Przedarł się przez zarośla, nie zważając na bijące go po twarzy gałęzie, i ruszył dalej. Ale jazda po ciemku już wkrótce okazała się niemożliwa. Raz i drugi uderzył

przednią oponą o drzewo. Mała szybkość nie groziła wprawdzie kraksą, ale wstrząsy nią były przyjemne. Nie sposób było posuwać się dalej bez światła.

Zatrzymał się więc, znów wygasił motor i przechylił głowę, nasłuchując.

Gdzieś w górze rozlegało się jednostajne terkotanie. Mimo woli uniósł twarz i ujrzał wąski klin światła, przesuwany się po niebie, który opadając ku ziemi rozszerzał się i przesuwiał tu i tam. Na jego tle wierzchołki drzew rysowały się wyraźną czernią. Po chwili warkot zaczął zacichać, a biały klin oddalał się coraz bardziej.

Zastanawiał się właśnie, czy można z takiej odległości dostrzec światło jego motocykla, kiedy znów usłyszał podobny warkot, ale z przeciwnej strony. Wkrótce odszukał wzrokiem drugą smugę światła.

A więc śmigłowce penetrują obydwie skraje zalesionego terenu. On jednak nie ma najmniejszego zamiaru go opuszczać — przynajmniej teraz, po nocy...

Doszedł do wniosku, że dostrzeżenie go pod koronami drzew pokrytych liśćmi nie jest zbyt łatwe, ale ponieważ taka możliwość istniała, postanowił być ostrożny. Wyjął więc z kieszeni tkwiącą tam jeszcze gazetę, a z podręcznego schowka motocykla kawałek drutu i przymocował złożony papier nad szkłem reflektora. Osłona ta ograniczała wprawdzie zasięg światła, ale też w znacznym stopniu chroniła przed dostrzeżeniem z góry. Następnie wyciągnął kompas i ustalił

kierunek jazdy — wprost na północ, zgodnie ze wskazówką drgającej igły. Sprawdził stan licznika i ruszył w dalszą drogę.

Jechał wolno, ciągle skręcając, by ominąć drzewa. Na szczęście nie rosły zbyt gęsto, a podłoże, pokryte dywanem igliwia, wolne było od zarośli.

Wkrótce trafił na przesiekę. Wprawdzie zbaczała na północny zachód, ale to odchylenie można było później nadrobić.

Teraz nie omijał już drzew, ale nadal musiał jechać przy świetle, bo pełno było tu wykrotów i dołów po wykarczowanych pniach. Zaczął więc zastanawiać się, czy nie porzucić już maszyny, co i tak będzie musiał zrobić. Spojrzał na licznik i postanowił, że zostawi motocykl dopiero na skraju lasu.

Po półgodzinnej jeździe dojrzał otwartą przestrzeń. Wiedział już, gdzie jest. Przesieka doprowadziła go do szosy wiodącej z Wejherowa na Połczyno i Puck.

Natychmiast zgasił reflektor i zjechał z przesieki. Prowadząc motocykl zbliżył się do skraju lasu i schowany za rosnącymi tu młodymi drzewkami, cierpliwie nasłuchiwał.

Miał przed sobą równą wstęgę asfaltu. Gdzieś daleko nadal terkotał śmigłowiec, ale po pewnym izarasie doszedł go i inny odgłos — pomruk samochodowego silnika. Zbliżył się ku krzakom obrastającym przydrożny rów i ostrożnie wyjrzał na szosę. Z daleka, w jej ginącej w mroku perspektywie, dostrzegł dwa nikle, zbliżające się z wolna światelka. Cofnął się szybko za krzaki, a po

chwili, o kilka metrów przed nim, przesunął się jadący bez zapalonych reflektorów samochód.

Wóz przejechał, jeszcze chwilę dwa czerwone punkty jarzyły się w ciemności, ale wkrótce zniknęły. Szosa znów była pusta, ciemna i pogrążona w ciszy nocy.

Białomski uśmiechnął się ironicznie. Wrócił do motocykla i wyciągnął go na szosę. Po chwili był już po drugiej stronie, a wkrótce trafił na leśną drogę, idącą na północny wschód. Po niecałej godzinie przeciął z kolei następną szosę. Kiedy i ją miał za sobą, spojrzął na zegarek. Dochodziła trzecia.

Był zmęczony do ostateczności i wyczerpany nerwowo, ale wiedział, że do północnego krańca lasu pozostało mu zaledwie kilka kilometrów. Postanowił tam dotrzeć, odpocząć do rana, a potem porzucić maszynę i poszukać innego środka lokomocji. Wszelkie pojazdy publiczne i autostop nie wchodziły w rachubę, bo domyślał się, co go czeka na szosie. Może jednak uda się napotkać samotne chłopskie gospodarstwo, wynająć furmankę, pod pretekstem zmęczenia położyć się w wozie i nakryć jakimś starym płaszczem woźnicy? W ten sposób uda mu się zapewne przebyć resztę niedługiej już przecież drogi. Powiadomił przecież kogo trzeba jeszcze z Gdańska i zapewne przewidziana na taki wypadek kryjówka jest przygotowana.

Minął dalszy kwadrans jazdy, kiedy raptem poprzez pnie drzew dostrzegł odległe światelko. Zatrzymał się, wyłączył motor i zastanawiał się, co to może być.

Światło tkwiło jednak nieruchomo w ciemności nocy i zdawało się mrugać ku niemu zachęcająco.

Rozejrzał się dookoła. Panowała zupełna cisza, drzewa stały wielkie i czarne, ale jakby obojętne wobec jego niepokoju. W pobliżu dostrzegł pas krzaków.

Zapałił zapałkę i osłaniając ją dłonią znów sprawdził stan licznika. Skraj lasu musiał być już blisko. Pchnął motocykl i ruszył w stronę krzaków.

Okazało się, że obrastają one rów dawno już widać wykopany. Odpiął więc swoją teczkę, zepchnął do rowu maszynę i ruszył w stronę migającego światła.

Wkrótce dotarł do obszernej polany. Rosły na niej kartofle, a wokół poletka biegł mocny płot, zapewne przeszkoda dla dzików. Dalej ujrzał zarys kępy drzew, a wśród nich dach jakiegoś domu z przysadzistym komi-  
nem u szczytu. Obok widniały kontury szopy.

Białomski obserwował zabudowania. Jedno z okien domu było oświetlone i ono właśnie pozwoliło mu odnaleźć obejście. Było jednak za wcześnie, by zjawiać się już teraz. Położył się więc obok płotu na ziemi, by z teczką pod głową nieco odpocząć. Sam nie wiedział, kiedy zasnął. Obudził go ziąb. Było już widno, pod ścianą drzew ciągnęły się mgły. Przestraszony spojrzął na zegarek, ale uspokoił się, bo minęła dopiero szósta.

Od strony domu usłyszał skrzyknięcie drzwi. Spojrzał przez sztachety płotu i dostrzegł idącą podwórzem

kobietę, która zniknęła w głębi szopy. Z komina ciągnęła w bezwietrznym powietrzu strużka dymu. Białomski wstał, doprowadził ubranie do porządku i ruszył ku domowi.

## Rozdział 17

Wolno mijała noc. Co jakiś czas odzywały się telefony zgłaszających się leśniczych, składały meldunki grupy pościgowe i śmigłowce, z powtarzającym, się wynikiem — zero. Kapitan Stor postarał się o kawę, którą odpędzali nadchodzącą senność teraz, kiedy nic się nie działo, a początkowe podniecenie zaczęło zanikać. Ciągłe jednak analizowali sytuację i rozpatrywali wszystkie możliwe warianty jej rozwoju.

Wreszcie szyby okien zaczęły szarzeć, zwiastując kres nocy. Szarość coraz bardziej nasyciała się światłem, aż wreszcie pojawiła się różowa jasność wstającego dnia.

W pewnej chwili jeden z podoficerów zameldował podnieconym głosem:

— Obywatelu majorze, Szymon nie zgłasza się...

Leśniczówki otrzymały kryptonimy odpowiadające imionom leśników. „Szymon” to była leśniczówka położona między Mechonem a Starzynem.

Szeruda spojrzął na zegarek. Była godzina szósta dwanaście. Spytał krótko:

— O której miał się zgłosić?

Sierżant spojrział na leżący przed nim papier i odpowiedział:

— O szóstej dziesięć.

Szeruda wstał z krzesła.

— Jeszcze poczekamy. Teraz powinien odezwać się o szóstej, dwadzieścia pięć, czy tak?

— Tak jest, obywatelu majorze!

— Kogo mamy na wschodniej trasie?

Stor zameldował:

— Odcinek Wejherowo-Połczyno objął komisariat MO Wejherowo, Połczyno-Starzyno grupa czwarta plus jeden wóz WSW, Starzyno-zakręt do Krokowa grupa trzecia i wóz WSW.

Szeruda jakiś czas studiował mapę, po czym spojrział na zegarek.

— Jest już szósta dwadzieścia pięć. „Szymon” milczy nadal?

— Milczy, obywatelu majorze.

— Dajcie mi czwórkę.

Rozmowa z porucznikiem Płużyną trwała trzy minuty. Porucznik otrzymał instrukcje do akcji, która dawała nadzieję zakończenia pościgu.

Leśniczy Szymon Żenada dojrzał przez okno człowieka idącego od strony leśnej drogi. Ciągnęło się tam kartoflisko i wędrowiec szedł wzdłuż ogrodzenia. Był bez kapelusza. W rannym świetle leśniczy widział wyraźnie szpakowate włosy, szary garnitur i wiśniowy trójkąt golfa pod marynarką.

A więc wszystko zgadzało się. Żenada przeszedł



szybko do kancelarii i schował telefon na spód szafki biurka nie zapominając, zgodnie z instrukcją, o zdjęciu słuchawki z widełek. Wybiegający na zewnątrz przewód zastawił koszem na papiery i wyszedł do kuchni. Miał nadzieję, że przewodów biegnących na zewnątrz przybysz nie zauważy, gdyż słupy stały wśród drzew. Czuł lekki ucisk w żołądku, wywołany emocją bliskiego spotkania, ale nie był to strach, bo dawny plutonowy z kompanii cekaemów przeżywał już niebezpieczniejsze chwile w swoim życiu.

Pamiętał zresztą i inne pouczenia otrzymane przed tą nie przespaną nocą. A więc: traktować przybysza przyjaźnie, nie odmawiać usług, ale żądać za nie drogo i przewlekać wykonanie.

Zona wyszła karmić prosięta, kiedy więc usłyszał w sieni kroki, w kuchni był sam. Rzucił krótkie:

— Kto tam?

Na progu stanął mężczyzna, którego widział przez okno.

— Dzień dobry — rzucił z uśmiechem. — Widzę, że mam do czynienia z panem leśniczym — dodał, spoglądając na mundur Żenady.

— Tak. Co pana tak wczesnie do mnie sprowadza?

— Zaraz to wyjaśnię, ale przedtem chciałbym zatelefonować. Pozwoli mi pan skorzystać i aparatu?

— Niestety, nie mam telefonu. Już od dwóch lat obiecują go założyć i wciąż kończy się na obietnicach.

— Przecież wszystkie leśniczówki je mają — Nieznajomy spojrział badawczo na Żenadę. Ten już wiedział, że gość istotnie nie dostrzegł linii przewodów, odpowiedział więc swobodnie:

— Gdzie tam wszystkie! Pan, widzę, miastowy, i stąd nie wie, jakie tu mamy trudności!

— A to szkoda! Nawaliła mi maszyna, kawał drogi stąd! Musiałem zostawić ją w lesie, więc chcę ściągnąć znajomego mechanika, by po nią przyjechał... A sam szukam jakiegoś środka lokomocji, bo mam do załatwienia pilny interes. Skoro nie ma telefonu, motocykl musi poczekać, gdyż straciłbym więcej, niż on wart... Może ma pan jakiegoś konika, żeby mnie podwieźć?

— Konia to mam, ale i sporo roboty. Dokąd chce pan jechać?

— Jakies piętnaście kilometrów.

— O, to daleko! Zajmie cały dzień, więc nie wiem, czy mi się opłaci...

— Jakoś się dogadamy. A może znajdzie się dla mnie jakaś stara kapota? Przemarżłem do kości, noc była zimna...

— Znalazłaby się jesionka. Może trochę przechodzona, ale jeszcze całkiem dobra. Z tysiączek warta...

— Aż tyle? — obruszył się nieznajomy, ale raczej dla zachowania pozorów. — Drogi pan jest, panie gospodarzu!

— Toteż do kupna nie namawiam. Za podwiezienie zaś muszę wziąć ze dwa patyki. To cały dzień mi tręgi, poza tym mogę mieć przykrości w nadleśnictwie, bo praca w lesie wymaga dozoru.

— Chce pan wykorzystać sytuację? — Nieznajomy spojrział z ukosa na leśniczego i dorzucił z hamowaną złością: — Ale niech będzie, nie mam zamiaru targować się! Chciałbym jednak wyjechać zaraz!

— Teraz w żadnym razie nie mogę. O siódmej przychodzą robotnicy, muszę im przydzielić pracę, a i koń, i ja musimy przed drogą coś zjeść. Sądzę, że i pan nie pogardzi...

— A więc o której moglibyśmy wyruszyć?

Żenada zastanawiał się przez chwilę.

— Myślę, że tak na dziewiątą to zdążę...

— Dopiero?! Nie targuję się o cenę, ale nic mogę wysiadywać tu godzinami, bo mi interes ucieknie sprzed nosa! Wyjeżdżamy o ósmej i ani minuty później!

— Postaram się — rzucił ugodowo leśniczy. — O, jest żona! — Spojrzał w stronę drzwi, w których ukazała się młoda kobieta z pustymi wiadrami w rękach.

— Broniu, mamy gościa. Zrób nam śniadanie!

— Na razie może chociaż szklanę gorącej herbaty — poprosił przybysz — bo zmarzłem nielicho! — Mówiąc to zatarł ręce.

— Zaraz zrobię — obiecała kobieta.

Białomski odstawił teczkę pod ścianę i usiadł przy stole stojącym w rogu kuchni. Ogień buzował już pod płytą, a z czajnika z sykiem wydostawała się strużka pary. Kobieta napelniła szklanę i postawiła ją wraz z cukiernicą na stole.

— Może dać jajecznicę? — spytała, spoglądając na męża.

— A daj, daj! Przed drogą musimy się pokrzepić, więc nie pożałuj wędzonki!

Wszystko jak dotąd układało się nadspodziewanie pomyślnie i Białowskiemu zaczęło poprawiać się samopoczucie. Gdyby jeszcze minąć szczęśliwie pierścień blokady... Konny wóz i śpiący na nim przykryty płaszczem mężczyzna nie powinien zwrócić niczyjej uwagi... Zdawał sobie sprawę, że czeka go teraz kilka wyjątkowo niebezpiecznych godzin, ale zaczął wierzyć, że szczęście nie opuści go nadal. Była to nadzieja złudna, jednak nie mógł wiedzieć, że kłapa pułapki już opadła.

— Dokąd pan idzie? — zaniepokoił się widząc, że leśniczy wstaje od stołu. Zaniepokojenie było tak wyraźne, że musiałoby zaskoczyć Żenadę, gdyby nie orientował się w sytuacji.

— Zaraz przyjdą robotnicy, muszę przygotować karty pracy — wyjaśnił spokojnie.

— Pójdę z panem, to sobie pogadamy. — Białowski wstał również. — Herbata mnie rozgrzała, dziękuję pani — zwrócił się do gospodyni.

Żenada ruszył przodem, przeszedł sień i otworzył drzwi, prowadzące do kancelarii. Domyślał się, że jego niebezpieczny gość nie chce spuszczać go z oczu, a jednocześnie pragnie sprawdzić, czy istotnie w leśniczówce nie ma telefonu.

Siadł za starym biurkiem i wskazał gościowi jedno ze stojących obok krzesel. Przybysz uważnym spojrzeniem obrzucił pokój, porzucane na pobliskim stole teczki, starą szafę z oszklonymi drzwiami, za którymi widać było sterty papierów czy formularzy, i wiszące na

ścianach jelenie rogi. Dopiero potem zajął wskazane miejsce i spytał pozornie obojętnie:

— Dużo ludzi pan zatrudnia?

— O wiele za mało na potrzeby. Wciąż brak chętnych, bo choć zarobki nie są najgorsze, trzeba przyznać, że praca jest ciężka...

Leśniczy przerwał, gdyż za oknem rozległy się głosy i przesunęło kilka postaci.

— O, są i moi ludzie — odezwał się.

— W nocy paliło się u pana światło...

— A tak — wyjaśnił spokojnie Żenada. — Czasami uzbiera się tyle papierkowej roboty, że i noc nie wystarcza na odrobienie zaległości...

Rozległo się pukanie do drzwi i na zezwalające „wejść” leśniczego w progu stanęło kilku mężczyzn w roboczych ubraniach.

— Dzień dobry, panie leśniczy — odezwał się jeden z nich. — Co dziś będziemy robić?

— A dużo was przyszło?

— Pięciu. Ale jest i paru nowych...

Do przodu wysunęło się trzech młodych ludzi, którzy widać nie zorientowali się, z kim mają rozmawiać, bo zamiast do leśniczego zbliżyli się do jego gościa. A potem już wszystko odbyło się błyskawicznie. Dwóch z nich od razu stanęło po obu stronach krzesła Białomskiego, a w rękę trzeciego nie wiadomo skąd znalazł się pistolet. W następnej chwili ramiona siedzącego zostały ściągnięte do tyłu i rozległ się szcęk kajdanek. Wszystko trwało zaledwie sekundy. Krótkie sekundy po długich, uciążliwych godzinach nocy.

W dwa tygodnie potem, kiedy po Dekturze i Marco znalazł się za kratkami, a akta sprawy zostały już przekazane prokuraturze wojskowej, Szeruda siedział z porucznikiem Łubą w swoim gabinecie. Szczygieł, która teraz pełniła funkcję sekretarki majora, postawiła przed nimi filiżanki z kawą i opuściła pokój. Szeruda jakiś czas nieco bezmyślnie mieszał łyżeczką osiadły cukier, a po chwili odezwał się, nie tyle do porucznika, ile do siebie:

— To wszystko nie ma żadnego sensu.

Ponieważ porucznik milczał, powtórzył już z pewnym rozdrażnieniem:

— Absolutnie żadnego sensu!

Łuba obrzucił go krótkim spojrzeniem, a potem, jakby wiedząc, o co chodzi, skwitował to oświadczenie paru zaledwie słowami:

— Zależy jak dla kogo...

— Co za różnica? W ogóle nie ma sensu i koniec! Teraz porucznik zajął się mieszaniem kawy.

— Hm... A więc powzięłeś taką decyzję?

Reakcja majora była dość zaskakująca. Uniósł głowę, obrzucił towarzysza wściekłym spojrzeniem i raptownie wybuchnął:

— Wiesz, co ci powiem?! Jesteś bałwan! Skończony bałwan!

Porucznik Łuba nie przejął się jednak tym wybuchem. Znów spojrzał na majora spod oka i ograniczył się do spokojnej uwagi:

— Nie wiedziałem, że z tobą jest aż tak źle...

Szeruda nic już nie odpowiedział. Wstał raptownie z za biurka i z założonymi do tyłu rękami zbliżył się do okna. Spoglądał w milczeniu na oblane jesiennym

słońcem, żółknące już wierzchołki drzew i milczał uparcie. Po pewnym czasie Łuba wstał również i zbliżył się do drzwi.

— Przypomniałem sobie, że nie przejrzałem jeszcze dzisiejszej korespondencji. Kawę skończę później.

Wyszedł. Szeruda pozostał sam Wrócił na swoje miejsce i odchylony na oparcie fotela dłuższy czas siedział bez ruchu Wreszcie przechylił się do przodu i sięgnął po słuchawkę.

Ama była w domu i za chwilę usłyszał jej głos.

— Chciałbym z tobą porozmawiać — rzucił z niezamierzoną sztywnością. Ze zdziwieniem stwierdził, że jest zażenowany i uczucia tego nie potrafi opanować.

— Nik! Nareszcie! A już myślałam, żeś o mnie zapomniął!

— Nie, nie zapomniałem... A nawet...

— Co nawet?

— E nic... A więc kiedy?

— Ależ kiedy chcesz! Chociażby i dziś!

— Może o szóstej?

— Dobrze, czekam! Opowiem ci, jaką przygodę przeżyłam w Oliwie!

— I ja ci opowiem trochę o sobie. Ale to nie będzie nic sensacyjnego. Temat stary jak świat.

— Naprawdę?

— Naprawdę, kochanie!

— Nik!

— Słucham...

— Nic już. Zatem czekam o szóstej.